

HAMULCE WŁADZY
Dlaczego PiS
nie fałszuje wyborów

TWARZE AMAZONII
Kościoł i kobiety,
wzajemny ratunek

ŻEŃSKIE KOŃCÓWKI
Marcin Napiórkowski
wyznaje nawrócenie

BYT SIĘ MROZI
Opowieść o pięknie
świata na zimno

Kraków 17 listopada 2019 nr 46 (3671)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Narkotyki biorą dzieci

**DODATEK
EKONOMIA WARTOŚCI**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



jan hrunkowski

Opowieść artysty

wystawa

08.11.2019

mnk
140

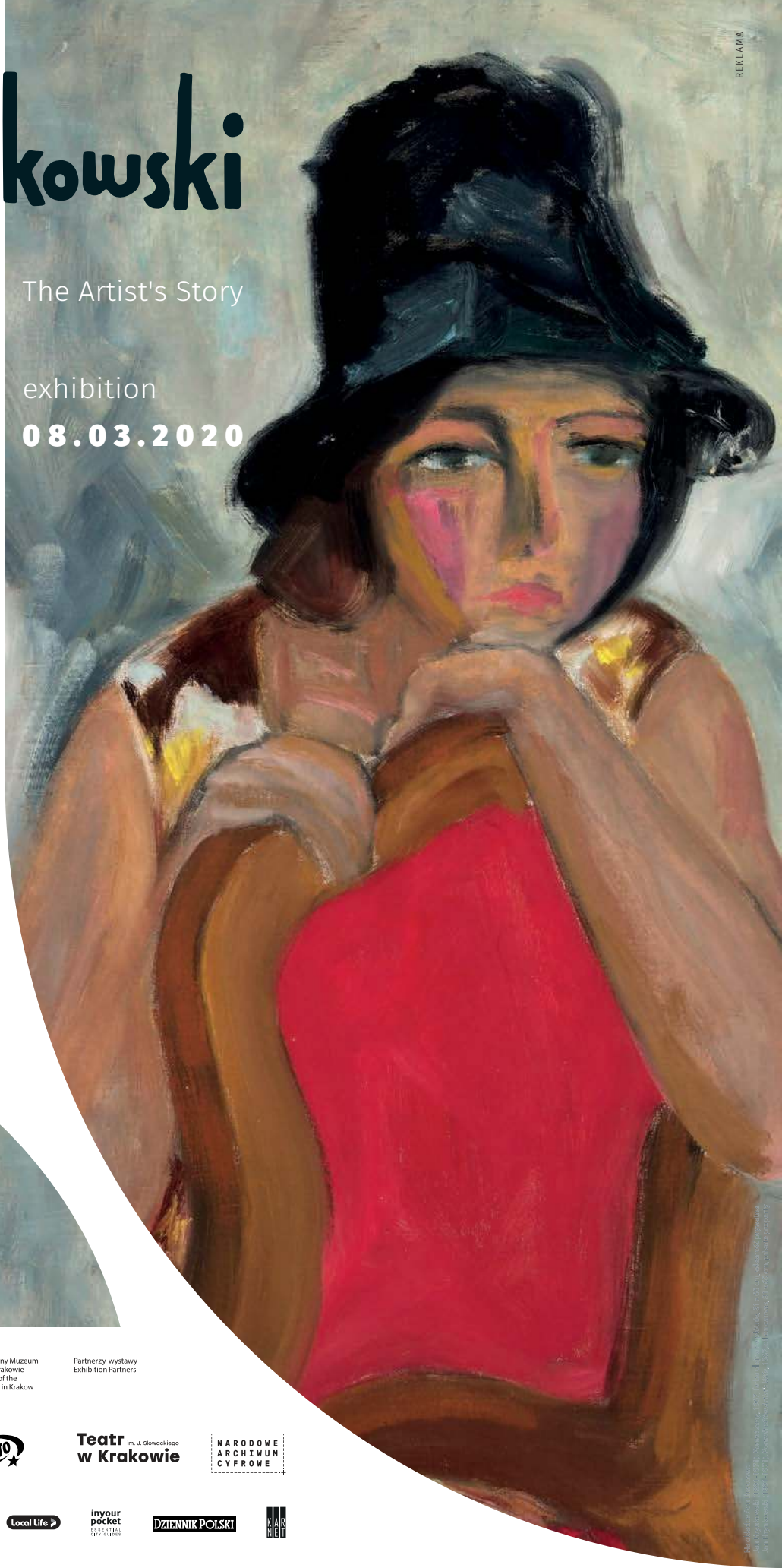
Gmach Główny
Main Building

al. 3maja 1
mnk.pl

The Artist's Story

exhibition

08.03.2020



REKLAMA

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Mecenas Muzeum Narodowego
w Krakowie
Patron of the National Museum
in Krakow

Partner Strategiczny Muzeum
Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the
National Museum in Krakow

Partnerzy wystawy
Exhibition Partners

Patroni medialni
Media Partners



Teatr
w Krakowie

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

KULTURA

TVP3
KRAKÓW

POLSKIE
RADIO

RADIO
KRAKÓW

Local Life

inyour
pocket

DZIENNIK POLSKI

KAR

KS. ADAM

Boniecki: *Modlitwa i narkotyki*

BLISKO PIĘDZIESIĄT LAT TEMU CZYTAŁEM książkę Jeana-Claude'a Barreau „La prière et la drogue” („Modlitwa i narkotyki”). Autor dowodził, że od narkotyków oczekuje się dokładnie tego, co jest człowiekowi dostępne w modlitwie. Wymieniał kilka tych szukanych przeżyć, z których zapamiętałem jedno, chyba najważniejsze: narkoman chce mieć „niebo natychmiast”. Mogłem się przekonać o trafności jego intuicji, kiedy wkrótce po lekturze książki spotkałem w Taizé grupę młodych ludzi z ruchu charyzmatycznego, a wśród nich kilku, którzy zapewniali, że udział w tym modlitewnym ruchu uwolnił ich od uzależnienia narkotykowego.

O dawnych lekturach i spotkaniach przypomniał mi właśnie przeczytany skrót ze sprawozdania zamieszczonego w piśmie „Social Neuroscience” o rozpoczętym w 2014 r. programie „Religious Brain Project”.

Badacze Uniwersytetu Utah w Salt Lake City (USA) prowadzili tam eksperymenty, z których wynikało, że narkotyki i przeżycia religijne (podobnie jak seks, muzyka i jedzenie) aktywują mózgowy „układ nagrody”, czyli ten, który daje poczucie wewnętrznego spokoju i życiowej satysfakcji. Na „bodźce religijne” reagowały jednak mózgi ludzi wierzących, bez względu na to, jaką wyznawali religię. Ta relacja, dość lakoniczna i napisana trudnym, fachowym językiem, potwierdzała tezy książki napisanej w czasach, w których badania nad mózgiem nie były tak rozwinięte jak obecnie. Autor książki ostrzegał, że mózg reaguje na narkotyki tak, jakby były odpowiedzią na głębokie ludzkie potrzeby (wewnętrznego pokoju, poczucia satysfakcji itp.), w efekcie zaś



człowieka niszczyć, a przeżycie religijne (jak modlitwa) rzeczywiście zaspokaja te potrzeby, nie niszcząc, lecz stając się źródłem siły.

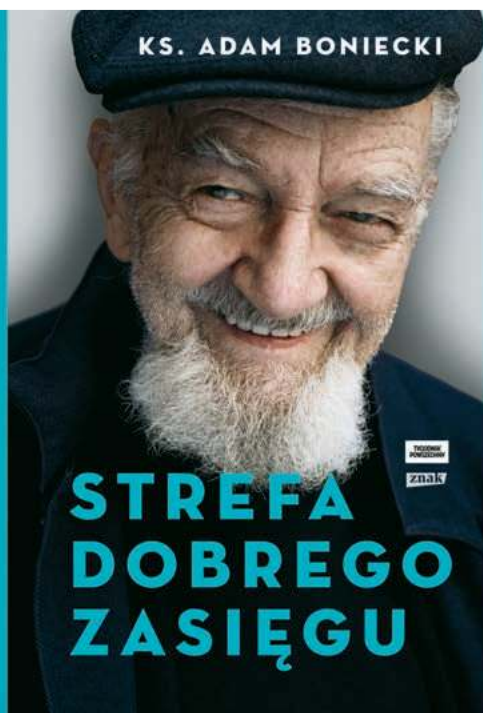
Wiele osób dziś swoje wyleczenie z narkomanii przypisuje Bogu. Nie tylko jeśli idzie o narkomanów. Jak wiadomo, wyraźnie do transcendencji odwołuje się sprawdzony od lat program „12 kroków” AA. Czytamy tam: „Uwierzyliśmy, że Siła Większa od nas samych może przywrócić

nam zdrowie”. „Postanowiliśmy powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, jakkolwiek Go pojmujemy”. „Uwierzyliśmy, że Siła Większa od nas samych może przywrócić nam zdrowie”. „Postanowiliśmy powierzyć naszą wolę i nasze życie opiece Boga, jakkolwiek Go pojmujemy”...

Co prawda amerykański psycholog B.F. Skinner sformułował tzw. humanistyczną wersję kroków, bez odniesień do Boga („jakkolwiek Go pojmujemy”), choć nie musiał, bo pierwotna wersja 12 kroków nie przeszkadzała temu, żeby program AA był dobry dla wszystkich, wierzących i niewierzących. W świetle wspomnianych badań „Religious Brain Project” niekoniecznie uczulenie na wszystko, co transcendentne, okazuje się postępem.

Świat bez żadnych odniesień do „Siły Większej od nas samych” dałoby się zbudować, gdyby nie nasz mózg, który z nieznanых przyczyn za „Siłą Większą od nas” się rozgląda, potrzebuje jej i na nią reaguje.

Kto jednak wie, może w końcu osiągniemy to, że człowiekowi do szczęścia wystarczą seks, jedzenie i muzyka, a żadna transcendencja nie będzie mu już potrzebna. Wątpię jednak, czy Bóg tego dla nas chce. ©P



**Spotkanie z ks. Adamem Bonieckim
towarzyszące premierze książki**

„STREFA DOBREGO ZASIĘGU”

prowadzenie: Anna Wacławik-Orpik

środa, 20 listopada, godz. 18

Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6 w Warszawie

Bezpłatne wejściówki dostępne będą na dwie godziny przed spotkaniem w kasach muzeum.

ZAPRASZAJĄ:

TYGODNIK
POWSZECHNY

TP
Klub Tygodnika.pl

POLIN
Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

60
znak



22 Hamulce władzy

KLAUS BACHMANN

Po czterech latach rządów PiS wiemy jedno: politycy obozu władzy też chcą należeć do elit, którymi ich własna propaganda tak gardzi.



32 Amazonia

jest kobietą

EDWARD AUGUSTYN

Małżeństwa amazońskie właściwie ze sobą nie rozmawiają. Mężczyzna rozmawia z innymi mężczyznami, kobiecie wydaje polecenia. Może nikt ich nie nauczył rozmowy? – mówi s. Zully Rojas Quispe, misjonarka z Peru.

42 Dalej pójdziesz sam

**MARCIN ŻYŁA
Z DOHUKU (IRACKI
KURDYSTAN)**

Pytasz, ile dzieci potrzebuje tu pomocy? Myślę, że wszystkie – mówi Katia Katraszczuk, psychiatra, która pracuje w irackim Kurdyście od trzech lat.



28 Pamiętaj o Marysienice

JACEK TARAN

Kiedyś w tym miejscu stał oprawca, ludobójca, dzisiaj jesteśmy my – mówi Dariusz Popiela, który 3 listopada odstąpił tablicę z nazwiskami grybowskich Żydów.



72 Był się mrozi

Z MICHAŁEM MILCZARKIEM ROZMAWIA ADAM ROBIŃSKI:

Na Czukotce po rozpadzie ZSRR padł cały system zaopatrzenia. Ludzie zostali dosłownie na lodzie. Za bilet lotniczy do Moskwy oddawano mieszkania, byle stamtąd uciec.



86 Żeńska końcówka

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Na niewidzialność kobiet składa się sposób zaprojektowania przestrzeni, bodźce ekonomiczne, tradycja, religia... I język, jakim się posługujemy, pełni tu naprawdę istotną rolę.

6 Sztuka wyboru Donalda Tuska PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Hamulce władzy
KLAUS BACHMANN

26 Ci goście są tu na stałe
RAFAŁ WOŚ: *Traktujemy
migrantów jak tymczasową, tanią
siłę roboczą. Koszty tego pojawią
się, kiedy skończy się koniunktura*

28 Pamiętaj o Marysieńce
JACEK TARAN

■ ■ WIARA

32 Amazonia jest kobietą
EDWARD AUGUSTYN

36 Strażnicy Teksasu KAROL
KLECZKA: *W USA biskupi
upominają się o prawa dla
współczesnych uchodźców*

39 Ciało nam wydane
PIOTR SIKORA: *Czy powinniśmy
się uciekać do pomocy policji
w obronie Eucharystii*

■ ■ ŚWIAT

42 Dalej pójdiesz sam
MARCIN ŻYŁA

**46 Krzyżowa – znak wciąż
żywy** ROBERT ŻUREK

49 Bój o świątynie TOMASZ
AUGUSTYNIAK: *Zaostrzający się
przed wyborami spór o miejsce
kultu potwierdza, że podziały na
Sri Lance wciąż są głębokie*

TEMAT TYGODNIKA



JOANNA RUSINEK

12 Narkotyki biorą dzieci
KRZYSZTOF STORY

Szesnaście procent licealistów eksperymentowało z substancjami psychoaktywnymi. Zachęcanie ich do abstynencji to za mało. Możemy zadbać, żeby brali bezpiecznie.

16 Być wystarczająco blisko
ROZMOWA Z KONRADEM MARKIEWICZEM,
PSYCHOTERAPEUTĄ:

Kiedyś używki były dodatkiem do wspólnego życia, rodzajem towarzyskiego eksperymentu. Teraz stają się środkiem do budowania relacji.

■ DODATEK SPECJALNY ■

59 Ekonomia wartości.
Open Eyes Economy Summit

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA
58 ANDRZEJ STASIUK 84 JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCIEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOANNA RUSINEK
Redaktorka prowadząca: EVELINA BURDA

51 Płać i nie choruj MARTA
ZDZIEBORSKA: *W USA nawet
pacjenci, którzy mają dobre
ubezpieczenie medyczne, mogą
popaść w gigantyczne długi*

■ ■ HISTORIA

54 Czaszka z wykrzyknikiem
TADEUSZ A. OLSZAŃSKI *wokół*
*książki Grzegorza Gaudena „Lwów.
Kres iluzji. Opowieść o pogromie
listopadowym 1918 r.”*

■ ■ NAUKA

68 Ukryte myśli robota
KRYSZYNA BIELECKA, MARCIN
MIŁKOWSKI: *Czy można zbudować
takiego, który nie tylko posprząta,
ale także o tym pomyśli?*

■ ■ KULTURA

72 Byt się mrozi ROZMOWA
Z MICHAŁEM MILCZARKIEM

76 Gra w rasy WOJCIECH
ENGELKING: *Colson Whitehead
jest przekonany, że rasa przestanie
się liczyć dopiero wtedy, gdy
prawie wszyscy wymrzną*

80 Usiądź blisko KAJETAN
PROCHYRA: *Jazz jest dla JASONA
Morana językiem, który pozostaje
żywy, póki tworzy wspólnotę*

82 Paczka w drodze ANITA
PIOTROWSKA *o filmie „Nie ma nas
w domu” Kena Loacha*

84 Od Korsyki do Świętej Heleny
LEKTOR *o książce
„Napoleon. Człowiek i mit”
Adama Zamojskiego*

■ ■ ZMYŚŁY

86 Żeńska końcówka
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Była najbardziej znaną polską spółdzielnią pracy. Ale niestety już nie jest, została zamieniona w spółkę – **RAFAŁ WOŚ tłumaczy, dlaczego wrzesień 2019 roku to koniec „Muszynianki” jaką znamy.** www.tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Co przyniesie Synod [Podkast Powszechny]

Spodziewano się, że zmieni cały Kościół. Pytano na nim o święcenia żonatych mężczyzn i diakonat kobiet – o *przemianach, które może rozpocząć*, opowiada **EDWARD AUGUSTYN** w nowym odcinku Podkastu Powszechnego. *Weź, słuchaj!* powszech.net/po-synodzie

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



SZTUKA WYBORU DONALDA TUSKA

Unik byłego premiera to większa przysługa dla odmłodzenia polskiej polityki niż gromkie wezwania ludzi metrykalnie – choć niekoniecznie mentalnie – młodszych od przewodniczącego Rady Europejskiej.

PAWEŁ BRAVO

NIEOBECNOŚĆ DONALDA TUSKA W POLSKIEJ polityce to stan trwający dobre pięć lat. Dość było czasu, by się z nią oswoić, a w związku z tym oszacować prawdziwą wartość nieobecnego. A jednak wszyscy poczuli, że ogłoszenie przez Tuska decyzji o niekandydowaniu w wyborach prezydenckich jest momentem przełomowym.

Sama decyzja nikogo nie powinna dziwić. Zaskoczeniem może być tylko szybszy o parę tygodni w stosunku do przewidywań termin jej ogłoszenia. To też świadczy o klasie gracza: potrafi wywołać konsternację robiąc ruch w istocie spodziewany i zrozumiały.

Skoro, jak twierdzą zgodnie rzetelne źródła, ważnym czynnikiem były badania ukazujące, jak znaczny jest elektorat negatywny i obciążenia wizerunkowe Tuska, odklejeni zwolennicy jego powrotu na białym koniu muszą tę decyzję uznawać za przejaw kunktatorstwa. Propagandiści władzy zaś dają upust złości, że oto umknął im upragniony obiekt ataków. Co jak co, ale wdeptywać Tuska w błoto media posłuszne PiS-owi uwielbiały. Teraz cała zgromadzona na wybory amunicja przepadnie.

To właśnie odebranie sztabowcom Andrzejowi Dudzie wygodnego konkurenta w kampanii

*Na szczycie państw
G20 w Osace,
czerwiec 2019 r.*

przed majowymi wyborami można interpretować jako realny cel wycofania się z wyścigu. O ile oczywiście założymy, że utrudnianie PiS-owi rządów, a następnie odsunięcie go od władzy stanowi strategiczny cel byłego premiera, ważniejszy niż zaspokojenie ambicji wygrania kolejnej bitwy w tej nieustającej, ale powtarzalnej wojnie.

Należy przyjąć za pewnik, że Tusk w warszawskim kotle będzie nadal zanurzony po uszy, tyle że nieformalnie, bez urzędów i stanowisk, jako rozgrywający w niepisowskim plemieniu, próbujący wpłynąć np. na namaszczenie Władysława Kosiniaka-Kamysza jako wspólnego kandydata opozycji na prezydenta. Co do szans lidera PSL na zwycięstwo z Dudą Tusk wydaje się przekonany. Jego unik to większa przysługa dla odmłodzenia polskiej polityki niż gromkie wezwania ludzi metrykalnie – choć niekoniecznie mentalnie – młodszych od przewodniczącego Rady Europejskiej.

Zakulisowa obecność Tuska w polskiej polityce nie jest oczywiście dobrą wiadomością dla obywateli ceniących silne instytucje i przejrzystość, ale przecież i dziś Polska jest rządzona przez szeregowego posła. Możliwości takiej wyrazistej, choć nieformalnej obecności zaraz się otworzą, bowiem kierowanie Europejską Partią Ludową – tę funkcję najprawdopodobniej obejmie Tusk po odejściu z fotela szefa RE – nie tworzy formalnych przeszkód w robocie politycznej w kraju i nie będzie zajęciem aż tak czasochłonnym. Mylą się jednak ci, którzy sądzą, że wybrał nieistotną synekurę, zamiast wracać z misją ratunkową do Warszawy.

W ocenie tego, do czego Tusk dąży, przeszkadza brak zrozumienia, kim stał się przez te 5 lat w Brukseli. Nie był tam samodzielnym liderem ani pierwszym sprawcą wielkich zmian, lecz raczej sprawnym mediatorem – a tego, obarczeni skazą krzykliwego patosu jako wyznacznika „prawdziwej” władzy, raczej w Polsce nie cenimy. Mimo iż w coraz bardziej zglobalizowanej polityce to właśnie takie „sieciowanie” i umiejętność poruszania się w gąszczu krzyżujących się interesów daje smak prawdziwej władzy, dreszcz bycia tam, gdzie decydują się kluczowe sprawy (w tym zakresie, w jakim rządy i instytucje – a nie wielkie korporacje – jeszcze w ogóle o czymś decydują). Próba poskładania na nowo sypiącej się europejskiej międzynarodówki chadeckiej może być naprawdę ekscytującym zajęciem. Warto to sobie uprzytomnić.

Choć i tak dla nas ważniejsze będzie poczucie, że jest w Polsce (nawet jeśli nie w pałacu prezydenckim) polityk z innej bajki, który potrafił np. Donaldowi Trumpowi powiedzieć wprost – we wrześniu, na forum zgromadzenia ONZ – żeby przestał kłamać. ©P

Morawieckiego rząd bez marzeń

ANDRZEJ STANKIEWICZ



CHOĆ POLITYCY OBOZU WŁADZY SNULI Copowieści o wielkiej przebudowie i wystrzałowych nazwiskach nowych ministrów, to zmiany – ogłoszone 8 listopada – są niezauważalne.

Nie jest przypadkiem, że prezentację nowego rządu prezes PiS Jarosław Kaczyński rozpoczął od utyskiwania na zbliżające się spowolnienie gospodarcze, którego nie chciał nazwać kryzysem. W składzie gabinetu nie widać jednak szczególnej antykryzysowej mobilizacji. To poprzedni rząd poddany liftingowi. Np. minister przedsiębiorczości Jadwiga Emilewicz pokieruje resortem rozwoju, który powstanie poprzez dołożenie do jej dotychczasowego resortu z jednej strony budownictwa, a z drugiej... turystyki. Resort środowiska zostanie podzielony, wyłączone z niego zostaną kwestie dotyczące klimatu. Kompetencje Ministerstwa Energii częściowo przejmie reaktywowane Ministerstwo Skarbu (Jacek Sasin).

Większość ministrów pozostaje na stanowiskach. To efekt ostrych negocjacji między PiS a koalicjantami. Przebudowa była ryzykowna dla wszystkich. Partia Jarosława Gowina będzie miała jak do-

tać trzech ministrów (Gowin, Emilewicz i Marek Zagórski – cyfryzacja). Wzmocnił się Zbigniew Ziobro. Dotąd był jedynym resortowym ministrem Solidarnej Polski. Teraz jego pupil Michał Woś dostał resort środowiska. Z rządu odchodzi związany z Beata Szydło poprzednik Woś – Henryk Kowalczyk. Z drugiej jednak strony Szydło gra z Ziobłą, więc resort został w rodzinie. Będzie nowy minister finansów (Tadeusz Kościński), nowa minister rodziny (Marlena Maląg) i nowy minister od klimatu (Michał Kurtyka).

Widać odwieczną bolączkę PiS: krótką ławkę. Nie zdołano znaleźć chętnego do objęcia teoretycznie atrakcyjnego MSZ. W efekcie ministrem pozostaje słaby politycznie Jacek Czaputowicz. Dlatego polityka europejska zostanie przeniesiona z MSZ do Kancelarii Premiera, co oznacza dalsze osłabienie tego resortu.

Po rozczarowującym wyniku wyborów partia nie była w stanie skompletować ekipy marzeń. Wygrała wymuszona mała stabilizacja. ©

Autor jest dziennikarzem portalu Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Ze szczepieniami łatwiej o miejsce w żłobku

AŻ 2,6 TYS. DZIECI Z 13 TYS. czekających w Warszawie na miejsce w żłobku nie przeszło obowiązkowych szczepień ochronnych. Ta liczba wyszła na jaw dzięki nowym zasadom rekrutacji do żłobków, zgodnie z którymi za komplet szczepień dziecko dostaje dodatkowe punkty. Warszawscy radni – jak doniosła „Gazeta Wyborcza” – chcą teraz pójść o krok dalej. Liczba miejsc w żłobkach systematycznie rośnie, więc dzieci zrzucone na koniec listy i tak w końcu znalazłyby w nich miejsce. Ratusz pracuje nad przepisami, które uniemożliwią im uczestnictwo w rekrutacji (nie dotyczyłyby dzieci, które nie mogą zostać zaszczepione ze względu na potwierdzone przeciwwskazania).

Dotychczas nie powstała ustawa wiążąca rekrutację do żłobków i przedszkoli

z wypełnianiem obowiązku szczepienia dziecka. Samorządy – widząc spadający poziom tzw. wyszczepialności – od kilku lat biorą sprawy we własne ręce. Niektóre (jak olsztyński, gliwicki czy częstochowski) po wprowadzeniu przepisów nt. dodatkowych punktów za szczepienia musiały jeszcze poradzić sobie w sądach administracyjnych ze sprzeciwami wojewodów. Dotychczasowe wyroki wspierają decyzje rad miejskich.

A sytuacja epidemiologiczna budzi coraz większy niepokój: we wrześniu WHO ogłosiła, że w pierwszym półroczu 2019 r. w Regionie Europejskim odnotowano 90 tys. przypadków odry, więcej niż w całym poprzednim roku. Do 50 tys. zachorowań doszło na Ukrainie, gdzie program szczepień załamał się ze względu na działania wojenne. W 2018 r. status kraju wolnego od odry WHO odebrało Albanii, Czechom, Grecji i Wielkiej Brytanii.

©P MACIEJ MÜLLER

KRAJ W SKRÓCIE

STANOWCZO ZA DUŻO

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro ostatni raz pojawił się na spotkaniu Rady Ministrów 10 września, czyli – jak policzył TVN 24 – opuścił siedem kolejnych posiedzeń. Jego resort tłumaczy, że zatrzymywały go pilne obowiązki prokuratora generalnego, a nie osobisty konflikt z Mateuszem Morawieckim.

STANOWCZO ZA MAŁO

Obowiązki min. Michała Dworczyka z Kancelarii Premiera nakazały mu bronić w radiu RMF zgłoszonych przez PiS kandydatów Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza na sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Prowadzący rozmowę Robert Mazurek zapytał gościa, ile zarabia, a na wieść, że 9,5 tys. zł, odpowiedział: „Stanowczo za mało jak na to, co pan musi tutaj wygadywać”.



T. JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

NIEZBYT STANOWCZO

Wydawałoby się, że obowiązki prezydenta Andrzeja Dudy nakazują mu bronić godności Rzeczypospolitej, ale na konferencji o zniesieniu wiz dla Polaków udających się do USA wystąpił z ambasadorką tego kraju jak równy z równym, przy identycznych pulpitach, a nie jak głowa państwa udzielająca audiencji wystannikowi z innego kraju.

STANOWCZO NIE

Naczelnikiem opolskiego IPN, czyli urzędnikiem państwowym zatrudnionym w instytucji powołanej m.in. do prowadzenia działalności edukacyjnej oraz ścigania zbrodni nazistowskich, został Tomasz Greniuch, działacz ONR, organizator obchodów rocznicy antysemickich zająć w Myślenicach, w 2013 r. postulujący na portalu społecznościowym odebranie „neo banderowcom” zachodniej Ukrainy.

ŁUKASZ WOJTASIK,
EKSPERT DS. BEZPIECZEŃSTWA W SIECI:

Nie hejtujcie, reagujcie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:

Jaka jest skala cyberprzemocy wśród nastolatków?

ŁUKASZ WOJTASIK: Według badań EU Kids Online prowadzonych przez zespół prof. Jacka Pyżalskiego, ofiarą agresji rówieśniczej w sieci pada jedna trzecia dzieci w wieku 9-17 lat, a sprawcami takich zachowań jest 27 proc. młodych ludzi. Mogę się też odwołać do doświadczenia telefonu zaufania 116 111 Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, gdzie zgłoszenia hejtu w sieci są na porządku dziennym.

Co to za historie?

Często bardzo dramatyczne. Np. dotyczące napiętnowania z uwagi na odmiennosc – status społeczny, narodowość czy faktyczną lub domniamaną orientację seksualną. Przykładem na tę ostatnią jest choćby głośna śmierć samobójcza Dominika Bieżunia, 14-latką zaszczonego – również w sieci – przez kolegów. Poważne są też pozornie błahe zdarzenia. Prowadząc niedawno warsztaty z profilaktyki w szóstej klasie podstawówki,



WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

spotkałem się z przypadkiem chłopca, który padł ofiarą intrygi: pewnego dnia, mniej więcej w tym samym momencie, wszyscy z tej klasy wyrzucili go z grona „znajomych”. Dodatkowo został wyrzucony z klasowej grupy na Facebooku. To było dla niego bardzo trudne doświadczenie, a nikt nie udzielił mu wsparcia.

Fundacja DDS ruszyła z kampanią „Nie hejtuję – reaguję”. Akcja dotyczy właśnie świadków.

Którzy często się nie ujawniają. Bywa, że młodzi ludzie uznają obraźliwe publikacje i komentarze w sieci za „nic wielkiego”. Tymczasem właśnie od reakcji zależy często skala krzywdy.

Zwłaszcza że dzieci najczęściej nie zgłaszają aktów cyberprzemocy dorosłym. Stąd pomysł na profil kampanii. Jej finał zaplanowany jest na grudzień, ale akcja już trwa. Młodsze klasy szkół podstawowych przygotowują prace dotyczące roli świadków w zapobieganiu cyberprzemocy – wybieramy i wydrukujemy te najlepsze. Z kolei młodzież starszą zapraszamy na warsztaty, gdzie metodą *design thinking* zaprojektują przekazy kampanijne dla rówieśników w całej Polsce.

© P

ŁUKASZ WOJTASIK jest ekspertem Fundacji DDS, koordynatorem programu „Dziecko w sieci”, specjalistą ds. bezpieczeństwa w internecie.

O bramkarzu, co się pseudokibicom nie kłaniał



MICHAŁ OKOŃSKI

Rafał Gikiewicz, polski bramkarz UNIONU Berlin, po końcowym gwizdku wygranego meczu derbowego z Herthą powstrzymał wbiegających na boisko i usiłujących wszcząć burdę zamaskowanych pseudokibiców własnej drużyny. Używając – jak relacjonował później – „polsko-niemiecko-angielskiej wiazanki” nakłonił ich do powrotu na trybuny. Zapobiegł awanturze (celem wbiegających byli zawodnicy rywala), uchronił klub przed karami finansowymi. Przy okazji został bohaterem niemieckich mediów, a w Polsce – wyrzutem sumienia dla setek piłkarzy niereagujących na skandaliczne zachowania trybun.

Zaraz, zaraz: czy tylko w Polsce? Owszem, znamy aż za dobrze przykłady milczenia zawodników wobec jakiegoś kibolskiego wybry-

ku. Znamy też, niestety, przypadki zastraszania, lżenia, a nawet fizycznej przemocy, stosowanej przez pseudokibiców wobec piłkarzy po przegranych w kiepskim stylu meczach. Problem niedostatecznego oparcia, jakie zawodowi sportowcy mogą znaleźć w takich sytuacjach w klubie, ale też w środowisku medialnym, z pewnością istnieje. Z drugiej strony jednak: przykładów ludzi, którzy znaleźliby w sobie tyle siły, by samotnie przeciwstawić się tłumowi, nie ma w świecie współczesnego sportu zbyt wiele. Według mnie zachowanie Gikiewicza każe pytać nie tyle o niewykorzystany potencjał piłkarzy jako wzorów i wychowawców kibiców, rzeszy, co o samotność sportowca, czającą się w cieniu otrzymywanego teoretycznie od fanów wsparcia.

© P



GRAZYNA MAKARA

KTO POŁAWIA W AFRYCE. Większość dużych statków rybackich, które pływają na wodach zachodniej Afryki, to jednostki z Unii Europejskiej, Rosji lub Chin – wynika z analiz naukowców londyńskiego King's College. Aby otrzymać pozwolenie na połów, zrzeszają się w stowarzyszenia, które płacą lokalnym rządowi. Efekt? Ławice są przetrzebione (dotyczy to np. 55 proc. gatunków ryb morskich Gambii), co zaczyna zagrażać nie tylko przyrodzie, ale i gospodarce (na zdjęciu: rybacy w Elminie, Ghana). Poławiacze z Rosji i Chin to nowe zjawisko. Unii natomiast badacze wytykają, że choć celami wspólnej polityki rybołówstwa miała być m.in. ochrona morskich ekosystemów i dbałość o ich zasoby, przyczynia się ona do niszczenia zasobów naturalnych poza UE. Ich zdaniem za nadmierną eksploatację wód Afryki są odpowiedzialne subsydia z Brukseli, które umożliwiają budowę większych statków i pokrywanie kosztów paliwa w przypadku długich połowów. © P ZYM

Francja chce zaostrzyć politykę migracyjną

GDYBY TYCH SŁÓW nie użył on, można by sądzić, że ich autorem jest jakiś anonimowy internauta. „Wolę legalnych imigrantów z Gwinei lub Wybrzeża Kości Słoniowej od nielegalnych band ukraińskich czy bułgarskich” – mówił prezydent Francji w wywiadzie dla pisma „Valeurs actuelles”. Słowa te oburzyły Ukrainę i Bułgarię oraz francuską lewicę. Jednak i one, i miejsce, w którym Emmanuel Macron ogłosił zwrot w polityce migracyjnej, nie były przypadkowe: to pismo zbliżone do Zjednoczenia Narodowego, prawicowej partii Marine Le Pen. Obserwatorzy sądzą, że Macron chce wywołać dyskusję o imigracji, która pomoże mu zneutralizować „żółte kamizelki” – niegasnące protesty o prawicowo-antysystemowym podłożu, których celem jest także on sam.

Prezydenta wsparł premier. Édouard Philippe przedstawił 20-punktowy plan działań. Rząd chce uregulować i wspierać legalną imigrację, wprowadzając kwoty określające liczbę możliwych do przyjęcia imigrantów i profesje potrzebne gospodarce; mowa jest o 33 tys. fachowców rocznie. Minister pracy powiedziała, że wzorem są tu Kanada i Australia. Równocześnie rząd chce ostrzej zwalczać nadużywanie prawa azylowego i imigrację nielegalną, m.in. przez szybsze deportacje i drastyczne zmniejszenie świadczeń zdrowotnych dla osób bez prawa pobytu.

Nazajutrz po wystąpieniu premiera policja zlikwidowała dwa obozowiska namiotowe pod Paryżem. Szef MSW podał, że usunięto z nich 1600 osób.

© P WP / WIENER ZEITUNG, AFP, APA

Niebieska fala w Wirginii i Kentucky

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)



DEMOKRACI ODBILI STANOWY KONGRES w Wirginii i wygrali wyścig o fotel gubernatora w republikańskim stanie Kentucky. Czy to zły znak dla Donalda Trumpa, ubiegającego się o reelekcję?

Odpowiedź nie jest oczywista. Matt Bevin, który przegrał w Kentucky z Demokratą Andyem Beshearem, był jednym z najbardziej nienawidzonych gubernatorów w USA. Zraził do siebie wyborców m.in. cięciami budżetowymi dla uczelni stanowych i próbą ograniczenia dostępu do programu opieki zdrowotnej Medicaid. W zdobyciu reelekcji nie pomógł mu nawet przedwyborczy wiec z udziałem Trumpa, który w Kentucky cieszy się dużym poparciem (w 2016 r. uzyskał tu przewagę 30 punktów procentowych nad Hillary Clinton).

Demokraci odnieśli też sukces w Wirginii, gdzie po ponad 20 latach zdobyli cał-

kowitą kontrolę: oprócz „swojego” gubernatora mają teraz większość w obu izbach parlamentu stanowego. Przełomu nie przyniósł natomiast wyścig o fotel gubernatora w Missisipi, gdzie Republikanin Tate Reeves pokonał Demokratę Jimmy'ego Hooda. Także w wyborach w Kentucky – prócz fotela gubernatora – resztę stanowisk objęli Republikanie.

Tegoroczne wybory stanowe po raz kolejny pokazały, że w spolaryzowanej Ameryce mieszkańcy miast i wykształceni wyborcy z przedmieść w większości głosują na Demokratów, a prowincja na Republikanów. Gdyby Andy Beshear należał do progresywnego skrzydła Partii Demokratycznej i otwarcie opowiadał się za procedurą impeachmentu Trumpa, na zwycięstwo w Kentucky raczej nie miałby szans.

© P

Każdy głos na wagę złota

SIEDEMDZIESIĘCIORO TROJE: tylu wyborców zdecydowało, że w wyborach do parlamentu krajowego Turynii liberałowie z FDP przekroczyli barierę 5 proc. (dostali 5,0005 proc.). Z pierwszego liczenia wynikało, że o wejściu FDP do landtagu przesądziło pięć głosów, więc postanowiono sprawdzić osobno każdy okręg i ostateczny wynik podano po niemal dwóch tygodniach. „Te wybory potwierdziły, jak ważny jest każdy

jeden z Waszych głosów” – napisała FDP na Twitterze, dziękując zwolennikom.

Niezależnie od tego, utworzenie stabilnego rządu krajowego w Erfurcie będzie trudne. Dotychczasowa koalicja Partii Lewicy (dawni komuniści), SPD i Zielonych straciła większość, a jedna czwarta głosów padła na skrajnie prawicową AfD, z którą nikt nie chce współpracować. Ponieważ chadecy (CDU) nie chcą współpracować też z Lewicą, wszystkie arytmetycznie możliwe większości są niemożliwe politycznie.

© P WP / ARD

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DLACZEGO JEZUICI

Franciszek w najnowszym wywiadzie rzece „Kościół jest głoszeniem, albo nie jest Kościołem” przyznał, że wstąpił do jezuitów, bo pociągało go ich misyjne powołanie. „Zawsze miałem świadomość, że głoszenie Jezusa i Jego Ewangelii oznacza jakieś wyjście i bycie w drodze” – mówi papież.

BRAK KOMUNII

Patriarcha moskiewski i całej Rusi Cyryl przestał wymieniać w liturgii imię arcybiskupa ateńskiego i całej Grecji Hieronima. Miesiąc temu Kościół Grecji uznał autokefalię Prawosławnego Kościoła Ukrainy (PKU), przyznaną w styczniu przez patriarchę Konstantynopola, czemu rosyjska Cerkiew bezskutecznie się sprzeciwiała.

KARTĄ NA TACĘ

„Jeśli ktoś nie ma przy sobie gotówki, a chciałby złożyć ofiarę, to często nie może tego zrobić. W takich sytuacjach terminal byłby wyjściem naprzeciw aktualnym trendom w płatnościach” – zauważył ekonom Episkopatu ks. Janusz Majda. Utworzona przez banki fundacja Polska Bezgotówkowa przygotowała specjalną ofertę terminali płatniczych dla parafii.

LICZBA TYGODNIA

184

księży, w większości żonaty, pracuje w trzech ordynariatach personalnych, utworzonych dla byłych anglikanów, niezgadających się na reformy (m.in. wyświęcanie kobiet) w swoim Kościele.

W listopadzie minęła 10. rocznica zezwalającej na ordynariaty konstytucji „Anglicanorum coetibus”.

Celibat normą, wyświęcanie żonatyh wyjątkiem

ARTUR SPORNIAK



GŁÓWNY REDAKTOR KATECHIZMU KOŚCIOŁA Katolickiego i bliski współpracownik Benedykta XVI głosował podczas ostatniego synodu za przyjęciem w dokumencie końcowym postulatów wyświęcania żonatyh mężczyzn (*virī probati*) oraz dalszym badaniem możliwości diakonatu kobiet. Metropolita Wiednia kard. Christoph Schönborn przyznał to w rozmowie z telewizją ORF. Podkreślił, że podstawową formą posługi kapłańskiej w Kościele katolickim pozostanie celibat i nie można porównywać sytuacji w Amazonii z sytuacją w Austrii. „Nie mamy dramatycznego niedoboru księży w porównaniu do Amazonii – mamy za mało księży, ale też za mało wiernych” – zauważył.

W ten sposób przewodniczący austriackiego episkopatu odpowiedział na akcję zbiera-

nia podpisów pod petycją „Amazonia jest także u nas” zorganizowaną przez ks. Paula Zulehnera (do ubiegłego piątku podpisało ją 2 tys. osób). Wiedeński teolog wzywa niemieckojęzyczne episkopaty do „przedstawienia papieżowi równie odważnych propozycji jak te, które znalazły się w tekście końcowym synodu”. Również w Europie są żywe wspólnoty zmagające się z „głodem eucharystii” z powodu braku księży. Petycja stwierdza także, że kobiety powinny mieć dostęp do diakonatu.

Akcja ks. Zulehnera pokazuje, że reformy proponowanych dla Kościoła w Amazonii nie da się ograniczyć tylko do tego regionu – staną się one precedensem dla całego Kościoła. Z kolei zachowawcza reakcja kard. Schönborna zapowiada, że europejskich *virī probati* nieprędko zobaczymy. ©



L'OSSEVATORE ROMANO / AP / EAST NEWS

Zupa nie tylko na Plantach

„**GŁÓWNIEMIE DZIĘKI MEDIOM SPOŁECZNOŚCIOWYM** dowiedziało się o nas wiele osób. Nie tylko dostrzegli problem, ale poculi, że też chcą działać. Sopot, Rzeszów, Wrocław, potem inne miasta zaczęły organizować się według tej samej idei” – mówił niedawno w wywiadzie dla „Tygodnika” Piotr Żyłka, jeden z inicjatorów popularnej w Krakowie „Zupy na Plantach”, cotygodniowego spotkania m.in. z osobami w kryzysie bezdomności przy ciepłym posiłku.

„Zupa» nie ma jednego centrum dowodzenia, struktury, relacji podległości. Inspirujemy się nawzajem i dzielimy doświadczeniami” – dodawał Żyłka.

Właśnie wedle tej zasady – oddolnie, choć przy wsparciu tamtejszej archidiecezji – za inauguruje wkrótce działalność łódzka wersja akcji. Ruszy pod nazwą „Zupa na Pietrynie” w III Światowy Dzień Ubogich (17 listopada) nieopodal łódzkiej archikatedry. Odtąd organizatorzy będą się spotykać z potrzebującymi w każdą niedzielę o godz. 16, wcześniej zaś – podobnie jak w Krakowie – wspólnie ze wszystkimi chętnymi gotować posiłek.

„Chcemy, aby było to realne spotkanie z drugim człowiekiem – mówią organizatorzy łódzkiej „Zupy”. – Abyśmy wzajemnie mogli się spotkać, wysłuchać i zapoznać, a nie tylko anonimowo mijać na ulicy”.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Budować mosty jak św. Paweł

„**PAWEŁ ODCHODZI**, wydaje się, że jego próba zawiodła” – powiedział Franciszek podczas audyencji śródowej, komentując fragment Dziejów Apostolskich opisujący mowę św. Pawła na ateńskim Areopagu. Apostoł został wyśmiany, gdy wspominał o zmartwychwstaniu. „Jednak niektórzy przystają na jego słowo i otwierają się na wiarę. Jest wśród nich mężczyzna Dionizy, członek Areopagu, i kobieta, Damaris. W Atenach zakorzenia się Ewangelia i może zabrznieć na dwa głosy: męski i kobiecy” – zauważył papież. I podsumował: „Prośmy również dzisiaj Ducha Świętego, aby nauczył nas budować pomosty z kulturą, z niewierzącymi lub ludźmi, których wiara różni się od naszej, by zawsze budować mosty, zawsze wyciągać rękę, bez jakiegokolwiek agresji. Prośmy Go o umiejętność delikatnego inkulturowania orędzia wiary”.

© MAM



Simmujoq, chłopiec z plakatu

DO POŁOŻONEGO na zachodnim wybrzeżu Grenlandii miasteczka Sisimiut dotrzeć niełatwo. Koszty podróży są wysokie, a linie lotnicze mają kilkudniowe opóźnienia, brakuje dróg. Kiedy rodzinie reportera Adama Jarniewskiego wreszcie udaje się go odwiedzić, dziesięcioletnia siostrzenica chce być na bieżąco ze szkolnym programem, przywozi zeszyty i książki. Córka Jarniewskiego, Alina, ze śmiechem sięga po jedną z nich, opisując przygody Anaruka. Okazuje się, że imię bohatera to grenlandzkie słowo opisujące defekację. Jarniewski dzieli się anegdotą w mediach społecznościowych, a jego wpis czyta skandynawistka Agata Lubowicka. Zaciekawiona pisze do Jarniewskiego, rozpoczynając kwerendę.

Czesław Centkiewicz, kierownik pierwszej polskiej wyprawy polarnej, ponad rok (1932-33) spędza na Wyspie Niedźwiedziej, gdzie poznaje Norwega, Fritza Ojiena. Jest zafascynowany jego historiami, jedną z nich spisuje – tak powstaje szkolna lektura „Anaruk” (prawdopodobnie Amaroq, czyli „wilk”). Tę informację znajdziemy tylko w pierwszym, niedostępnym praktycznie wydaniu. Lubowicka, wiedząc już, że Centkiewicz nie mógł znać chłopca, próbuje dociec autorstwa zawartych w książce zdjęć. Na jednym z nich udaje się jej rozpoznać postać z hollywoodzkiej produkcji „Eskimo”, kolejne identyfikuje jako kadry duńskiego filmu etnograficznego „Wyprawa po narzeczoną”. A portret Anaruka zdobiący okładki szkolnej lektury okazuje się fotosem ze szwedzkiego plakatu. Ale kim jest sam chłopiec? Znów pomagają media społecznościowe. To Simeon (Simmujoq) Larsen. Rozpoznają go dalecy krewni, nie mają pojęcia o jego popularności w Polsce. Sam Larsen także – zginął tragicznie w wieku 24 lat, pod lawiną.

© P MOC

KULTURA W SKRÓCIE

POWRÓT LEGENDY

James Dean wraca na ekrany. Aktor zagra jedną z głównych ról w filmie „Finding Jack”, którego akcja rozgrywa się podczas wojny w Wietnamie.

Prawa do komputerowego odtworzenia wizerunku legendy amerykańskiego kina udzieliła wytwórni rodzina aktora. Angaż zmarłego może być początkiem dużego zjawiska – firma CMG Worldwide oprócz rodziny „Buntownika bez powodu” reprezentuje także spadkobierców ponad tysiąca osobistości świata kultury i rozrywki.

SĄD NA STRONIE

A już 13 listopada rusza strona internetowa sadostateczny.pl. Znajdzie się na niej m.in. film prezentujący w dużym zbliżeniu sceny tryptyku Hansa Memlinga. Dzieło niderlandzkiego malarza znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Gdańsku. Jak tam trafiło? I jaka jest jego symbolika? Mecenasi projektu: Miasto Gdańsk i Samorząd Województwa Pomorskiego, obiegują odpowiedzi.

SYLWESTER MARŻEŃ

Tymczasem na drugim końcu Polski, 16 listopada pod oczkiem wodnym na Krupówkach, odbędzie się protest przeciwko organizacji sylwestra TVP. Na Facebooku powstało wydarzenie „Nie dla sylwestra pod Wielką Krokwią”, sprzeciw wobec planów TVP wyrazili ekolodzy, mieszkańcy Zakopanego, a także przedstawiciele Tatrzańskiego Parku Narodowego, którzy wskazali niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z organizacją imprezy w tym miejscu.



MARCIN ŻYŁA,

autor korespondencji z Kurdystanu (s. 42), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w czwartek 14 listopada, o godz. 15.00 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

#MeToo: przystanek Bagatela



EWELENA BURDA

SZESNAŚCIE KOBIET OSKARŻA DYREKTORA KRAKOWSKIEGO teatru Bagatela, Henryka Jacka Schoena, o molestowanie seksualne i mobbing. Najpierw grupa aktorek, reżyserek i pracowników administracji teatru zgłosiła sprawę prezydentowi miasta Jackowi Majchrowskiemu, a ten przekazał ją prokuraturze. Potem dołączyły kolejne kobiety. Jak twierdzą, zdecydowały się mówić na wieść o tym, że przemoc dotyka też młodsze przyjęte do teatru koleżanki. Niektóre wypowiadają się pod nazwiskiem. W materiale TVN opowiadają m.in.: „Były telefony, gdzie dyszał i mówił, co będzie ze mną robił” – Alina Kamińska, aktorka. „Złapał mnie bardzo mocno w objęcia, próbował mi wsunąć język w usta, wsunął mi go do ucha i oblizywał mnie po twarzy. Ja próbowałam się z tego wymknąć, natomiast dyrektor trzymał mnie, on jest dość silny” – anonimowa zgłaszająca. „Wychodziłam z gabinetu i musiałam iść do toalety zwymiotować” – Patrycja Babicka, pracownica administracji.

„Nigdy nie molestowałam seksualnie pracownic ani kobiet współpracujących z Teatrem, a także nie dopuszczałam się mobbingu” – oświadczył Schoen. W jego sprawie bulwersuje także informacja, że poznał nazwiska kobiet, które poszły do prezydenta. Mówią, że po wizycie w magistracie Schoen dręczył je telefonami i wzywał na indywidualne spotkania do swojego gabinetu.

Zespół teatru Bagatela wydał oświadczenie, w którym apeluje do dyrektora, by do czasu wyjaśnienia sprawy odsunął się od zarządzania teatrem: „Nie ma naszej zgody na żaden przejaw przedmiotowego traktowania pracowników i wykorzystywania pozycji zawodowej”.

© P



MIKE ABRAHAMS / CORBIS / GETTY IMAGES

PIĄTEK BYŁ DOTĄD ULUBIONYM DNIEM PRACOWNIKÓW.

Teraz może polubić go również pracodawcy. W sierpniu br. szefowie japońskiego oddziału Microsoftu sprawdzili, jak na wydajność ponad 2,3 tys. ich podwładnych wpłynie skrócenie tygodnia pracy do czterech dni. Okazało się, że efektywność wzrosła aż o 40 proc. – przy jednoczesnym spadku zużycia energii elektrycznej o blisko jedną czwartą. Pracownikom – jak powiedział szef Microsoft Japan, Takuya Hirano – wolny piątek może z kolei pomóc w odnalezieniu zdrowych proporcji między karierą a życiem osobistym. © P MR

NARKOTYKI BIORĄ DZIECI

Szesnaście procent licealistów eksperymentowało z substancjami psychoaktywnymi. Większość z nich się nie uzależni, nie zniszczy sobie życia. Będą brać weekendowo. Zachęcanie ich do abstynencji to za mało. Możemy zadbać, żeby brali bezpiecznie.

TEKST KRZYSZTOF STORY | ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

PIERWSZEGO BUCHA DAŁ MU OJCIEC. Marcin miał wtedy 12 lat, był na Mazurach z ojcem i jego kolegą. Kolega na łódce wyjął skręta, zaczęli palić, któryś zapytał: „a jak byśmy Marcinowi dali?”.

– Ja wtedy nawet nie paliłem papierosów. Dali mi papierosa, żebym spróbował, czy umiem się zaciągnąć. Potem pociągnąłem „bucha”. Pamiętam, że poczułem się zmęczony, położyłem się spać. Miałem piękny, przygodowy sen.

W jego śnie Aleksander Kwaśniewski bił się z Bronisławem Komorowskim. Marcin pomagał Kwaśniewskiemu, a dziś jest zaskoczony, że wtedy w ogóle wiedział, kim jest Komorowski. Ma 25 lat, wychował się w małej wsi. Do miasta trafił wraz z początkiem liceum. Miasto zaoferowało mu wyższy poziom intelektualny i drugie spotkanie z narkotykami.

– Pojechaliliśmy na obóz nad morze. Na pierwszym postoju odeszliśmy od autokaru, ktoś wyciągnął lufkę. Staliśmy grupką koło stacji benzynowej, paliliśmy marihuanę, nikt nie zareagował. Dla mnie nie było w tym żadnej grozy, to nawet nie była decyzja. Później jeden z kolegów spytał: „Marcin, bierzysz z nami kwas?”.

Odpowiedziałem: „Jasne, a co to?” – wspomina.

Może miał sporo szczęścia. Kolega od pytania dobrze wprowadził go w to, czym jest LSD. Tłumaczył, jakie mogą być reakcje i co wtedy będą robić. Wcześniej ustalili kilka możliwych scenariuszy. Kwas wzięli nad morzem, na plaży, w nocy. LSD przyjmuje się najczęściej w postaci nasączonych listków wsuwanych pod język. Przypominają małe znaczki pocztowe. Marcin wspomina to jak zapalenie lampki w głowie. Mógł sobie przyświecić, porozglądać się po własnym mózgu. Potem wzeszło słońce, a ktoś z telefonu puścił „Wish You Were Here” Pink Floydów. Marcin mówi, że to dobre wspomnienie.

Nie tylko gorzej

Dzisiaj młodzi ludzie, którzy eksperymentują z narkotykami, trafiają do innego świata niż ten, od którego zaczynał Marcin. Popularny pogląd mówi, że ten świat jest gorszy: łatwiejsza dostępność, mniejsza kontrola, niesprawdzone substancje i coraz niższy wiek inicjacji narkotykowej. Tylko niektóre elementy tego obrazu są prawdziwe. Grzegorz Wodowski, terapeuta, kierownik krakowskiej poradni Monaru, wyjaśnia: – Jak mantrę powtarza się, że młodzi ludzie coraz wcze-

śniej zaczynają. Gdyby od 20 lat ten wiek inicjacji spadał, to dzisiaj rejestrowalibyśmy narkotyki przyjmowane prenatalnie. Tymczasem w przypadku marihuany pierwszy kontakt przypada średnio na 16. rok życia, co nie oznacza, że niektórzy nie sięgają po nią wcześniej. Zresztą większość statystyk dotyczących używania narkotyków jest od lat raczej na stałym poziomie. To, co się zmienia, to jego charakter.

Brak potwierdzenia tezy, że bierzemy coraz więcej. Według raportu z 2018 r. jakikolwiek narkotyk w ciągu ostatniego roku wziął co dziesiąty młody człowiek (wiek 15-34). W Unii Europejskiej jesteśmy na 18. miejscu. W badaniu CBOS „Młodzież” to samo pytanie zadano uczniom szkół ponadgimnazjalnych. W ciągu ostatniego roku brało 16 proc. uczniów – najmniej od dziesięciu lat. 49 proc. nie wiedziało, gdzie i od kogo mogłoby kupić narkotyki – to najwyższy wynik od 1994 r.



To zaskakujące, bo dostępność i akceptowalność społeczna narkotyków znacząco wzrosły. Internet i pojawienie się dopalaczy dostarczyło wielu możliwości. Od darknetu po serwisy z ogłoszeniami, fora i narkotaksówki kursujące w większych miastach. Dwa lata temu dziennikarze „Gazety w Krakowie” przeprowadzili eksperyment, w którym w kilkadziesiąt minut, z popularnego serwisu z ogłoszeniami, zamówili 4cmc, czyli klefedron, zamiennik nielegalnego mefedronu.

– Zmieniło się jeszcze jedno. Narkotyki przestały być tematem dużych miast. Dzięki internetowi docierają wszędzie i każdy może mieć do nich dostęp – dodaje Grzegorz Wodowski. Ale największą zmianą w ciągu ostatnich dziesięciu lat było według niego pojawienie się dopalaczy.

Dizajn

– Szczyt popularności przypadł na okres mojego liceum – mówi Marcin. Dziś mieszka w Warszawie. Studiuje, fotografuje i handluje narkotykami. W tej kolejności, bo nie jest hurtowym dilerem. Bardziej kontaktem dla znajomych, którzy wiedzą, że Marcin umie załatwić zioło i kwas. Ma znajomości.

Nazwy „dopalacze” używa niechętnie. Zresztą nie występuje ona nigdzie poza Polską. Za granicą funkcjonują *designer drugs* albo *legal highs*, pojęcia znacznie bardziej precyzyjne. Dopalcacze to syntetyczne narkotyki produkowane albo w celu osiągnięcia konkretnych doznań,

albo w celu obejścia systemu prawnego. Posiadanie większości z nich jest legalne (handel już nie).

Marcin: – Kumpel sprowadzał dużo towaru, nawet współpracował z Chińczykami. Myśmy się wtedy czuli jak pionierzy. Mielśmy okazję testować, opisywać coś zupełnie nowego. Ja nie byłem na pierwszej linii frontu, zawsze korzystałem z zaufanych rekomendacji znajomych. W 2010 r. rząd Donalda Tuska poszedł na wojnę z dopalaczami. W październiku inspektorzy zamknęli ponad →

→ 1400 sklepów, rekwirowano towar, kolejne substancje trafiały na listę zakazanych.

– Tusk miał sensowną chęć walki z tym – przyznaje Marcin. – To był absolutnie bezproblemowy dostęp, sklepy stacjonarne. Nawet ludzie prowadzący te sklepy się bali, część z nich zaczęła trzymać broń pod ladą. Tylko że zakazane substancje zaczęto modyfikować, tak by obejść przepisy. Zamieniano grupy w łańcuchach chemicznych, zmieniano nazwę. Efekt był zawsze ten sam: nowa wersja była bardziej toksyczna i mniej bezpieczna.

Odwrotny skutek

Kryminalizowanie kolejnych substancji jak leci czasem przynosiło odwrotny skutek.

Wodowski: – Na rynku pojawiały się nowe, jeszcze groźniejsze, a e-sklepy szybko pozbywały się tych dopalaczy, które zaraz miały zostać wpisane na listę. Sprzedawano je taniej i w większych ilościach. Wtedy najczęściej dochodziło do zatrucia.

Tę walkę rząd wygrał tylko częściowo. Spożycie spadło kilkukrotnie, ale w 2018 r. było ponad 4 tys. przypadków zatrucia. Ciągłe pojawiają się nowe substancje. Tylko w 2018 r. Główny Inspektorat Sanitarny zarejestrował 55 nowych substancji – ponad jedna na tydzień.

– Wiele osób ze środowiska terapeutów miało taką refleksję: skoro przez lata nie poradziliśmy sobie z kilkoma tradycyjnymi narkotykami, to jakie mamy szanse przy takim napływie nowych substancji? – mówi Grzegorz Wodowski i dodaje: – Dopalacze wprowadziły dużo za-

mieszania w pracę terapeutów. Zwłaszcza w programach, które skupiają się na redukcji szkód, poprawie bezpieczeństwa ludzi, którzy biorą. Nowe narkotyki dużo ciężiej ocenić, zweryfikować.

Wśród nowych narkotyków najbardziej popularne są dwie grupy – katynony i syntetyczne kannabinoidy. Pierwsze to psychostymulanty, najczęściej kolejne pochodne zakazanego mefdronu. Drugie to syntetyczne odpowiedniki marihuany, np. popularny kiedyś „Mocarz”, i stanowią około 25 proc. wszystkich dopalaczy. Są nawet 20 razy mocniejsze od naturalnej marihuany.

Marcinowi syntetyki prawie zabrały życie. To jedyny narkotyk, o którym powie, że ma z nim problem.

– Problem z syntetykami jest taki, że widząc gotowy produkt, nie jesteś w stanie określić stężenia. Ja, mimo że wiedziałem, co robię, czasem traciłem przytomność, dostawałem padaczki. Pewnego razu zapaliłem akurat w domu. Tata wszedł do pokoju i poczuł. Zaczęłam mu tłumaczyć, że wszystko w porządku. Przewróciłem się w środku zdnania, a on zadzwonił po karetkę. Karetka przyjechała po 17 minutach, mieli mnie zabierać, kiedy nagle zatrzymało się krążenie. Obudziłem się trzy dni później. Ale jakbym wtedy skończył tamto zdanie, byłoby źle.

Nigdy później nie zapalił syntetyka. Mówi, że po 2015 r. wszyscy, którzy się znali na dragach, przestali tego dotykać.

Niepewność

Dr hab. Maciej Pilecki jest ordynatorem Oddziału Klinicznego Psychiatrii Dorosłych, Dzieci i Młodzieży w Szpitalu Uni-

wersyteckim w Krakowie: – Szacuję, że co dziesiąty pacjent trafia do nas przez narkotyki. W kolejnych 30 procentach przypadków narkotyki są tłem dla innych problemów.

Pilecki potwierdza, że *designer drugs* zmieniły świat narkotyków: – W zasadzie całą wiedzę sprzed dziesięciu lat musimy odrzucić, bo jest nieaktualna. W nielegalnym obiegu jest kilkaset substancji [720 według raportu GIS – red.]. Większość przyjmowanych narkotyków to mieszanina kilku różnych środków. Często niepewność tego, co się bierze, jest jednym z elementów ekscytacji przyjmowanym środkiem.

W większości przypadków dokładnego składu lekarze nie są w stanie ustalić nawet na podstawie testów narkotykowych. Opierają się na rozmowie z pacjentem. Tylko że często sam pacjent, zwłaszcza osoba początkująca, nie wie, co dokładnie wzięła. Po wspomnianym eksperymencie „Gazety w Krakowie” zakupiona próbka została przebadana. Połowę objętości stanowiła substancja, której nie było w deklarowanym składzie.

– Nawet zadając podstawowe pytania: „Co się bierze?”, „Ile?”, popełniamy błąd logiczny. Bo zakładamy jakąkolwiek stabilność substancji, składu. A tego już nie ma. Świat narkotyków się zdecentralizował, przyspieszył. Kiedy wykładam lekarzom czy psychoterapeutom o narkotykach, nie proponuję im podręczników, bo one są nieaktualne już w momencie publikacji. Odsyłam ich do Hyperreala.

Hyper

Hyperreal to największa baza wiedzy o narkotykach w Polsce. Forum, na któ-

Uzależnienia – problem z pierwszą pomocą

CO MOŻE ZROBIĆ RODZIC dziecka zażywającego substancje psychoaktywne w sytuacjach kryzysowych? Np. zgłosić się do jednej z wielu specjalistycznych poradni leczenia uzależnień, gdzie może uzyskać i poradę dla siebie, i wsparcie terapeutyczne dla dziecka. Tego rodzaju pomoc – co ważne – nie wiąże się z koniecznością posiadania ubezpieczenia.

Znacznie trudniej o dostęp do stacjonarnych ośrodków leczenia. Choć w całej Polsce jest wiele tego rodzaju placówek, to większość z nich pomaga dorosłym. Dlatego rodzice niepełnoletnich uzależnionych skazani są często na szukanie pomocy w kosztownych ośrodkach komercyjnych. Osobnym problemem są Młodzieżowe Ośrodki Wychowawcze – trafiają do nich na

mocy decyzji sądów dzieci powyżej 13. roku życia, które wymagają działań resocjalizacyjno-wychowawczych, bo np. popełniły czyn karalny. Jeśli współistniejącym problemem jest u nich uzależnienie, trudno liczyć na skuteczną pomoc. Jak alarmowała w ubiegłym roku Najwyższa Izba Kontroli, „w większości (...) ośrodków brakowało adekwatnej do potrzeb wychowanków

opieki psychologiczno-pedagogicznej. Do MOW kierowani byli nieletni wymagający szczególnych form opieki, ze względu na cechy osobiste, obciążenia psychiczne, ze skłonnościami do uzależnień od środków odurzających czy stosujący przemoc. Tymczasem pedagogowie i psychologowie (...) mogli poświęcić tygodniowo każdemu z wychowanków średnio nie więcej niż jedną godzinę. W skrajnych zaś przypadkach 19 minut”. © PW

rym użytkownicy wymieniają się doświadczeniami, opisują substancje i zagrożenia. Dzieli się radami co do terapii, bezpiecznego używania, jest osobny dział na sytuacje kryzysowe.

Jeśli ktoś chce eksperymentować, lepiej żeby wcześniej tam trafił, bo zrobi to bezpiecznie. Wielu nie trafia, nie zachowuje podstawowych zasad bezpieczeństwa.

Marcin, diler z Warszawy, mówi: – Mamy bardzo niski poziom wiedzy na ten temat. Nawet kupując marihuany warto się choć trochę zainteresować. Spójrzeć na kolor, na kryształki, czy topy są rozwinięte. Zapytać dilerą, jaka to odmiana. Już sama reakcja może nam dużo powiedzieć.

Grzegorz Wodowski z Monaru: – Narkotyki kojarzą nam się tylko z uzależnieniem, powolnym upadkiem, równią pochyłą. Nie chcemy do siebie dopuścić myśli, że największym zagrożeniem jest przypadkowe przedawkowanie i śmierć. A to przydarza się także tym, którzy sięgają po narkotyki okazjonalnie. Nie chcemy uznać, że pomimo niebezpieczeństw, albo czasem z powodu tych niebezpieczeństw, ludzie będą sięgać po te substancje. I że ogromne znaczenie ma to, jak po nie sięgną, z jaką wiedzą. Musimy włączyć strategię redukcji szkód.

Pomoc

Marcin nie jest hurtowym dilerem. Miesięcznie sprzedaje może 20 gramów marihuany, kilka listków LSD. W nic innego się nie bawi. Raczej znajomym i z polecenia. Rzuca wysokie ceny, sugeruje, by poszukać gdzie indziej.

Marcin: – Większość tego biznesu kontrolują grupy kibicowskie. U was to będzie Wisła i Cracovia, u nas to samo. To są nieobliczalni ludzie, nie każdy potrafi sobie poradzić. A ja nie chcę ryzykować. Zioło załatwiam, bo głupio mi odmówić. Kwas robię z potrzeby serca. Serio. Wiem, że mam bardzo dobre źródło, a uważam, że każdy powinien mieć możliwość spróbowania. Jeśli mogę pomóc, pomagam.

– Pomagasz?

– Głupie, nie? Mam utopijne podejście. Do dzisiaj uważam, że dragi są lepsze niż papierosy i wlewanie w siebie wódki.

– A jeśli za kilka lat okaże się, że ktoś z twoich klientów, znajomych skończył na odwyku albo w grobie? Będziesz miał wyrzuty sumienia?

– Gdybym kogoś potrafił na drodze, nawet z jego winy, wyrzucałbym sobie,

Dostępność i akceptacja dla narkotyków wzrosły.

Internet i pojawienie się dopalaczy dostarczyło możliwości: od darknetu po serwisy z ogłoszeniami, fora i narkotaksówki w dużych miastach.

że nie zrobiłem herbaty, nie wyszedłem z domu minutę później. A tutaj absolutnie nie. Nikogo nie namawiam. Podejmuję świadomą decyzję. Tłumaczę co i jak, mam dobry towar. Kasjerów w supermarkecie nikt nie pyta o wyrzuty sumienia.

– Sprzedałbyś komuś poniżej 18 lat?

– Nie wiem.

Przerywamy rozmowę, bo ktoś akurat wpadł do niego po sztukę, czyli gram marihuany.

Listek LSD kosztuje 40, 50 złotych. Gram marihuany – 30, amfetaminy – 40, kokainy – 300. Na tę ostatnią mało kogo stać. Większość młodych ludzi zaczyna od marihuany.

Tak jak Paweł z Wrocławia. Ma 19 lat, właśnie skończył liceum. – Marihuana jest dzisiaj normą, jest w pełni akceptowana – mówi. – Zdarzyło mi się na imprezie wymienić papierosa za hasz. Nie można tego zawsze utożsamiać z degrengoladą, ale znam też ludzi, którzy przesadzili. Są przepaleni, wychłodzeni w rzeczywistości.

W drugiej klasie liceum Paweł pierwszy raz eksperymentował z MDMA (ecstasy). – Zawsze mnie interesowała dziwność, miałem w sobie trochę mroku, obracałem się w artystycznym środowisku. Słuchałem odpowiedniej muzyki. Jeszcze istnieje pewien styl życia związany z narkotykami. Jest w tym coś wariackiego, abstrakcyjnego, apokaliptycznego. Przecież nawet papierosy były kiedyś reklamowane jako lekarstwo, narkotyki nigdy. Ale w końcu żyjemy w czasach apokalipsy. Ja do tego pasuję. Ale denerwuje mnie, że zrobiła się na to moda.

Alternatywa

W ciągu ostatnich lat świat narkotyków przeszedł ogromne zmiany. O pierwszej

już była mowa: bierzemy inne substancje. Coraz rzadziej opioidy (np. heroinę), zwłaszcza w zastrzykach. Klucie się przestało być społecznie akceptowalne. Środowisko dużo bardziej się samoreguje. Gdy ktoś przesadza, jest wykluczany. Widać to choćby po statystykach zakażeń HIV – jest ich dziesięć razy mniej niż 15 lat temu. Pod względem popularności *designer drugs* wśród młodych ludzi Polska jest na siódmym miejscu w Unii Europejskiej. Widać też korelację: im bardziej surowy system prawny, tym popularniejsze są dopalacze.

Zmiana druga: łatwość dostępu. Nie chodzi tylko o narkotaksówki, rozwijające towar w większych miastach z dostawą do 20 minut przez 24 godziny na dobę.

– Zamówienia w darknetcie to jeden ze sposobów – mówi Marcin. – Ale gdy tylko złapiesz kontakt, rozmawiacie już normalnie. Są serwisy w internecie, które pozwalają wysłać wiadomość, która natchnionych po odczytaniu jest kasowana.

Zmianę trzecią opisuje Paweł z Wrocławia: – Myślę, że w tym roku młodzieżowym słowem roku powinna zostać „alternatywa”. Już tłumaczę. Kiedyś narkotyki tworzyły pewną subkulturę. Były związane z konkretną muzyką, stylem życia, sposobem myślenia. Dzisiaj dalej są takie koncerty, imprezy, jak choćby Wixapol. Ale te subkultury nie są tak intensywne, wymieszały się. Czasami to przypomina bal przebierańców. Zrobiła się moda na mrok. Na bycie smutnym chłopcem, na bycie ładną dziewczyną z chokerem i grzywką à la Mia Wallace.

Zmiana czwarta jest pochodną trzeciej. – Dzisiaj większość stanowią użytkownicy okazjonalni – mówi Grzegorz Wodowski. – To ludzie, którzy biorą tylko w weekendy, na imprezie. Nigdy nie trafia do poradni. Dlatego też nasze podejście powinno być inne. Bo krzykzenie na nich, namawianie do abstynencji jest tyle szlachetne, co bezcelowe. To, co możemy zrobić, to dbać o ich bezpieczeństwo. Edukować, współpracować z klubami, a nie tylko straszyć i ścigać.

W Polsce działa niewiele programów redukcji szkód. Terapie z reguły są przeznaczone dla już uzależnionych. Gdy dziecko dopiero eksperymentuje z narkotykami, rodzice często nie wiedzą, do kogo się zwrócić. Jednym z takich miejsc mogą być poradnie Monaru. Drugim – europejski program „Fred Goes Net”. W Krakowie prowadzi go

→ Stowarzyszenie CPES Parasol. Polega na indywidualnej rozmowie i całodziennych grupowych warsztatach. Jeśli uczestnik programu został wcześniej złapany na posiadaniu narkotyków, może liczyć na łagodniejszą karę. – Bardzo ważny jest pierwszy dobry kontakt z instytucją pomocową – mówi Katarzyna Niklas z Parasola. – Młodzi ludzie są pozytywnie zaskoczeni tym, że ich nie oceniamy, a staramy się zrozumieć i pomóc im samym zrozumieć siebie.

Następny raz

Jak dodaje Wodowski, każda sytuacja, w której młody człowiek sięga po narkotyki, powinna być ostrzeżeniem. Niestety rodzice często nie umieją się w tym odnaleźć, nie wiedzą, jak rozmawiać z dzieckiem, co robić. Bohaterów tego tekstu poprosiłem o rady.

Paweł: – Trzeba umieć oddzielić narkotyki od ich przyczyny. Rozłożyć wszystko na czynniki pierwsze. Podejść do tego z chłodnym, otwartym umysłem.

Grzegorz Wodowski: – Ponoć rodzice dowiadują się trzy lata po pierwszym kontakcie z narkotykami. Ten temat wśród młodzieży jest obecny i nie zniknie. Musimy być na niego otwarci i umieć rozmawiać, tak jak staramy się rozmawiać o seksie czy alkoholu. Ja wiem, że to jest cholernie trudne. Ale jeśli rodzice zamkną usta, rozmowa i tak będzie się toczyć dalej. Rodzic musi się w niej odnaleźć. Surowe oceny, demonstrowanie twardej dyscypliny nie wystarczą.

Marcin: – Nie zarzucałbym dzieci odpowiedzialnością za swój własny stan psychiczny. W tym momencie ważne jest wsparcie, a nie pokazywanie dziecku, jak bardzo nas zawiodło, zraniło.

Katarzyna Niklas: – Jako psycholog chciałabym przekazać rodzicom, że ważniejsze jest poczucie akceptacji niż kontroli. Powiedzieć: „Nie akceptuję twojego zachowania, ale akceptuję ciebie i akceptuję, że możesz się pomylić. Sobie też przyznaję takie prawo. Spróbujmy inaczej zbudować nasze relacje”.

Marcin: – Podejście rodziców powinno polegać na wiedzy. Ona jest dostępna. Sprawdźcie, co wasze dziecko bierze, przeczytajcie na spokojnie, zanim ocenicie. I nigdy nie każcie dziecku obiecywać, że to ostatni raz. Bo następny raz pewnie będzie. Tylko się o nim nie dowiecie.

© KRZYSZTOF STORY



Być wystarczająco blisko

KONRAD MARKIEWICZ, PSYCHOTERAPEUTA:

Kiedyś używki bywały dodatkiem do wspólnego życia, rodzajem towarzyskiego eksperymentu. Teraz częściej stają się środkiem do budowania relacji.

KONRAD MARKIEWICZ: Zaprosił mnie pan do rozmowy o narkotykach, a ja się na nich słabo znam. Na szczęście nie to jest w tej rozmowie najważniejsze.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Dlaczego?

Bo używki – czy to będą dopalacze, marihuana, czy alkohol – jak i inne strategie ucieczki, to jedynie „plastry”, które młody człowiek może stosować na swoje rany. Bardziej konstruktywna jest rozmowa o tych zranieniach.

Ale zdesperowany rodzic, który zauważył, że jego dziecko zażywa narkotyki, zapyta na początku: co robić?

I zwykle nie dostanie ode mnie prostej recepty. Bo gdyby taką otrzymał, zająłby się wyłącznie owymi „plastrami”, a być może przeoczył przyczyny, które do ich stosowania doprowadziły.

O samych używkach z pacjentami i ich rodzicami Pan nie rozmawia?

Nie jestem terapeutą uzależnień, choć oczywiście stykam się z tym problemem. Wówczas bardziej interesuje mnie to, co ta używka młodemu człowiekowi „dała”. Czy np. alkohol sprawił, że ten 15-latek, który do mnie przyszedł, otworzył się na ludzi, a wcześniej był nieśmiały i bał się rówieśników. Albo odwrotnie: 16-latek po marihuanie zapomniała o świecie, który ją przerósł.

Jest Pan z rocznika 1984, więc nastolatkiem był Pan stosunkowo niedawno. Co się przez ten czas zmieniło?

Na pewno zwiększyła się dostępność używek. Większe też wydaje mi się przyzwolenie na ich stosowanie.

Kiedyś był „narkoman”, teraz „imprezowicz”?

Upłynęły się rzeczywiście granice między czymś ewidentnie ryzykownym – jak kiedyś zażywanie narkotyku, np. za pomocą jednorazowej strzykawki – a czymś nieszkodliwym.

Dziś wszystko łatwo wytłumaczyć, racjonalizować, znaleźć dobre uzasadnienie, a to niesie ze sobą ryzyko zbagatelizowania niebezpiecznego zachowania.

Zmienił się też kontekst. Po pierwsze, kiedyś tzw. dorastanie odbywało się między 12. a 20. rokiem życia. Teraz przedłużyło się nawet do 30. albo 35. To oznacza też wydłużony okres eksperymentowania, dawania sobie przyzwolenia na nie-dojrzałość. Równocześnie wzrosły wymagania związane z tym, jak szybko należy osiągnąć określony status społeczny czy materialny.

Poza tym dwie dekady temu silniejsze były chyba więzi między młodymi ludźmi, częściej i więcej spędzali ze sobą czas, w efekcie czego używki częściej też były dodatkiem do tego wspólnego życia, rodzajem towarzyskiego eksperymentu. Teraz częściej zdarza mi się obserwować sytuację odwrotną: używka jest środkiem do budowania relacji.

Co młodzi ludzie mówią o używkach?

Racjonalizują ich stosowanie: to dla wielu z nich coś naturalnego, powszechnego, a nawet dobrego i korzystnego. To dotyczy głównie marihuany: postrzegana ona jest głównie jako coś zbawczego i mającego wyłącznie lecznicze właściwości.

To mit?

Tak, przynajmniej jeśli chodzi o uzależnienie psychiczne. By zrozumieć jego mechanizm, warto zastanowić się, na czym polega niepowtarzalność okresu dojrzewania.

Na czym?

To moment budowania własnej tożsamości. Młody człowiek musi – jak nigdy dotąd i pewnie nigdy później – radzić sobie z intensywnymi emocjami i impulsami. Czasem ze złością, agresją, ale też z własną seksualnością. Jest np. zakochany, czasem nieszczęśliwie, a jego ciało i umysł nieustannie go „atakują”. Wytrzymanie tego, kontrolowanie, nauczenie się dobrych sposobów wykorzystywania swoich nowych, trudnych stanów, sygnałów, jakie wysyła ciało – to wszystko są bardzo trudne wyzwania.

A do tego dochodzi rewolucja w czymś, co można nazwać sprawczością. 12-latek robił do tej pory z grubsza to, na co miał zgodę rodziców. Odwołując się do porównania: mógł siedzieć przy kierownicy w samochodzie, ale

tylko przy wyłączonym silniku i na kolanach ojca. Mija kilka lat i nagle dostaje kluczyki, a z tym samochodem może zrobić to, co mu się podoba: używać go zgodnie z przepisami albo rozpędzić się do 250 kilometrów na godzinę. Tym samochodem z naszego porównania mogą być jego ochoty, popędy, ale też reakcje na niespełnienia i porażki, które przeżywa przecież każdy.

Wcześniej był w centrum uwagi.

Okres adolescencji ma też jedną mniej oczywistą cechę: to konieczność przejścia żałoby po utraconym dzieciństwie, pełnym bezpieczeństwa i bezwarunkowej miłości. Albo i nie: żałoba będzie tym trudniejsza, im bardziej ten wcześniejszy okres był miłości i akceptacji pozbawiony. Dużo trudniej – paradoksalnie – jest nam pożegnać się z czymś niepełnym.

Ta żałoba to część ambiwalencji wpisanej w nastoletni wiek: z jednej strony chcę już być dorosły, z drugiej zaś nie mogę się pogodzić, że przestałem być dzieckiem. Chciałbym być traktowany poważnie, dostawać pieniądze i swobodę, a nadal potrzebuję miłości, czułości.

Co to wszystko ma wspólnego z psychicznym uzależnieniem, np. od marihuany?

Ano to, że jeśli – mimo tych wszystkich naporów, obiektywnych trudności – młody człowiek nauczył się przy wsparciu dorosłych radzić sobie z relacjami, przeżywać piękne chwile, ale też znosić porażki, to przejdzie przez ten okres bez dodatkowych ran, a nawet zyska nową umiejętność radzenia sobie ze sobą i z relacjami. Ale jeśli nauczy się na każdy swój ból, wstyd nakładać „plaster”, to ten nawyk może mu już zostać.

W gabinecie często spotykam 15-, 16-latków, którzy zaczynają eksperymentować z używkami i wydaje im się, że to nie wiąże się z zagrożeniem. Nie są świadomi, jak cienka jest granica między „towarzyskim” korzystaniem z narkotyków a sytuacją, w której to przeradza się w nałóg. W mojej pracy terapeutycznej spotykam przecież też dwudziestokilkulatków, którzy mają za sobą kilkuletnie doświadczenie stosowania niedozwolonych substancji. Nie umieją znaleźć sobie miejsca w życiu, stworzyć trwałych relacji, po raz enty zaczynają studia i nie radzą sobie z najmniejszymi frustracjami.

Obie grupy potrzebują terapii?

Przy tych młodszych, którzy zaczynają, spotkanie z terapeutą może być przestrzenią na rozmowę o tym, co trudne, z czym sobie nie radzą i co ich boli. U tych starszych terapia może stanowić np. sposób na zrozumienie mechanizmów utrudniających im dorosłe funkcjonowanie.

Zdarza mi się też jednak sytuacja, że wystarczy kilka spotkań z samymi rodzicami, w ramach których udaje się matkę czy ojca wzmocnić w ich relacji z dzieckiem. Na przykład w odwadze do rozmowy na trudne tematy. Wzięciu na siebie ciężaru powiedzenia o czymś trudnym: o rozwodzie czy swoim nowym związku. W postawieniu dziecku większych wymagań. Albo w rezygnacji z jednowładzy w domu: mama z lęku przed zbyt srogim ojcem nie chciała dopuścić go do współdecydowania o losie dzieci.

W czym – przy pomocy terapeuty – rodzic może pomóc dziecku?

Najpierw może pomóc samemu sobie. Nauczyć się wytrzymywać swoje dziecko takie, jakim jest – z jego wybuchami, chwiejnością, złością. A potem, jeśli zaszła jakaś sytuacja kryzysowa – choćby stosowanie używek – odpowiednio zareagować, postawić granicę oraz dać możliwość rozmowy o tym, co się dzieje. W dalszej perspektywie może zaprosić swoje dziecko do wspólnego konstruowania nowych zasad i reguł, choćby dotyczących spotkań z rówieśnikami, rodziny powrotu. To ważne, by takie rzeczy ustalać razem: tylko taka strategia wzmacnia nasze wspólne bycie, zwłaszcza że jego brak mógł być jedną z przyczyn kryzysu.

Bo matka z ojcem byli zabiegani, a z dzieckiem rozmawiali zwykle podnosząc wzrok znad komputera?

Pyta mnie pan o samotność jako przyczynę kryzysu. To zjawisko istniało zawsze, ale współcześnie na pewno się nasila. I to nie tylko w tym najbardziej oczywistym wymiarze: braku czasu.

Zmienił się też model dorastania. Czytam właśnie specjalistyczną książkę nt. pracy z nastolatkami, w której autor – cytując innego psychologa – przywołuje metaforę opisującą zmianę. Otóż dawniej dorastanie przypominało jazdę po ciągiem, który zmierzał do ustalonego z góry miejsca według ustalonej trasy, w dodatku zwykle w towarzystwie innych pasażerów. Teraz okres ten bardziej →

→ przypomina podróż samochodem: kierowca może w każdej chwili podejmować wolne i autonomiczne wybory, zmieniając trasę, a nawet cel. Dostaje więcej wolności, ale mniej punktów odniesienia oraz bezpieczeństwa.

Zdarza się też problem odwrotny: nadobecność rodziców, skłonność do kontrolowania i modelowania życia dziecka wedle własnego wyobrażenia, jakie ono „powinno być”.

Ale to wcale nie jest odwrotny problem: konsekwencją takiego podejścia też jest samotność dziecka! Rodzic nie jest przecież w tym modelu zainteresowany swoim synem czy córką, ale sobą i swoimi wizjami jego przyszłości. Próbuje przeżyć życie za swoje dziecko, a nie towarzyszyć nastolatce i być gotowym do reagowania, kiedy nadchodzi taka potrzeba. Taka postawa zdecydowanie budzi u młodych ludzi poczucie niezrozumienia i bycia niebranym pod uwagę.

Jak można takiemu rodzicowi pomóc?

Nakłonić go do refleksji, dlaczego buduje taki, a nie inny typ relacji. Do prześledzenia, jakie obawy i lęki się w nim budzą, gdy jego 16-letnia córka zaczyna chodzić na imprezy albo eksperymentować z używkami. Dlaczego zamiast z nią rozmawiać, wysyła komunikaty w rodzaju: „Nigdzie nie pójdziesz” albo przeciwnie: „Rób, co chcesz”. Oba wzmacniają poczucie osamotnienia dziecka, bo żaden nie zaprasza do bycia razem.

A to przecież jest klucz do wszystkiego, także gdy rozmawiamy o używkach: przeżywanie trudnych stanów razem. Czasami nazywanie tych stanów, innym razem nadanie im znaczenia, jeszcze innym wzięcie ich na siebie. I gotowość do pertraktacji.

A jeśli dziecko odmawia pertraktacji, nie chce rozmowy?

Rodzice mówią mi o tym często. Odpowiadam, że na tym polega m.in. rodzicielstwo: to gotowość do pomocy, bycia z dzieckiem, ale też do przyjęcia odmowy. Trzeba wytrzymać – nawet w momencie kryzysowym, budzącym nasz lęk, jak sygnały narkotykowych eksperymentów – swój niepokój. Bo on może nas prowadzić do pochopnej oceny, wybuchu złości, a to z kolei może zablokować jakąkolwiek komunikację.

W gabinecie często spotykam 15-, 16-latków.

Oni nie są świadomi, jak cienka jest granica między „towarzyskim” korzystaniem z narkotyków a sytuacją, w której **to przeradza się w nałóg.**

Szkola też bywa strefą osamotnienia.

Zwłaszcza gdy jest zredukowana do pogoni za sukcesem, stanowi nieustanny poligon przygotowujący dziecko do matury albo innego egzaminu, a każdy nauczyciel uważa, że jego przedmiot jest najważniejszy. Jeśli nauczyciel tak definiuje swoją rolę, to siłą rzeczy osłabia się jego funkcja kogoś, kto towarzyszy rozwojowi dziecka. Szkoła w takim wydaniu staje się przedłużeniem domu z nieobecnymi rodzicami.

Choć z drugiej strony nie sędzę, by szkoła była w stanie w pojedynkę pokierować młodego człowieka. Ona zwykle uwydatnia problem, który już istnieje.



ARCHIWUM PRYWATNE

KONRAD MARKIEWICZ jest pedagogiem, certyfikowanym psychoterapeutą Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, specjalistą terapii środowiskowej PTP i trenerem umiejętności psychospołecznych Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Prowadzi psychoterapię nastolatków, dorosłych i rodzin. Pracuje m.in. w Katedrze Psychiatrii Dzieci i Młodzieży Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie oraz w Fundacji Rozwoju Terapii Rodzin „Na Szlaku”.

Wtedy jedyną ucieczką może się jawić używka. Amfetamina, żeby jeszcze bardziej zmobilizować się do wysiłku, albo coś na złagodzenie stresu.

Patrzy Pan na narkotyki jako na symptom. Ale one przecież bywają także problemem samym w sobie. Np. gdy nastolatek się uzależnił i wylądował w szpitalu po przedawkowaniu.

Wtedy jest już najwyższy czas, by zwrócić się po fachową pomoc, i to nie tylko terapeutę. Rodzicowi nie jest łatwo zdobyć się na taki krok – blokuje go często poczucie winy. Na ile przyłożyłem do stanu mojego dziecka rękę? Jak i kiedy mogłem temu zapobiec?

Stąd częste reakcje rodziców, którzy potrafią nawet bagatelizować próby samobójcze dzieci?

Albo przerzucać odpowiedzialność na grupę rówieśniczą lub szkołę. Bądź obierać strategię wyręczania syna lub córki ze wszystkiego, co trudne, dawać mu w tym kryzysie tzw. miłości bez granic.

„Kocham cię takiego, jakim jesteś” – co w tym złego?

Nic, ale ważny jest ciąg dalszy tego zdania. Kocham cię takiego, jakim jesteś, dlatego zawożę cię do ośrodka na odwyk. Kocham cię, i właśnie z tego powodu muszę wezwać pogotowie, bo straciłeś nad sobą kontrolę. Kocham cię, ale muszę cię ratować, bo niszczysz siebie i innych. To bardzo trudny moment: sama miłość już nie wystarczy.

Ale pamiętajmy, by nie przeceniać znaczenia pojedynczych incydentów, np. okazjonalnego używania marihuany – w okresie dojrzewania wpisane jest przecież poszukiwanie, próbowanie, budowanie tożsamości. Oczywiście, jeśli używanie danej substancji staje się regularne, powoduje problemy zdrowotne, znacząco zmienia schemat funkcjonowania społecznego i psychicznego, powinno to wzbudzić nasz niepokój.

Niezależnie jednak od wagi problemu, istnieje tylko jedna dobra recepta na poprawę: bycie razem. Wystarczająco blisko, by znać swoje dziecko, i wystarczająco daleko, by z dystansu móc odpowiednio reagować na kryzys.

© Rozmawiał

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Możesz zdecydować o losach naszego świata. Przyszłość dzieje się teraz!



Halo, tu Ziemia.
Weź, czytaj, to do Ciebie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydanie specjalne w sprzedaży
w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/ziemia

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmieńska (kierownik),
Anna Dziurzykowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Fetietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwił-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, ks. Jacek Prusak SJ,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna
Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna
Rusińska, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmieńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA ZOYA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla „Tygodnika
Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Kto napisał Księgę Koheleta*



„SŁOWA KOHELETA, SYNA DAWIDA, KRÓLA w Jerozolimie” – tak zaczyna się księga. W nieoczywistym przekładzie rabina Sachy Pecarica czytamy: „Proroctwo Koheleta, wokół którego gromadził się lud, syna Dawida, króla Jerozolimy”. Autor jest, wedle

ortodoksyjnych rabinów, jasny: to Salomon, nazwany Koheletem, ponieważ przemawiał do licznie zgromadzonych, a słowa zapisywał na zwoju. „Zgromadzony” odnosi się zarówno do ludzi, jak i samego utworu. Salomon przewyższał mądrością wszystkich, a jego mądrość pochodziła od Boga. Pozycję zyskał dzięki ojcu, a z komentarza midraszowego wiemy: szczęśliwy jest ten, kto polega na zasługach ojca. Wspomniane jest Jeruzalem, bo w nim zamieszkuje Szechina – niecielesna obecność Boga – proroctwo i Tora. Tam też mieszkał król mędrców.

Rabini chętnie zapominają, że stary, doświadczony życiem Salomon, ten w wieku Koheleta, nie był w przyjaźni z Bogiem, ulegał swoim żonom i bez zahamowań składał hołdy obcym bogom. Naiwność współczesnych rabinów kwestionują autorytety dawnych komentatorów, choćby Raszbama, wnuka Raszego (XI wiek) czy Moszego Luzzatto z Padwy (XVII w.).

Współcześni badacze powiadają, że księga powstała w IV lub V wieku przed wspólną erą. Wskazuje na to jej język, w tym zapożyczenia z aramejskiego i perskiego. „Syn Dawida” nie oznacza jego dziecka. Może odnosić się do dalekich potomków albo do pokrewieństwa duchowego. A powołanie się na Salomona może służyć tylko uprawomocnieniu księgi jako dzieła kanonicznego. Nie wiemy, kto konkretnie ją napisał. Wiemy tylko, że na Bliskim Wschodzie, w Grecji i zapewne w samym Izraelu, mogły istnieć szkoły mądrościowe lub choćby szkoły skrybów zwykle związanych z pisarzami kapłańskimi. Jedynie w Księdze Przysłów mamy wprost odniesienie do szkół, które nauczały mądrości, za co płaciło się czesne.

Nie jest to jednak odpowiedź na pytanie: kto ową księgę napisał. Wiemy, że musiał być człowiekiem wiekowym, bez względu na to, co to dzisiaj znaczy. Dużo przeżył i dużo widział. Pochodził z zasobnej w dobra rodziny. Uchodzi za konserwatystę, choć nie tradycjonalistę. Znał biblijną tradycję, z nią się mocował i polemizował. Z pewnością miał bogate doświadczenie literackie: jego styl jest niezwykły. Wypowiadał opinie, które nie sposób przypisać Salomonowi: trudno, by ten tak gorzko narzekał na niesprawiedliwość, niegodne zachowanie sędziów, skarżył się na przemoc wobec biednych, krytykował wspieranie głupców i niewolników, na wysokie urzędy – chyba że chciał na siebie samego napisać satyrę. Z pewnością mieszkał w Jerozolimie, gdzie swoje rezydencje mieli też inni wielmożę. Do nich się zwracał i z nimi, jak w kręgu studijnym, dyskutował. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Bóg się niczym nie brzydzi*



PROROK MALACHIASZ PRZESTRZEGA, że „oto nadchodzi dzień, palący jak piec, a wszyscy zuchwali i czyniący zło będą jak słoma. Ten nadchodzący dzień spali ich – mówi Pan Zastępów. Nie pozostanie po nich ani korzeń, ani gałązka”.

Grzesznicy zostaną unicestwieni, mówi psalmista, gdyż Tobie „Boże, nie podoba się nieprawość, bezbożny nie zamieszka u Ciebie. Nie ostoja się grzesznicy przed Twymi oczyma, nienawidzisz tych, co się dopuszczają nieprawości. Wytracasz wszystkich, którzy mówią kłamstwa. Pan się brzydzi człowiekiem krwawym i podstępym”.

Po piętnastu wiekach kaznodzieja głosił: „Grzechy są zgładzone śmiercią Chrystusową, przeto wiemy, że Bóg już się na nas nie gniewa, ale jest naszym przyjacielem, a nawet miłym Ojcem. Pojednanie to jakiś obowiązek wkłada na nas? Oto ten, żebyśmy radowali się, iż mamy Boga tak łaskawego i dobrotliwego, który jest miłością, i chwalili go i w nim pokładali swe ufanie w każdym utrapieniu i pokuszeniu. Bo jeśli Bóg naszym przyjacielem, cóż może nam szkodzić, martwić i straszyć nas? (...) Chrystus siedzący na prawicy Ojca przyczynia się za nami. A chociaż nadejdzie śmierć i zdławi nas na jakiś czas, przecież wiemy, że Chrystus wzbudzi nas do żywota wiecznego”. Tym kaznodzieją był ks. Marcin Luter.

Po następnych pięciu wiekach biskup Rzymu Franciszek powie: „Pan nie brzydzi się rzeczami, nasze grzechy nie budzą w Nim obrzydzenia do nas. On przybliżył się tak, jak przybliżył się, aby dotknąć trędowatych i chorych. Ponieważ On przyszedł, aby leczyć, On przyszedł, aby zbawiać; nie, aby potępiać”. O tym, że tak jest naprawdę, najlepiej świadczy Eucharystia i pozostałe sakramenty. A przecież my, ludzie, dostarczamy Bogu dosyć powodów do tego, żeby nabrał do nas obrzydzenia.

Gdybyśmy mogli zobaczyć i usłyszeć, co w tej chwili dzieje się we wszystkich chrześcijańskich świątyniach, zobaczylibyśmy stół, chleb, wino i usłyszeliśmybyśmy zaproszenie: Wszyscy bierzcie i jedzcie moje Ciało, wszyscy bierzcie i pijcie moją Krew. A to znaczy, że Jezus traktuje nas jak celnika Zacheusza. „Nie czyni mu wyrzutów, nie głosi mu kazań. Mówi, że musi do niego pójść: musi, ponieważ taka jest wola Ojca. Pomimo szemrania ludu, Jezus postanawia zatrzymać się w domu tego publicznego grzesznika” – mówi Franciszek. Ten gest życzliwości doprowadzi celnika do „gwałtownej przemiany mentalności”, stanie się on „zdolny do kochania innych”. Ta przemiana mentalności zaowocuje czynem. Zacheusz dzieli się z innymi tym, co uważał za swoją wyłączną własność, do której nikt inny nie ma żadnego prawa. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Nie sądź i nie gardź

Początkiem wewnętrznego
pokoju jest oddalenie
wszelkiego zamętu
w głębi duszy.
Końcem i celem – wyzbycie
się lęku i pozostawianie
niewzruszonym w obliczu
wszelkich zamętów.

JAN KLIMAK



Niczego więcej
nie potrzebujemy
niż czasu.

ZENON Z KITON



Wybrał PIOTR SIKORA



PRZEJMUJĄCY FRAGMENT Listu do Rzymian niedawno przyniosła nam liturgia: „Dlaczego ty osądzasz swego brata? Albo dlaczego gardzisz swoim bratem? Wszyscy przecież staniemy przed trybunałem Boga” (Rz 14, 7-12).

Słowa – same w sobie wstrząsające – stają się prawdziwie dramatyczne, jeśli je przeczytamy w ich najbliższym kontekście, który stanowi cały 14. rozdział Pawłowego pisma. Apostoł mierzy się w nim z problemem dopuszczalności spożywania przez chrześcijan pokarmów, które były wcześniej ofiarowane bożkom (ten sam temat – szerzej – omawia w 1 Kor 8-11). Niektórzy uważają, że spożycie takiego pokarmu jest aktem bałwochwalstwa – skoro był on wcześniej użyty w pogańskim kulcie. Inni są skłonni raczej bagatelizować cały problem: wiemy, że żaden z pogańskich bogów czy bożków tak naprawdę nie istnieje – twierdzą – a skoro tak, to obawa o bałwochwalstwo pozbawiona jest poważnych podstaw.

Dobrze. Faktycznym jednak problemem w rzymskim Kościele – zauważa św. Paweł – nie jest stosunek uczniów do pokarmów. Prawdziwym problemem stał się ich stosunek wzajemny do siebie. Jedni – ci, którzy „mają wiedzę” (por. 1 Kor 8, 10), tzn. świadomość co do nieistnienia bożków – pogardzają „prostaczkami”, którzy przejmują się rzekomym bałwochwalstwem; ci z kolei nie pozostają im dłużni i osądzają „elitę” oraz jej

„liberalne” traktowanie tak poważnych zagadnień.

Apostoł ani nie chce, ani nie potrafi być stroną w tym sporze. Przeciwnie, staje przeciwko jednej i drugiej postawie. „Kim jesteś – stawia najpierw pytanie jednemu i drugiemu – żeby osądzać nie swojego sługę” (zob. Rz 14, 4) – a nawet więcej niż sługę: domownika (w tekście pada greckie słowo *oiketes*). A więc: nie jesteś panem swego współbrata! Jego Panem i Sędzią jest Bóg: chcesz jeść – to jedz, ale nie gardź współsługą, który ma wątpliwości; nie chcesz/boisz się jeść – to nie jedz, ale nie osądzaj swego brata, który w sumieniu swoim rozeznął inaczej niż ty. Obydwaj jesteście domownikami Boga, który was obu zaprosił do stołu.

Obie strony sporu różnią się rozeznaniem moralnym; nie różnią się natomiast (niestety) brakiem miłości – i do braci, i do Boga! „Czy chcesz, żeby przez pokarm przepadł ten, za którego Chrystus umarł?”; „Czy dla pokarmu chcesz zniszczyć dzieło Boga?” (zob. Rz 14, 15 i 20).

Czy w rozpalonym do czerwoności sporze nie utraciliście elementarnego wyczucia proporcji? O co ta wojna? Czego dotyczy tak zdecydowany osąd i potępienie? Skąd się wzięła tak demonstracyjna pogarda? Co obie strony gubią ze swojego pola widzenia? W jak przerażający sposób unieważniają „wielkie dzieła Boże”?

Czytamy te słowa dwadzieścia wieków po tym, jak zostały napisane. Dziś wydają się jeszcze bardziej potrzebne niż wtedy. ©

CYTANIA LITURGICZNE (17 – 24 XI)

33. niedziela zwykła: Ml 3, 19-20a; Ps 98;
2 Tes 3, 7-12; Łk 21, 5-19;
Poniedziałek: 1 Mch 1, 10-15. 41-43. 54-57. 62-64;
Ps 119; Łk 18, 35-43;
Wtorek: 2 Mch 6, 18-31; Ps 3; Łk 19, 1-10;
Środa: 2 Mch 7, 1. 20-31; Ps 17; Łk 19, 11-28;

Czwartek: 1 Mch 2, 15-29; Ps 50; Łk 19, 41-44;
Piątek: 1 Mch 4, 36-37. 52-59; 1 Krn 29;
Łk 19, 45-48;
Sobota: 1 Mch 6, 1-13; Ps 9; Łk 20, 27-40;
Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata:
2 Sm 5, 1-3; Ps 122; Kol 1, 12-20; Łk 23, 35-43.

KRAJ



HAMULCE WŁADZY

Po czterech latach rządów PiS wiemy jedno: politycy obozu władzy też chcą należeć do elit, którymi ich własna propaganda tak gardzi.

KLAUS BACHMANN

KRAJOBRAZ PO BITWIE WYBORÓW PARLAMENTARNYCH wygląda tak, jakby żadnej bitwy nie było. Opozycja starała się (dość skutecznie) mobilizować własne elektoraty, ogłaszając, że wyborcy mają wybór między demokracją a dyktaturą. Ale w Polsce każde wybory po 1989 r. mianowano ostateczną batalią

między piątym rozbiorem Polski a niepodległością, między powrotem komunizmu i demokracją, między antychrystem i zbawieniem.

Były tylko dwa wyjątki: wybory 1989 r., które przebiegały w dużej mierze w atmosferze wzajemnego szacunku między obozem władzy i opozycją, oraz wybory

parlamentarne 2015 r., w których koalicja rządowa i opozycja sprawiały wrażenie, jakoby wynik był przesądzony i same wybory większego znaczenia nie miały. Taki polski paradoks: im mniej zagrożeń, tym bardziej widowiskowo elity polityczne walczą o ocalenie państwa i narodu. A im więcej nam zagraża, tym są spokojniejsze.



*Gala nagrody Człowiek Wolności
zorganizowana przez tygodnik „wSieci”,
Teatr Narodowy w Warszawie,
styczeń, 2017 r.*

RAFAŁ OLEKSIWICZ / REPORTER

Prawdziwa zagadka

Największym paradoksem rządów PiS i ostatnich wyborów jest jednak coś innego: że te wybory się w ogóle odbyły i że nikt nie kwestionował ich prawidłowości. Wszyscy – władza i opozycja – uznają ich wynik.

Oto mamy partię, która cztery lata temu zdobyła na skutek swoistej awarii systemu wyborczego absolutną większość mandatów w obu izbach parlamentu. Po czym podporządkowała sobie Trybunał Konstytucyjny, część Sądu Najwyższego, Krajową Radę Sądownictwa, administrację sądów powszechnych i prokuraturę, wielokrotnie naruszając przy tym konstytucję. Na końcu – i krótko przed wyborami – przejęła też całą administrację wyborczą, wysyłając tam swoich przedstawicieli. Innymi słowy: przekształciła cały system polityczny i administracyjny tak, aby móc albo fałszować wybory, albo w przypadku przegranej je unieważnić. A także – za pomocą dodatkowych prerogatyw podporządkowanych rządowi policji, służb specjalnych, prokuratury i lojalnych wobec władzy sędziów – tłumić ewentualne protesty.

Więcej: władza miała też, bardziej niż jakakolwiek inna po 1989 r., wszelkie powody, aby się tak zabezpieczyć. Choćby z powodu wielokrotnego naruszenia konstytucji i zapowiedzi opozycji, że będzie chciała ukarać liderów PiS po zmianie władzy. Kierownictwo partii wiedziało, że tym razem przegrane wybory to nie tylko utrata władzy, przywilejów, zarobków, miejsc w radach nadzorczych, lecz też – być może i dla niektórych – wolności osobistej.

A mimo tego nikt wyborów nie sfałszował. Przypomina to trochę sprawę faceta, który kupił sobie karabin, założył czarną maskę i rękawiczki, ukradł samochód służący do ucieczki, po czym wpadł do banku tylko po to, by za pomocą karty bankomatowej wyciągać pieniądze z własnego konta. Klienci na wszelki wypadek padli na ziemię. No i zagadka: skąd ten facet wiedział, że nikt nie będzie do niego strzelać? Czy być może wcale o tym nie wiedział?

Plany niektórych liderów opozycji, aby po zmianie władzy przykładowie ukarać liderów PiS, „odzyskać” Trybunał Konstytucyjny i stosować wobec kluczowych sędziów i polityków PiS ich własne metody, były zapewne palcem na wodzie pisane, bo nowa rada ministrów musiałaby jeszcze przez prawie rok współrządzić z obecnym prezydentem. Stosowanie pisowskich metod wobec sądownictwa zostałoby zapewne zablokowane przez instytucje europejskie (tym razem zywane na pomoc przez PiS). Niemniej zostaje zagadka, po co PiS gromadził instrumenty, by móc bezkarnie fałszować wybory. Nawet kampania była przecież spokojna, a „administracyjne rezerwy”, jak mawiają na Ukrainie, poszły w ruch jedynie po to, by bronić PiS przed zarzutami (sprawa Banasia, grupa Piebiaka), ale nie wyeliminowały nikogo z opozycji z wyścigu o mandaty.

Paradoks rządów PiS ma zresztą szerszy zasięg: w wyniku zmian w służbach specjalnych, policji, prokuraturze i sądownictwie obóz władzy tworzy sobie podstawy, aby móc inwigilować, przesłuchiwać, aresztować, osądzić, skazać i więzić przeciwników politycznych oraz tłumić ewentualne protesty – lecz potem nic z tego nie robi. Poza kilkoma wysoce nieudolnymi przesłuchaniami swojego największego wroga, Donalda Tuska, nawet nie próbował mu przedstawić jakichkolwiek zarzutów.

Po czterech latach rządzenia PiS ma teraz wszystko, co trzeba, aby organizować sądy kapturowe i procesy pokazowe, ma tak szeroki i nieskrępowany dostęp do danych i tajemnic każdego obywatela, że mógłby eliminować dowolnego przeciwnika. A jednak...

Lęki polskie, lęki prawicy

Jedno z możliwych rozwiązań tej zagadki wskazuje na skrajną nieudolność i brak kompetencji PiS. Twierdzą tak politycy opozycji i często mają rację, np. gdy chodzi o politykę zagraniczną i stosunki z UE albo o jakość prawodawstwa, które powstało w ostatnich latach. Brak kompetencji wyjaśnia część paradoksu tej władzy: po wszystkich czystkach nic już dla PiS nie wynika z posiadania służb specjalnych. Są teraz bezbronni i głównie zajęte ochroną wizerunku rządu oraz walkami o wpływy.

→

Trawestując słynne porzekadło Lecha Wałęsy, można by rzec: kiedy jest „spokój na górze”, wtedy dopiero szary obywatel ma powód do zmartwienia.

Nie wszystkie wnioski z tych wyborów są jednak takie zabawne. Kolejny raz ujawniły bowiem, na czym polega instytucjonalny kryzys demokracji: rządzić może partia, która (kolejny raz) zdobyła tylko relatywną większość wśród wyborców, ale dało jej to decydującą o losach wszystkich obywateli większość mandatów. Wbrew pozorom, ten kryzys nie sprzyja PiS: przekonując do siebie jeszcze więcej wyborców niż cztery lata temu – obojętnie, czy liczymy to jako odsetek wszystkich ważnie oddanych głosów, czy w liczbach absolutnych – partia ta otrzymała tyle samo mandatów, co w 2015 r.

⇒ W polityce chodzi zazwyczaj albo o władzę, albo o pieniądze. A ludziom – politykom tak samo jak obywatelom – poza sprawami materialnymi jeszcze chodzi o respekt i reputację, o to, co inni o nich myślą i mówią. Pod tym względem PiS tylko naśladował poprzedników, którzy najpierw przejęli ostre narzędzie, aby je potem stępić, zniszczyć i dezawuować. To wyjaśnia, dlaczego obóz władzy tak mało korzysta ze służb, w których wszechmoc tak bardzo wierzy: po prostu nie może. Potraktowano je jak BOR: ob-sadzono wszystko „swoimi” i potem się okazało, że nowa formacja, która teraz nazywa się SOP, jest „nasza”, ale jeździć już nie umie, choć chodzić jeszcze potrafi.

To jednak wyjaśnia tylko część zagadki. Trybunał Konstytucyjny działa tak, jak obóz władzy to sobie wymarzył. Prokuratura też. Co prawda nie przesładuje przeciwników na masową skalę, ale skutecznie chroni liderów obozu władzy przed Temidą. I tu pies jest pogrzebany. Partii Kaczyńskiego nigdy nie chodziło o to, aby w Polsce ustanowić dyktaturę. Gdyby o to chodziło, pewnie byśmy tę dyktaturę już mieli. Szkopuł w tym, że PiS nie ma żadnej ideologicznej wizji tego, co chciałby osiągnąć za pomocą ewentualnej dyktatury. Jego program to zlepek haseł nacjonalistycznych, katolickich, łączenie samowystarczalności i nieufności wobec globalizacji z retoryką rynkową i praktykami neoliberalnymi, mieszanie kultu Piłsudskiego z hasłami narodowo-radykalnymi. Nie ma tam żadnej spójnej wizji ani ideologii, przypomina to bezideową i propanstwową retorykę obozu władzy po przewrocie majowym, tak samo zagrożonego w korupcji.

Jeśli nie chodzi o władzę, musi chodzić o pieniądze. Nic nowego. To „przejmowanie państwa” i dojenie publicznych zasobów na rzecz zwolenników rządzącej partii trwa od 1989 r., a szczególnie odkąd komercjalizacja przedsiębiorstw państwo-

wych (którą wtedy uważano za bardziej humanitarny od prywatyzacji) sposób na ich rozwój) tworzyła korupcjogenny biotop i tysiące intratnych pozycji dla zwolenników danego rządu.

Partie polityczne mogą czerpać zeń te korzyści, których obywatele nie chcą im dać w postaci dotacji z budżetu. Od tych zasobów zwolennicy prawicy byli odcięci przez dwie długie kadencje PO/PSL, i to teraz sobie kompensują z nadwyżką. Władza polityczna jest im potrzebna tylko po to, aby zabezpieczyć dostęp do tych zasobów.

Drugi powód, dlaczego PiS dał sobie wszystkie narzędzia do zaprowadzenia dyktatury, ale z nich nie skorzystał, to lęk. I tu znowu mamy paradoksalną sytuację, bo zaufanie między elitami politycznymi było większe w czasach wielkich zagrożeń, kiedy w Polsce stacjonowały jeszcze wojska radzieckie, do członkostwa w UE i NATO było daleko, a krajem targały konflikty społeczne i fale strajków na skutek reformy Balcerowicza. Kiedy sytuacja się ustabilizowała, prawica zaczęła się obawiać, że lewica zaprowadzi znowu komunizm i sprzeda Polskę Rosji. A lewica zaczęła się bać prawicowego puczu.

To była propaganda, lecz z własnego doświadczenia wiem, że wielu wpływowych przedstawicieli obu obozów było głęboko przekonanych o niecznych zamiarach przeciwników, choć ci wcale takich zamiarów nie mieli. Obie strony zaczęły się w końcu zachowywać tak, jakby faktycznie miały zamiary, jakie przeciwnik im przypisał, wzmacniając tym samym wzajemną nieufność. I wszyscy zaczęli wierzyć we własną propagandę. Dlatego prawdopodobnie teraz mamy powtórkę z tej wątpliwej rozrywki.

PiS potrzebuje narzędzi do zaprowadzenia dyktatury nie po to, by ją wprowadzić, lecz by się zabezpieczyć przed utratą tej władzy, którą realnie ma. Podporządkował sobie Trybunał Konstytucyjny,

aby opozycja nie mogła go wykorzystać przeciwko niemu (przedstawiciele PiS sami to nawet przyznali). Scentralizował służby specjalne nie po to, aby je wykorzystać przeciwko opozycji, lecz aby ewentualni zwolennicy opozycji ich nie wykorzystali przeciwko rządowi. Wyciszył wojsko nie po to, by go użyć, lecz by zapobiec problemom ze zwolennikami innych partii wśród generacji.

Kryzys zaufania

Te lęki mogą się wydawać śmieszne i oderwane od rzeczywistości, ale z całą pewnością nie są mniej autentyczne niż obawy polityków SLD, że oskarżenia wobec Józefa Oleksego to element planu obalenia rządu, albo obawy polityków solidarnościowych, że SLD po 1993 r. przywróci gospodarkę planową i zawrze sojusz z Rosją.

Kto nie uwierzy w autentyczność tych lęków, niech się przygląda, jak prawicowa publicystyka (i za nią wielu polityków obozu rządzącego) dziś boi się owych karykatur Niemiec i UE, które sama w ostatnich latach stworzyła na użytek wewnętrzny. Tyle razy pisowscy politycy i publicyści powtarzali, że Niemcy nieustannie knują, aby się „z Polakami dzielić winą za Holocaust”, że prowadzą „agresywną politykę historyczną” i że Angela Merkel pociąga za sznurki instytucji UE, aż uczynili to podstawą własnej polityki zagranicznej. I teraz boją się tego groźnego świata, który kiedyś sobie wyobrazili.

Najbardziej nieźrównoważony, niekompetentny i chwiejny prezydent Stanów Zjednoczonych uchodzi za najlepszego sojusznika Polski. Rząd wierzy, że jako jedyny ma prawo mianować przewodniczącego Rady Europejskiej i że może nie wypełnić swoich zobowiązań wobec UE, ale i tak potem wygrać z TSUE. W takim świecie można też czyścić wojsko i służby specjalne, aby zapobiec puczom, których nikt nie planuje, i podporządkować sobie Państwową Komisję Wyborczą, aby opozycja nie mogła sfałszować wyborów.

Może to PiS doprowadził polityczną paranoję do skrajności, ale jej nie wynalazł. To skutki gigantycznego kryzysu zaufania w elitach politycznych, który trwa od wielu dekad. I który nie zmieni się ani o jotę, jeśli inna partia obejmie władzę. Objawy tego kryzysu mogą się wydawać śmieszne, ale sam kryzys jest bardzo niebezpieczny. Mamy przed sobą

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 1148/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Kozłowskiej-Chmielewskiej, zm. 29 listopada 2018 r. w Hipolitowie, ostatnio stale zamieszkałej w Hipolitowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

państwo, które może w każdej chwili fałszować wybory, aresztować przeciwników i wprowadzić dyktaturę. Być może PiS tego nie chce – ale PiS może to zrobić, podobnie jak każdy, kto państwo po rządach Kaczyńskiego kiedyś odziedziczy.

Gdzie przebiega czerwona linia?

Obóz rządzący nie korzystał dotąd ze wszystkich możliwości, jakie sobie stworzył, ale to też nie jest żelazna reguła. Z mediów, które kiedyś były publiczne, korzystał z nawiązką, przekształcając zwłaszcza telewizję w narzędzie propagandy przeciwko opozycji. Ale gdzie wobec tego przebiega dla PiS ta granica między tym, co wolno, a tym, czego nie wolno? Dlaczego ten gigantyczny kryzys zaufania w elitach politycznych w Polsce dotąd jeszcze nie prowadził do siłowych rozwiązań, podczas gdy bardzo podobna sytuacja w Tajlandii doprowadziła w 2014 r. do puczu wojskowego, a na Ukrainie niemal do wojny domowej?

Pierwszą czerwoną linią, której nikt w Polsce nie chce przekroczyć, jest przemoc fizyczna. Zdarzały się pojedyncze incydenty, ale nawet w najgorętszych okresach po 2015 r. nie było masowych aresztowań manifestantów albo, przykładowo, stosowania przez policję przemocy wobec posłów. A zdarzały się akcje prowokujące drugą stronę (czasami też policję), aby taką przemoc zastosowała jako pierwsza. W tej osobliwej grze podczas miesięcznic smoleńskich i marszów niepodległości wszyscy zainteresowani zakładali, że większość Polaków będzie sprzyjać temu, którego bito, a nie temu, kto bije. Dlatego nikt, poza nielicznymi chuligańskimi wybrykami – nie bił.

Do dziś wszyscy uznają też państwowy monopol na przemoc, z czym akurat ugrupowania lewicowe w czasach rządów PO miały jeszcze czasami problem. Ale mimo że PiS niewątpliwie kontroluje policję, to wszyscy, którzy wychodzili na ulice w wielkich manifestacjach 2016 i 2017 r., szanowali ją. Problem z wybiórczym stosowaniem prawa istnieje dopiero na poziomie prokuratury. Ale i tak posłowie opozycji regularnie donoszą na członków rządu do prokuratury. I słusznie.

Drugą czerwoną linią w sporach polsko-polskich jest sama zasada wyborów. Obowiązuje nie tylko w Polsce, łączy kraje z ustrojem autorytarnym i demokratycznym, demokrację liberalną i de-

Może to PiS doprowadził polityczną paranoję do skrajności, ale jej nie wynalazł.

To skutki kryzysu zaufania w elitach politycznych,

który trwa od dekad.

I który nie zmieni się, jeśli inna partia obejmie władzę.

mokrację nieliberalną. Wynika to z legitymizacji władzy w dzisiejszych czasach: Franco i Salazar uważali, że uprawnienie do rządzenia otrzymali albo od Boga, albo po to, by ratować kraj przed katastrofą. Politycy, którzy dziś manipulują wyborami, aby jak najdłużej utrzymać się u władzy, uważają, że to naród ich upoważnił do rządzenia – muszą więc tego narodu od czasu do czasu słuchać. A to daje mu szansę na ich pokojowe obalenie, co w przypadku staroświeckich dyktatorów udało się tylko w wyniku śmierci władcy (w Hiszpanii) albo rewolucji (w Portugalii).

Nie jest to wesoły obraz, ale i tak jest o niebo lepszy niż stereotyp Polaka, jaki od kilku lat szerzą polscy komentatorzy, intelektualiści, ale też zniesmaczeni kolejnymi aferami obywatele. Zgodnie z nim biedna, głupia, prowincjonalna większość raz po raz za srebrniki sprzedaje się skorumpowanej władzy, którą tylko jej wyjątkowa nieudolność powstrzyma od ustanowienia w Polsce faszystowskiej dyktatury. Nie jest wcale wykluczone, że wierzą oni w tę opowieść tak samo jak zwolennicy PiS w swoją propagandę o możliwych puczach „ulicy i zagranicy” i wrogich siłach, które wszędzie, a zwłaszcza od zachodu, nadciągają na Polskę.

Pomimo tych lęków, polskie elity polityczne łączą niechęć do stosowania przemocy, szeroki konsensus, że to państwo, nawet jeśli nie jest „nasze”, ma i powinno mieć monopol na przemoc i że władza otrzymuje swoją legitymizację z wolnych wyborów.

Rotacyjna zmiana elit

To jeszcze nie wszystko. Ten najmniejszy wspólny mianownik nie miałby żad-

nego praktycznego znaczenia, gdyby nie wzajemny respekt. Członkowie elit politycznych wcale nie gardzą sobą nawzajem tak, jak wyobraża to sobie ich żelazny elektorat.

Kto pierwszy w Polsce zastosuje przemoc, kto pierwszy zrezygnuje z wyborów i zacznie wtrącać przeciwników do więzień, straci nie tylko w oczach apolitycznej większości, ale straci też szacunek adwersarzy. Co kilka lat (ostatnio nieco rzadziej) odbywa się bowiem w Polsce osobliwy spektakl: u steru władzy wymieniana się ekipa, która umie rządzić, lecz nie umie wygrać wyborów z inną ekipą, która umie wygrać wybory, ale nie umie rządzić. I dla tej ostatniej jest to wtedy okazja, by instytucje obsadzić swoimi ludźmi, dać im zaliczyć awans społeczny w stolicy i nauczyć się tego wszystkiego, co ich poprzednicy już potrafią. Potem mogą spokojnie wrócić na stare śmieci, pewni, że zarówno tam, jak i w stolicy, będą bardziej szanowani.

Wybory parlamentarne i prezydenckie nie służą do tego, aby naród mógł się wypowiadać o rządzących. One służą odnowie elit politycznych, ich uzupełnieniu o ludzi, którzy też chcą należeć do tego elitarnego klubu. Polacy bowiem mogą nie ufać temu klubowi jako takiemu, ale bardzo szanują jego poszczególnych członków. Dlatego po każdych wyborach parlamentarnych wypada z parlamentu ok. 40-70 proc. posłów i powstaje kilka nowych ugrupowań. Choć potem wszyscy będą narzekać na rzekomo „zabetonowany system partyjny”.

Polskie elity polityczne niewiele łączy, to prawda. Ale i tak jest to więcej, niż wynika z powszechnego przekonania o „głęboko podzielonym kraju”, „zimnej wojnie domowej” albo „totalnej opozycji”. Po czterech latach rządów PiS wiemy też, że tym, co je łączy, to nie jest konstytucja, lecz coś, co nigdzie nie jest napisane i bardzo trudno uchwytne: dążenie obecnie rządzących, aby nareszcie też należeć do tych elit, którymi ich własna propaganda tak gardzi. Aby zdobyć respekt tych, którzy dłużej i lepiej od nich rządzili i w świecie są bardziej respektowani. Brzydkie kaczątko nie chcą wypchnąć łabędzi ze wspólnego stawu raz na zawsze. One tylko tęsknią za tym, aby same stać się łabędziami i aby łabędzie je kiedyś (za kolejne cztery lata?) uznały za równych sobie. Choćby z tego powodu nie mogą ich zadziobać.

© KLAUS BACHMANN

Ci goście są tu na stałe

RAFAŁ WOŚ

Traktujemy migrantów jak tymczasową, taną siłę roboczą. Tylko że koszty tej „taniaści” pojawią się, kiedy skończy się koniunktura.

GDY KILKA TYGODNI TEMU OECD ogłosiła, że Polska jest mistrzem świata w przyjmowaniu tymczasowych pracowników z zagranicy, zaskoczenie było spore. Ale dziwić się nie powinniśmy. Wszak w 2015 r. pracowało w Polsce ok. 320 tys. obcokrajowców. W 2016 r. było ich już prawie pół miliona. A w 2017 – 1,1 mln. Nieoficjalnie podobno nawet dwa razy tyle.

Haczykiem w całej tej historii jest oczywiście słówko „tymczasowy”. Tymczasowy to znaczy taki, któremu oficjalne dokumenty pozwalają na pobyt krótszy niż 12 miesięcy. Czyli – jak upierają się polskie władze – wcale nie „migrant”, tylko „gastarbeiter” lub ewentualnie „robotnik sezonowy”. W praktyce mamy do czynienia z jedną i tą samą (tyle że regularnie wzbierającą) falą przybyszów z Ukrainy. W coraz mniejszym stopniu powiązaną z sezonowymi fluktuacjami na polskim rynku pracy (zbiory na polach, budowlanka), a coraz częściej zapewniającą permanentne zwiększenie siły roboczej nad Wisłą: w handlu, usługach oraz produkcji przemysłowej.

Ostatnio do tej wielkiej fali zaczęły jednak dołączać mniejsze. W 2018 r. Nepal stał się drugim po Ukrainie krajem, którego obywatelom wydano najwięcej pozwoleń o pracę (23 tys.). Innymi rosnącymi kierunkami napływu migrantów są Bangladesz (ponad 10 tys. pozwoleń) oraz Indie (9 tys.).

Migranci? Jacy migranci?!

Problem polega na tym, że w Polsce nikt nie ma interesu nazywać tego miliona (może dwóch milionów?) żywych ludzi „migrantami”. Wolimy eufemizmy. Mówimy „pracownicy z Ukrainy”, „goście z Nepalu” albo „nasi Hindusi”. Najbardziej ten stan rzeczy odpowiada oczywiście pracodawcom. Nie ma w zasadzie miesiąca, by nie pojawił się jakiś głoszący, że nad Wisłą „brakuje rąk do pracy”. „Do

2025 r. luka na rynku pracy w Polsce istotnie się powiększy i konieczne będzie zatrudnienie 1,5 mln osób” – pisali niedawno analitycy doradczego giganta PwC. Rekomendacja? Oczywiście zwiększenie migracji zarobkowej. Podobnego zdania jest czołowe lobby pracodawców Business Center Club. W zeszłotygodniowym raporcie skierowanych do nowego-starego rządu BCC domaga się: „skrócenia czasu rejestracji pracowników cudzoziemskich do 48 godzin” oraz „poszerzenia listy państw, z których pracodawcy mogą pozyskiwać pracowników na uproszczonych zasadach”. Obraz uzupełnić należy o stale sączone opinie publicznej przekonanie, że istnieje zestaw prac, których „Polki i Polacy nie chcą już wykonywać”.

Nawet opiniotwórcze media chętnie podchwytują tę jednostronną narrację, obliczoną na korzyści dla biznesu, które przyniesie im ściągnięcie do kraju taniej i dyspozycyjnej siły roboczej z zagranicy. Ale jednocześnie ślepą na skutki społeczne tego niezwykle (jak na Europę) liberalnego modelu migracji, gdzie w zasadzie jedynym ograniczeniem dla liczby wjeżdżających do Polski pracowników jest... szybkość, z jaką administracja państwowa (na różnym szczeblu, od urzędów pracy po służby konsularne) przetwarza wnioski o legalizację pobytu.

Warto więc tę opowieść uzupełnić. Bo czy faktycznie Polacy „nie chcą już pracować”? Czy może raczej nie chcą pracować „w takich warunkach i za takie pieniądze”, jakie oferuje nadal tak wielu pracodawców. Bo owszem, mamy od paru lat niskie bezrobocie. A jednocześnie współczynnik zatrudnienia poniżej unijnej średniej (choć ostatnio nadgania). I odbywa się to wszystko w warunkach niezbyt hojnego państwa dobrobytu (jedne z najniższych i najkrótszych zasiłków dla bezrobotnych w Unii) oraz wciąż mocno uśmieciovionego rynku pracy (umowy

czasowe, o dzieło lub wymuszone samozatrudnienie). Innymi słowy istnieje wiele dowodów na to, że opowieść o „braku rąk do pracy” jest przesłanką fałszywą. Bo polscy pracodawcy spokojnie znaleźliby przynajmniej część brakujących pracowników bez sięgania po taną pracę importowaną zza granicy. Tyle że warunkiem byłoby dalsze podnoszenie płac i polepszanie nie tylko płacowych warunków zatrudnienia.

PiS pod rękę z klasą średnią

Drugim ośrodkiem niezbyt zainteresowanym poważną rozmową o skutkach migracji jest dziś władza. PiS to partia, która nie ma większego problemu z sięgnięciem po argumentację ksenofobiczną (jak choćby w czasie kryzysu uchodźczego). Zazwyczaj odbywa się to jednak w oderwaniu od realiów społecznych i ekonomicznych. Cała para idzie raczej w sferę medialnych debat o „islamizacji Europy” czy „terrorystycznym zagrożeniu”. Z drugiej strony akurat resorty gospodarcze kontroluje od lat liberalne skrzydło PiS. A kluczowi ministrowie – jak choćby odpowiedzialny w minionych latach za strategię migracyjną Jerzy Kwieciński – to wręcz dawni aktywiści lobby pracodawców. W ich optyce wybór jest oczywisty. Drzwi na rynek pracy powinny być otwarte na migrantów szeroko albo... jeszcze szerzej.

Trzecim aktorem, któremu z „gastarbeiterem” dobrze, jest szeroko rozumiana klasa średnia. A także starający się reprezentować jej punkt widzenia główny nurt polskiej opinii publicznej. Stosunek klasy średniej do migracji zawsze był problematyczny. Głównie dlatego, że po pracodawcach to właśnie oni najmocniej na istnieniu migracji korzystają (sprzątanie, opieka nad dziećmi czy seniorami to usługi, za które w świecie bez migrantów trzeba by płacić zdecydowanie drożej). Co gorsza, akurat klasa średnia nie ponosi zazwyczaj większych kosztów otwarcia granic. Szereg badań potwierdza, że inteligencja czy białe kołnierzyki nie muszą rywalizować z migrantami ani o pracę, ani o zasoby państwa dobrobytu. Rozdzielne są nawet ich miejsca zamieszkania. Klasa średnia gości migrantów w swoich dzielnicach, gdy przychodzą tam do pracy, albo bywa u nich, by odwiedzić lokal z egzotyczną kuchnią. W naszej specyfice dochodzi do tego jeszcze fakt, że świadomość



BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

Dostawcy Uber Eats, Warszawa 2017 r.

bycia krajem przyjmującym migrantów jest ciągle czymś nowym i ekscytującym.

Mieszanka tych wszystkich powodów sprawia, że również u nas klasa średnia (i jej media) podejrzliwie ocenia głosy nawołujące do twardszej regulacji kwestii migracji. Widząc tu niepotrzebne „szukanie dziury w całym” albo wręcz budzenie uśpionego w narodzie „demonia ksenofobii”.

Powtarzamy błędy Zachodu

Niewielu chce niestety dostrzec, że figura „gastarbeiters” to inna nazwa na zwyczajne utowarowienie Ukraińców, Nepalczyków czy Hindusów. I nie jest to żadne publicystyczne przerysowanie. „Dostarczamy pracownika gotowego do rozpoczęcia pracy z gwarancją pełnej dyspozycyjności. Brak zwolnień L-4. Brak dopłat za nadgodziny. Brak dodatkowych kosztów za urlopy. Brak dopłat za pracę w niedzielę i święta. Ze względu na koszt oraz czas podróży pracownicy ci nie opuszczają miejsc pracy z powodów rodzinnych oraz świąt” – to fragment ogłoszenia rozesłanego do potencjalnych pracodawców przez jedną z krakowskich agencji pracy tymczasowej. Poproszona o komentarz odpowiedziała tylko „Przecież wszyscy tak robią”.

To niestety dokładnie ta sama droga, którą w okresie powojennym szły kraje

Europy Zachodniej. Przestraszeni istnieniem komunistycznej alternatywy ustrojowej po drugiej stronie żelaznej kurtyny przemysłowcy Niemiec, Francji czy Szwecji musieli się zgodzić na poprawę warunków pracy i płacy rodzimych robotników. Okres ten nazywamy dziś „trzema wspaniałymi dekadami kapitalizmu” – najbardziej socjalnymi w całej jego historii. Jednak kapitał szukał nowych zasobów taniej pracy i znajdował je właśnie w migracji. Początkowo łączyła ona kraje bliższe geograficznie i kulturowo: Włosi zapraszani byli do pracy w Szwajcarii, Francuzi otwierali drzwi dla mieszkańców byłych kolonii. Jednak dopiero Niemcy Zachodnie przetarli nowy szlak i zaczęły podpisywać umowy z państwami biedniejszymi, których towaram eksportowym byli właśnie ludzie: z Jugosławii, Portugalii, Turcji, Tunezji czy Maroka. W ciągu dwóch dekad liczebność populacji migrantów wzrosła w Niemczech z 0,5 do 3 mln. Paradoks polegał na tym, że ciągle nie mówiono o nich jak o „migrantach”, lecz właśnie jako „gościach”. Przyjadą, zarobią i wrócą do siebie. Dokładnie jak dziś u nas.

Ten model funkcjonować mógł bez większych zarzutów tylko w warunkach dobrej koniunktury. Lecz w latach 70. w wyniku kryzysu naftowego większość

zachodnich gospodarek wpadła w recesję. W pierwszym odruchu zatrzęsnięto gwałtownie drzwiami przed nowymi migrantami. Zrobiła to Szwajcaria, potem Szwecja i Niemcy. Ale co zrobić z tymi, którzy już tutaj są? I wcale nie czują się żadnymi gośćmi, lecz raczej tutejszymi. Tak rozpoczęła się walka o zasoby: pracę, mieszkanie, a czasem zwykły szacunek i trwa niestety do dziś. Jej dramat polega na tym, że po jednej stronie stoi zdesperowana klasa robotnicza uważająca się za „prawdziwych tutejszych”, a po drugiej taka sama klasa robotnicza, tyle że z mi-granckim rodowodem.

Co robić?

W Polsce wciąż jeszcze możemy wyciągać wnioski z tamtej lekcji. Trzeba to robić na kilku poziomach jednocześnie. W planie ogólnym należy walczyć z naiwnym przekonaniem, że migracja to sytuacja, na której wszyscy wygrywają. Tu kluczowa rola przypada mediom. Należy wystrzegać się prostych odruchów i automatycznego szafowania etykietką „ksenofoba”. Mówiąc o wpływie migracji na gospodarkę kraju przyjmującego, trzeba brać pod uwagę nie tylko to, czy migracja pomogła wygenerować więcej wzrostu gospodarczego. Trzeba pytać również, jak owoce tego wzrostu zostały podzielone wewnątrz społeczeństwa przyjmującego. →

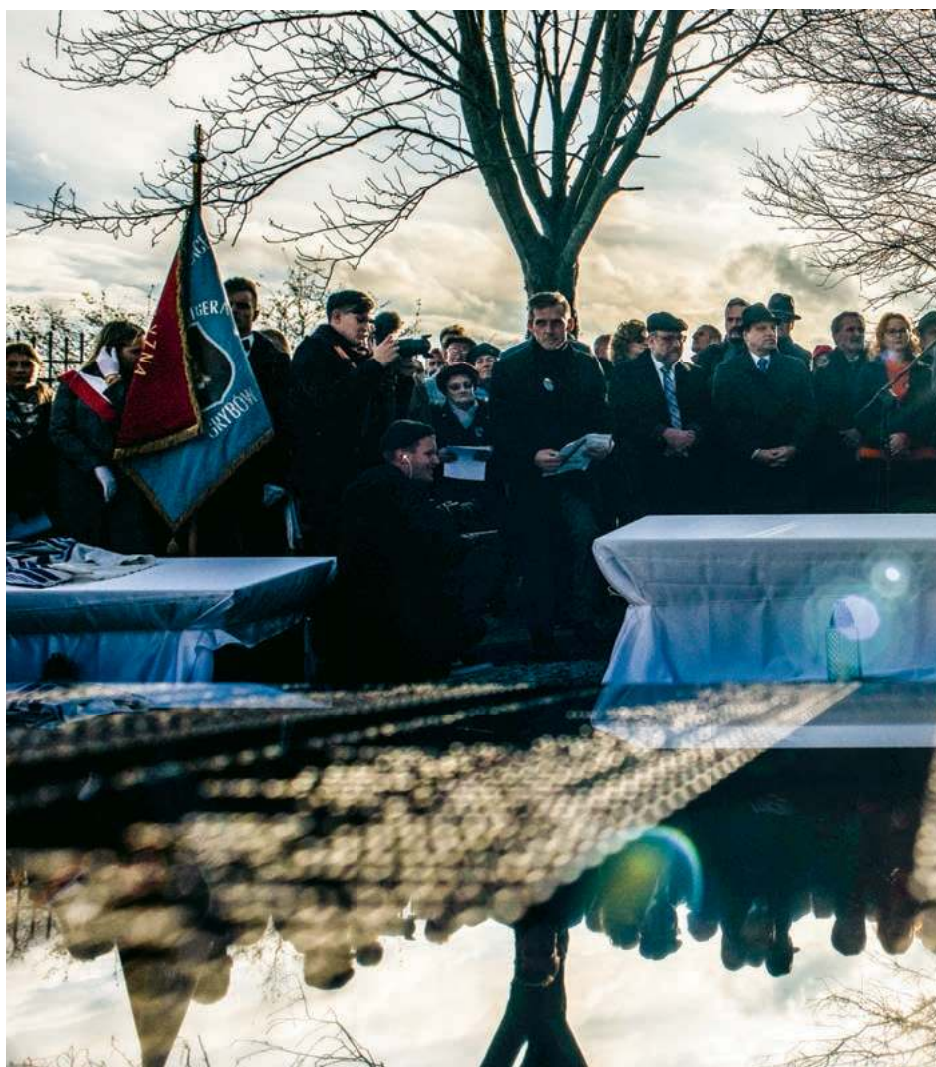
→ Istnieje wiele badań pokazujących, że gdy wydzielimy ze wszystkich pracowników tych słabo zarabiających, to wiadać, że u nich przyjazd migrantów wiąże się zazwyczaj z pogorszeniem płac. Podobnie wygląda zestawienie regionów, z których jedne na migracji korzystają bardziej, a inne mniej.

Na debacie skończyć się jednak nie może. Na nasz własny „kryzys migrancki” przygotować się trzeba także praktycznie. Należy powołać specjalny fundusz państwowy, na którym gromadzone będą środki pochodzące z zysków tych podmiotów gospodarczych, które na pracy migrantów zarabiają. Pieniądze będzie można uruchomić w pojedynczych przypadkach, gdy po raz kolejny dojdzie do dramatu – jak choćby ostatnio śmierci wywiezionego do lasu przez pracodawcę Wasyla Czarneja czy wcześniej Alony Romanenko, która straciła rękę w maszynie maglującej. Jednak główne przeznaczenie funduszu to finansowanie dużych programów interwencyjnych na czas kryzysu. Gdy trzeba będzie za wszelką cenę załagodzić dramat rywalizacji o zasoby pomiędzy „tutejszymi” i „migranckimi” pracownikami.

Ważne, by nie traktować tego funduszu jako gestu dobrej woli ze strony polskiego biznesu, lecz obowiązku wynikający z tego, że w czasach koniunktury to pracodawcy pełnymi garściami czerpią z tzw. renty migracyjnej. Ile ona wynosi? Według najnowszej analizy NBP bez pracowników z Ukrainy polska gospodarka rozwijałaby się w latach 2014-18 o 11 proc. wolniej. Jest więc z czego odkładać.

Oczywiście powołanie takiego funduszu w niczym nie zmienia faktu, że polskie państwo musi na każdym poziomie (od PIP po wciąganie migrantów do systemu ubezpieczeniowego czy reżimu płacy minimalnej) dbać, by obcokrajowców jak najrzadziej dało się obsadzać w roli supertaniej siły roboczej. Hasło „Nie chcesz pracować na takich warunkach? Mam na twoje miejsce pięciu Azjatów albo Ukraińców!” musi być zwalczane z całą surowością. Inaczej niczego się z lekcji minionego półwiecza migracji nie nauczymy i wyładowujemy tam, gdzie Zachód. Czy tego chcemy?

© P RAFAŁ WOŚ



Pamiętaj o Marysieńce

TEKST I ZDJĘCIA JACEK TARAN

Kiedyś w tym miejscu stał oprawca, ludobójca, dzisiaj jesteśmy my – mówi Dariusz Popiela. – Co z tego, że większości to nie obchodzi.

CO PIĄTEK PRZYJEŹDZAŁ DO GRYBOWA Hamann, szef gestapo z Nowego Sącza. Raz przyjechał, był ubrany nie w mundur, ale w zgrzebne ubranie, marynarkę i czapkę z lnu. Kogo na ulicy spotkał, jakiego Żyda, to zastrzelił. Pamiętam ten dzień, tu gdzie się przechodziło od Ziółki do Żydowskiej uliczki, to kogo spotkał, tego strzelał. Całą noc było słychać krzyki”.

Te słowa pochodzą z relacji pani Barbary Młott-Makosy, która młodość spędziła w Grybowie. O upamiętnienie ofiar tamtych zdarzeń zadbał teraz Dariusz Popiela, twórca projektu „Ludzie, nie liczby”. Kajakarz górski, olimpijczyk, wicemistrz Europy i brązowy medalista mistrzostw świata, z kilkorgiem mieszkańców doprowadził do budowy pomnika na grybowskiem cmentarzu ży-



*Uroczystość odsłonięcia pomnika
pomordowanych Żydów
na cmentarzu żydowskim w Grybowie.
3 listopada 2019 r.*

cmentarzu kilka tygodni przed uroczystością. Trwały właśnie ostatnie prace pod czujnym okiem przedstawicieli komisji rabinicznej.

Bliscy, choć nieznanzi

Swój projekt „Ludzie, nie liczby” Dariusz Popiela zainaugurował budową pomnika na cmentarzu żydowskim w Krościenku. Odsłonięty w czerwcu 2018 pomnik upamiętnia z imienia i nazwiska 256 osób. Pomnik w Grybowie to o wiele większe przedsięwzięcie: koszt jego realizacji wynosi około 110 tys. złotych. Całością projektu „Ludzie, nie liczby” zarządza powołana specjalnie w tym celu Fundacja Rodziny Popielów „Centrum”.

– Po Krościenku uznałem, że warto nasze działania sformalizować – mówi Popiela. – Głównie po to, by móc pozyskiwać środki. W statucie mamy działania związane z wielokulturowością, wieloetnicznością, promowaniem postaw związanych z tolerancją.

W swoich działaniach w Grybowie nie jest osamotniony. Udało mu się znaleźć grupę miejscowych aktywistów, którzy już od dawna interesują się historią żydowskiej społeczności beskidzkiego miasteczka. Jednym z nich jest Kamil Kmak, grybowianin z urodzenia, obecnie mieszkający w Krakowie. To głównie dzięki niemu udało się odtworzyć listę nazwisk osób, które znalazły się na tablicach.

Kamil: – Zbierałem te nazwiska od wielu lat z myślą o publikacji, ale nigdy nie sądziłem, że zostaną wyryte w kamieniu. Zainteresowanie żydowskimi mieszkańcami Grybowa zaczęło się od opowieści mojej babci. Jako dziecko przyjaźniła się z żydowskimi dziewczynkami. Ze wzruszeniem opowiadała o doktorze Henryku Kohnie, o którym grybowianie mówili „nasz kochany Żyd”. W wielu relacjach pojawiają się opowieści, że ubogich leczył za darmo, często dawał im bezpłatnie lekarstwa, które wtedy były bardzo drogie.

Wspomnienie lekarza Henryka Kohna pojawia się również w relacjach Barbary Młott-Mąkosy spisanych przez Kamila. „Doktor Kohn u mnie ciągle był, byłem bardzo chorowita. (...) nigdy nie prosił pieniędzy, to był bardzo porządny facet,

uczciwy i przyjazny. On uciekł do Rosji, wraz z bratem i siostrą, na początku wojny, ale po wojnie wrócił i ja nawet u niego byłem ze starszą siostrą i ją leczył. Miał gabinet lekarski we Wrocławiu, w środku miasta. Potem wyjechał do Izraela i tam się ożenił i krótko żył”.

Kamil zna dziesiątki podobnych historii. Jak ta o Róży Hirsh, którą wyratował od śmierci zakochany w niej polski urzędnik o nazwisku Wesper. Udało mu się wyrobić dla niej aryjskie dokumenty. Na robotach w Niemczech, jako Polka, przeżyła do końca wojny. Później mieszkała w Stanach Zjednoczonych.

Anna Boruch, z wykształcenia ekonomistka, to kolejna grybowianka ściśle współpracująca z Popielą. Z cmentarzem żydowskim wiąże ją historie rodzinne.

– Mój pradziadek był tu przed wojną grabarzem – opowiada. – Później o cmentarz dbał dziadek. Jako dziecko przychodziliśmy tu często z rodziną na spacer. Mieliliśmy taki ulubiony grób – Marysieńki. Moja prababcia często powtarzała mojej mamie, żeby pamiętała o Marysieńce. Później mama mówiła do mnie: „Idź do Marysieńki, zobacz, co u niej, zanieś jej kwiaty”, i szłyśmy z siostrą. Marysieńka stała się dla nas kimś bliskim, chociaż zupełnie nieznanym.

Stoimy z panią Anną przy tym grobie – do dziś zachował się tylko zniszczony cokół pomnika. Marysieńka prawdopodobnie nazywała się Szmal, ale nie ma żadnego potwierdzającego to dokumentu.

Lajka przez okno machała

Kiedy rozmawiam z panią Anną, za naszymi plecami Darek Popiela wozi taczkami białe kamyczki, które mają symbolicznie wyznaczyć odnalezioną zbiorową mogiłę. Pochowano w niej 150 osób zamordowanych w dniu likwidacji getta.

– Tak właśnie powinien pracować prezes fundacji – mówi Darek. – Nie chcę tylko firmować prac swoim nazwiskiem. Jestem obecny na każdym etapie, od pierwszych porządków, które robiliśmy z uczniami ze szkoły z Siolkowej, poprzez prace projektowe i teraz, kiedy trzeba ciężko zasuwać.

Pytam, jak to jest robić grób dla 150 osób. – Na pewno to niecodzienne doświadczenie, nadające sens temu, co robię – odpowiada. – Robię to dla takich chwil. Kiedyś w tym miejscu stał oprawca, ludobójca, dzisiaj jesteśmy my. →

dowskim. Na granitowych tablicach wykuto 1775 nazwisk. Pomnik odsłonięto 3 listopada w obecności potomków grybowski Żydów oraz naczelnego rabina Polski Michaela Schudricha.

Grybów to małe miasto w powiecie nowosądeckim, mieszka w nim dziś około 6200 ludzi. Tutejsza społeczność żydowska przed II wojną światową liczyła ok. 1300 osób, jedną trzecią mieszkańców. Podczas wojny w Grybowie utworzono getto. Bez murów: wyznaczono ulice i kwartały, gdzie Żydom wolno było mieszkać, wyjście poza ten obszar karano śmiercią. Zwożono tu ludzi z niedalekich miejscowości, jak Krynica czy Muszyna. W przeludnionym getcie panował głód i choroby. Jego likwidacji dokonano 20 sierpnia 1942, zginęło wówczas ponad 1700 osób.

Z pasjonatami, którzy doprowadzili do powstania pomnika, spotkałem się na



Dariusz Popiela odsłania tablicę z nazwiskami grybowskich Żydów, 3 listopada 2019 r.

→ Co z tego, że większości to nie obchodzi, że ze wszystkim ciężko i pełno stereotypów, wszyscy zalatani. Wzmianka w relacji mówi o 150 osobach – tyle po tobie zostaje. Jedno zdanie. A jak wiele niezwykłych ludzi, ich planów, marzeń. Stoje na ściernisku, a z dokumentów i relacji znam ostatnie ich chwile – rozebranie się do naga, kładka nad dołem, który nie mógł być za głęboki, bo teren cmentarza jest bardzo kamienisty. I regularna, monotonna seria, strzał za strzałem. Koniec. Mój i twój tak naprawdę. Jednak morderca nie do końca wygra! On miał cel: ostateczne zapomnienie o Żydach, o ludziach. I to się prawie udało! Ale dzisiaj jestem tylko ja i grób. Bo to ludzie, nie liczby.

O pamięć stara się dbać również pani Ewa Kornakiewicz, katechetka w szkole w Siolkowej. Cmentarz leży na pograniczu Grybowa i tej właśnie miejscowości. To właśnie Ewa Kornakiewicz zajęła się angażowaniem młodzieży do pracy przy porządkowaniu cmentarza.

– Duża ich część nawet nie wiedziała, że tutaj kiedyś był cmentarz żydowski – opowiada pani Ewa. – Uczę ponad 20 lat i wolę pracować z dziećmi w terenie. Byli, widzieli, zapamiętali, czegoś dotknęli. To lepsze niż suche słowa. Zachętą dla nich była też wycieczka do Bełżca, na którą pojechali pomimo tego, że były wakacje. Widziałam po nich, jak bardzo przeżyli

ten wyjazd. Jestem przekonana, że coś dobrego w ich głowach zostanie. Robię z nimi dobro. Dobro się obroni w każdej religii. Nie patrzę na ideologię – nawet na lekcjach religii w szkole mówię: „Wiedziecie, że tu nagle ponad 1700 osób zginęło? Potraficie sobie to wyobrazić? Wielu z nich to byli wasi rówieśnicy albo nawet młodsi”.

O tragedii, jaka spotkała najmłodszych mieszkańców Grybowa, nie potrafi też obojętnie mówić Kamil Kmak: – Razem ze śmiercią 1700 ludzi zginął kawałek świata. Ich wzajemne powiązania, zawody, plany. 20 sierpnia w samym Grybowie zginęło 360 osób, pozostali wraz z Żydami z okolicznych wiosek zostali popędzeni do Nowego Sącza, gdzie zgromadzono ponad 16 tysięcy ludzi z całej okolicy. Tam zapakowano ich w pociągi i wywieziono do Bełżca trzema transportami. W tych transportach było około pięciuset dzieci.

Wspomnienie o pociągach jadących z Nowego Sącza do Bełżca przez Grybów pojawia się też w relacji pani Barbary Młott-Mąkosy, która opowiada o jednej ze swoich sąsiadek:

„Lajka, przy ulicy Sądeckiej niedaleko, miała knajpkę. Chodziłam tam jako dziecko po lody. Tam był bilard, studenci siedzieli. Jak wieźli Żydów z Nowego Sącza do Bełżca, przypadkowo stałam przed szlabanem koło Ziółki. Ta Lajka przez

okno machała. Taka czerwona była, oni się tam gotowali w tym upale, i ja jej też pomachałam i tyleśmy się widziały...”

Macewy nie dostały nóg

Uczestników programu cieszy fakt, że w samym mieście spotykają się z przychylnym nastawieniem do swoich działań. To rodzi nadzieję, że tamte czasy i tamtych ludzi uda się przywrócić z zapomnienia.

– To jest praca u podstaw. Spotykam się z wieloma pozytywnymi reakcjami. Dostaję od ludzi pamiątki, dokumenty, niektórzy sami zgłaszają się do sprzątnięcia cmentarza – cieszy się Kamil.

Podobnie ocenia to Ewa Kornakiewicz: – Zastanawiam się czasami, co by było, jakby ci wszyscy ludzie nagle wstali. Zobaczyliby piękne, odnowione miasto, ale nie spotkaliby nikogo ze swoich przyjaciół, bo wszyscy już nie żyją. A my o nich zapomnieliśmy. Na tym cmentarzu było kilkaset macew. Gdzie są? Dostały nóg i gdzieś poszły? Same nie poszły. Mam niedosyt, że to robimy o ponad dziesięć lat za późno. Dzięki Darkowi, który nas zmobilizował, dał przykład, że można. A nauczanie religii w szkole bardzo łatwo połączyć z troską o pamięć po zamordowanych Żydach. Przykazanie miłości nie odnosi się do Żyda lub nie-Żyda. Żyd to bliźni.

Według Kamila Kmaka nie chodzi jedynie o pamięć, ale też o zwykłą ludzką przyzwoitość i sprawiedliwość dziejową. – Jest w Grybowie odsłonięty w 1959 roku Pomnik Ofiar Faszyzmu – mówi Kamil. – Wymieniono na nim 144 ofiary, ale zupełnie pominięto te pochodzenia żydowskiego. Przecież nie można ich wymazać. Mam w dokumentach historie całych rodzin – kto z kim był spokrewniony, kto był czyim sąsiadem, czym się zajmował. Każda śmierć to jest koniec jakiegoś świata.

© JACEK TARAN

PRACE W GRYBOWIE udało się sfinansować dzięki Fundacji Rodziny Popielów „Centrum”, wsparciu Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny oraz potomków Żydów z Grybowa. Autorami pomnika są Joanna i Grzegorz Kurczabowie. Relacje Barbary Młott-Mąkosy pochodzą ze strony saga-grybow.com prowadzonej przez Kamila Kmaka. Bieżące informacje o projekcie „Ludzie, nie liczby” można znaleźć na Facebooku na stronie o tym samym tytule.

ANNA

Dziewit-Meller: Żyrardowskie wiatraki



PODOBNO W OGÓLE NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO jak naprawdę wiarygodne wspomnienie z przeszłości, jest wyłącznie zbiór domniemań i interpretacji, z których niewiele jest wystarczająco spójnych, byśmy się mogli ze sobą zgadzać co do wizji tego, co za nami.

Naukowcy gotowi są nawet przekonywać nas, że wspomnianie przeszłości jest zaskakująco podobnym mechanizmem do przewidywania przyszłości, w każdym razie jeśli idzie o sposoby, w jakie nasze mózgi pracują wykonując każdą z tych czynności.

Daniel Schacter, amerykański psycholog, profesor Harvardu, specjalista od pamięci, w swoich badaniach nad wspomnieniami dowiódł, że zarówno uruchamiając pamięć o przeszłych wydarzeniach, jak i próbując przewidywać to, co nastąpi, mózg ludzki korzysta z tych samych obszarów, zwanych „siecią stanu spoczynkowego” (z angielska: *default mode network*), które uruchamiają się wówczas, gdy nasze głowy nie są zajęte żadnym konkretnym działaniem. Ot, dajemy myśli swobodnie lecieć, raz w przód, raz w tył, w wyobrażenie o przyszłości albo o przeszłości.

O tym, ile racji jest w badaniach harwardzkiego profesora, przekonywałam się nieraz, na przykład podczas karczemnych awantur z rodzicami. Ja, przekonana o swoich krzywdach, wypominałam im, wytyżając pamięć, to, co moim zdaniem totalnie schrzanili w procesie wychowawczym. Oni wszystkie te wykrzywane im w złości sytuacje zapamiętywali zupełnie inaczej, wskazując na zupełnie inne aspekty przeszłych wydarzeń, stanowiących clou naszych rodzinnych zapasów. Wtedy zresztą uważałam, że to wszystko spisek strasznych rodziców nieznających litości dla dorastającej córki, przecież wiadomo, że racja musi być po mojej stronie, bo dobrze pamiętam!

Po latach doszłam do wniosku, że może niekoniecznie po mojej, tylko właściwie po niczyjej, wszyscy tak samo mylimy się co do obiektywnej wersji naszej wspólnej przeszłości i ostatecznie znajdujemy jakiś kompromis, który pozwala nam ze sobą w miarę zgodnie funkcjonować. Jest bowiem moja projekcja na temat zdarzeń minionych i projekcja innych ludzi na ten sam temat. I są to różne filmy, możliwe, że nawet należą do zupełnie innych gatunków, ale na gruncie rodzinnym staramy się przynajmniej oglądać je wspólnie.

Skoro zaś tak grzaskim i wymagającym wielkiej dyplomacji polem jest nasza osobista pamięć, jak bardzo źle być musi z pamięcią zbiorową? Pytam o to, pisząc felieton na chwilę przed kolejnym Marszem Niepodległości. Przez moje miasto znów przejdą ludzie, z których duża część ma całkiem inną wizję przeszłości niż ja.

Zaciśnięta pięść okręcona różańcem, symbol tegorocznego marszu, budzi we mnie złe emocje, prawdopodobnie temu też ma służyć, by ludzie „pamiętający inaczej” poculi się niepewnie ze swoją narracją na temat przeszłości, ze swoją agendą, ze swoją polityką historyczną (na przykład z herstoryą).

Bitwy o pamięć wciąż się toczą. Do Żyrardowa, gdzie radni na wniosek lokalnej organizacji obywatelskiej przywrócili dawną nazwę ulicy Jedności Robotniczej (zmienioną mimo protestu mieszkańców na ul. Fieldorfa Nila), wybierają się politycy partii rządzącej, z Patrykiem Jakim na czele. Jadą z krucjatą „Ocalić bohaterów”, niosącą kłamstwo już w samej swojej nazwie – Fieldorfa ocalać w Żyrardowie nie trzeba, bowiem radni podczas tego samego posiedzenia rady podjęli decyzję o przyznaniu mu innego należnego miejsca w mieście. „Rekomunizacja” – grzmiało mimo to rycerze jednej wersji przeszłości. „Odradzają się sowieckie ryje” – piszą w internecie.

Marzyłabym, by w ramach ogólnopolskich zapasów pamięci na ringu stanął w końcu ktoś, kto donośniej niż osamotnione często w tym dziele lewicowe aktywistki i aktywiści upomni się o przywrócenie należnej pamięci polskim socjalistom. Tak by na przykład Marek Migalski, Konrad Piasiecki i Waldemar Kuczyński nie musieli dołączać już do prawicowych zwartych szeregów wojowników antykomunizmu (wszyscy wyrażali niedawno na różnych łamach największe zaniepokojenie żyrardowskim skandalem), powodowani niewiedzą, która zakłamuje obraz przeszłości.

PRL pośród wielu rzeczy, jakie nam zabrał, odebrał nam również prawo do pamiętania o dokonaniach polskich socjalistów. Jak tych właśnie tworzących jedność robotnic, szpularek z żyrardowskich zakładów Hiellego i Dittricha, które w kwietniu 1883 r. zorganizowały strajk – największe wówczas wystąpienie robotnicze w Królestwie Polskim, pierwszy protest od czasów powstania styczniowego, w którym połała się krew i zginęli ludzie.

Na ich chwałę nazwano tę ulicę w Żyrardowie, nie na chwałę wchłonięcia PPS przez PPR, nie na chwałę stalinizmu. Ale kto by tam się zajmował niuansami, jakimiś robotnicami sprzed 150 lat, gdy już zbroje na krucjatę gotowe i czas wsiadać na koń? Czwarte pokolenie potomków AK musi wciąż walczyć z potomkami UB. Nawet jeśli to wszystko są tylko wiatraki, a nie olbrzymy.

©

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 382/18, z wniosku Marcina Ciszewskiego toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Jan Ciszewski i Stanisława Ciszewska z mocy prawa przez uwłaszczenie nabyli 4 listopada 1971 r. własność działek gruntu położonych w Chełmie przy ul. Lubelskiej 155, oznaczonych w ewidencji gruntów nr 300, o powierzchni 0,1082 ha i nr 306 o pow. 0,072 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż mogą być pominięci w postępowaniu o uwłaszczenie.

OGŁOSZENIE

AMAZONIA JEST KOBIETĄ

Jesteśmy na początku procesu.
Ale wreszcie mówi się o zmianach otwarcie. Aż w końcu do nich dojdzie
– mówi s. Zully Rojas Quispe, misjonarka z Peru.

EDWARD AUGUSTYN

ZYCIODAJNA, PŁODNA, OBFITUJĄCA pokarmem. Poniżana, wyzyskiwana, gwałcona. Amazonia jest kobietą, która ma wiele twarzy.

Na przykład twarz Nemy Grefy, walczącej w imieniu swego plemienia o prawo do współdecydowania o losie ich ziemi. Grożono jej śmiercią.

Albo Margot Escobar, przeciwstawiającej się ekspansji firm naftowych. Została pobita przez policję podczas demonstracji, spalono jej dom.

Albo Zoili Ochoa, która w wieku 19 lat została przywódczynią swego plemienia, potem liderką federacji wspólnot etnicznych. „Nie rozumiecie – pyta – że nasza ziemia jest święta, że nie można jej sprzedać, że to Matka, która nas żywi?”

Przeglądałam zdjęcia bohaterkich kobiet Amazonii wraz z siostrą Zully Rojas Quispe, misjonarką ze Zgromadzenia Dominikanek od Różańca Świętego. To jedna z 33 kobiet, które papież zaprosił na synod w roli audytorek lub ekspertek. Nie mówi po włosku ani angielsku, czekamy więc na tłumacza z hiszpańskiego, oglądając broszury charytatywnych i ekologicznych organizacji, które wysłały swoich przedstawicieli do Rzymu na „okołosynodalne imprezy”.

Ofiara

– Tam, gdzie mieszkam na stałe, w Puerto Maldonado – mówi zakonница – życie kobiet jest znośne. Nie ma u nas handlu ży-

wym towarem, wykorzystywania kobiet do niewolniczej pracy. Gorzej jest w innych miastach Peru, takich jak Cuzco, Puno czy Tingo María.

Większość peruwiańskich Indian mieszka w leżącej na terenie tego państwa części Amazonii (51 z 55 plemion, pozostałe cztery żyją w Andach). Kobiety stanowią 59 proc. indiańskiej społeczności. Ponad połowa z nich przyznaje, że doświadczyła przemocy – fizycznej, seksualnej, psychicznej – ze strony męża, ojca, brata. Wydawany przez Papieski Instytut Misyjny miesięcznik „Mondo e Missioni” publikuje w listopadowym numerze świadectwo misjonarki z Brazylii: „Czy to w dużych miastach, czy w małych osadach nad rzekami, przemoc domowa jest straszną plagą. W Santa Rita do Weil, małej wiosce, kilka godzin od granicy z Peru i Kolumbią, gdzie pracują nasze siostry, misjonarki Niepokalanej, nierzadko słychać w nocy, jak pijany mąż wraca do domu i wyzywa się na rodzinie. Pamiętam, jak widziałam to po raz pierwszy, gdy tylko przyjechałam do Macapá. Kobieta leżała na ulicy, a mąż ciągnął ją za włosy do domu”.

Ofiary „kultury macho” mają twarze anonimowe. W brazylijskim stanie Amazonia zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa o przemocy domowej składa co czwarta pokrzywdzona.

Siostra Zully przyznaje, że kobiety są też pierwszym celem agresji „obcych”,

którzy przyjeżdżają do indiańskich osad: pracowników kopalń i rafinerii, drwali, robotników rolnych z wielkich gospodarstw, zakładanych na wykarczowanych obszarach, strażników, policjantów, handlarzy narkotykami... Albo wszelkiej maści oszustów, oferujących dziewczynom pracę w mieście i – jak łatwo się domyślić – po przyjeździe zmuszających je do prostytucji czy niewolniczej pracy.

Uczennica

– Myślę, że w miarę bezpieczne życie, jakie mają kobiety w naszym mieście, to także zasługa mojego zgromadzenia, działającego tu od ponad wieku – mówi s. Zully.

Puerto Maldonado ma 75 tys. mieszkańców (w całym regionie, którego jest stolicą, mieszka niespełna dwa razy więcej osób). Leży w środku puszczy, nad rzeką Madre di Dio, dopływem Madeiry, dopływu Amazonii. Przez dziesiątki lat dominikanki prowadziły w nim szkołę dla dziewcząt.

Zaczął się w 1913 r., gdy hiszpański misjonarz, dominikanin o. Ramun Zubieta, został biskupem i wikariuszem papieskim w całej peruwiańskiej Amazonii. Wiedział, że do pracy pośród Indian konieczne będą zakonnice. Z klasztoru w Huesca, w hiszpańskiej Aragonii, sprowadził pięć mniszek, które

Protest przeciwko handlowi kobietami w Amazonii, rynek w Limie, listopad 2018 r.



→ dały początek nowej, misyjnej rodzinie zakonnej. Pierwszą przeoryszą była matka Ascensión Nicol Goñi, dziś błogosławiona. Siostry zajęły się szeroko pojętą edukacją: uczyły miejscowych pisać i czytać, prowadziły kursy zawodowe i promowały higieniczny tryb życia.

– Nasze zgromadzenie pracowało głównie z młodymi dziewczynami. Miejscowymi i takimi, które przyjeżdżały z odległych wiosek. Na początku była to mała szkoła podstawowa, z czasem otworzono szkołę średnią i internat, gdzie uczennice spoza miasta mogły mieszkać za darmo. Szkoła rozrosła się, zdobyła renomę, była doceniana przez władze państwowe. Nasze dziewczyny, jeśli tylko chciały, mogły się dalej kształcić. W Puerto Maldonado jest kilka filii uniwersytetów, szkoły techniczne i zawodowe. Państwo dofinansowuje edukację rdzennej ludności. Wykształciliśmy też własną kadrę nauczycielską, z naszych absolwentek.

Kilka lat temu kapituła zgromadzenia zdecydowała, że kompleks szkół przekaże władzom państwowym, a siostry ruszą w głąb selwy, by dotrzeć do tych, których na podróż do miasta nie stać. Powstało zgromadzenie itinerantek – wędrowniczek. Pracują w kilkuosobowych, świecko-zakonnich grupach, które jeżdżą od wioski do wioski. W ekipie zawsze jest ktoś odpowiedzialny za edukację, opiekę medyczną, pomoc społeczną i duszpasterstwo. Czasem taka podróż trwa kilka dni – np. do Puerto Luz, wioski plemienia Harakbut, najpierw trzeba jechać samochodem osobowym, potem przepłynąć łódką na drugi brzeg Inambari, gdzie czeka furgonetka, która zawiezie nad kolejną rzekę, Puquiri. Po jej przepłynięciu wędrowni misjonarze wsiadają do małej ciężarówki i po czterech dniach docierają na miejsce. Przywożą pomoce edukacyjne dla dzieci, szkołę miejscowych nauczycieli, przeprowadzają podstawowe badania medyczne, szczepią dzieci.

– Zawsze staramy się dowiedzieć, jakie problemy ma dana wspólnota. W jednej wiosce będzie to zatruta woda i śmierć ryb, w drugiej – mało zwierząt do upolowania. Pomagamy pisać pisma urzędowe, skargi czy petycje. Rozpoznajemy teren, by później sprowadzić konkretną pomoc. Najczęstsze problemy, z jakimi się spotykamy, to niedożywienie i anemia u dzieci, a także brak nauczycieli, zwłaszcza takich, którzy znają języki lokalne.



ARCHIWUM PRYWATNE S. ZULLY ROJAS QUISPE

Odwiedziny w osadzie Palma Real, u plemienia Ese Ejja, maj 2019 r.

Siostra

Tak już jest, że do miejsc najtrudniej dostępnych zawsze pierwsze docierają siostry zakonne. Osiedlają się, poznają ludzi, pytają o najpilniejsze potrzeby, organizują pomoc, „przygotowują teren” na przyjazd księdza. Budują wspólnotę od podstaw, a gdy już powstanie, troszczą się o jej przetrwanie i rozwój. Nierzadko stają w obrobie podstawowych praw rdzennej ludności, są opiekunkami lokalnych stowarzyszeń i organizacji gospodarczych, społecznych, kulturalnych.

Głośnym echem odbiła się w czasie synodu wypowiedź innej misjonarki, s. Alby Castillu z Kolumbii: „Jesteśmy obecne w każdym miejscu i robimy wszystko, co może robić kobieta. Gdy ksiądz nie da rady przyjechać, a potrzeba kogoś ochrzcić, chrzczymy. Jeśli ktoś chce wziąć ślub, jesteśmy obecne jako świadkowie miłości tej pary. Wiele razy zdarzało się nam nawet słuchać spowiedzi, choć nie dawałyśmy rozgrzeszenia. Ale w głębi serca mówiłyśmy sobie, że wobec pokory, z jaką ta kobieta albo ten mężczyzna przychodzą do nas, w chorobie czy w obliczu śmierci, trzeba wierzyć, że Bóg sam będzie działał”. Pytam s. Zully, czy ona i inne dominikanki-itinerantki też mają podobne doświadczenia. Patrzy na mnie zdziwiona:

– No, jasne. To przecież zupełnie normalne. Wszyscy mają potrzebę transcendencji, czy to Polak, czy Indianin. I wszyscy mają potrzebę rozmowy, podzielenia się swoimi problemami. Co w tym złego?

Najważniejszym obowiązkiem duszpasterskim jest towarzyszyć, być z tymi ludźmi każdego dnia. Brakuje księży, przyjeżdżają raz na rok, a przecież życie płynie tam normalnie – dzieci się rodzą, starzy umierają, młodzi chcą wziąć ślub.

– Czy w związku z tym Kościół powinien wprowadzić diakonat kobiet?

– Jesteśmy na początku pewnego procesu, rozeznania – jak lubi mówić papież. Ale wreszcie mówi się o tych sprawach otwarcie, pewnie po raz pierwszy tak oficjalnie. Ten proces musi trwać, rozwijać się. A w końcu dojdzie do zmian. Nie wiem, kiedy będzie wprowadzony diakonat kobiet. Najpierw będzie zgoda na święcenia kapłańskie żonatych mężczyzn. Wtedy ksiądz będzie w każdej wiosce. Już teraz wielu katolików nie zadowala się niedzielnym nabożeństwem Słowa, bo chce uczestniczyć w pełnej mszy. I gdy widzą, że obok powstaje wspólnota ewangelicka, że pastor żyje wśród swoich wiernych, to nie zastanawiają się długo. Na szczęście nie wszyscy.

Strażniczka

Mówi się, że Kościół katolicki wciąż jeszcze jest największym wyznaniem w Amazonii, bo Indianie mają olbrzymi kult dla Maryi i szacunek dla sióstr zakonnych, a tego nie znajdują w protestantyzmie. Jak to się ma do ostatniej roli kobiet w społeczeństwie?

– Z tą gorszą rolą to nie do końca prawda. Oczywiście, że kobiety są dyskry-

minowane i wykorzystywane. Choć są też plemiona, w których panuje matriarchat – tłumaczy s. Zully. – Ale bez wątplenia w tradycyjnych wspólnotach role społeczne są jasno określone. Mężczyzna pełni funkcję publiczną: reprezentuje rodzinę na zewnątrz, bierze udział w naradach, obejmuje stanowiska. Kobieta dba o wyżywienie rodziny, o dom, choć na równi z mężczyznami pracuje też w polu. Jest strażniczką ziarna – pilnuje, by rodzina miała co zasieć w kolejnym roku. Ma też wiedzę, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, o ziołach i tradycyjnych sposobach leczenia chorób. Dzięki kobietom zachowywane są zwyczaje, tradycje i język, bo to one przekazują je dzieciom. Ale tylko do pewnego wieku, potem wychowanie przejmują całe wspólnoty – ona odpowiada za nauczanie dzieci koniecznych, praktycznych umiejętności, np. łowienia ryb czy polowania. Tego nie nauczy ich szkoła.

Nieznamość lokalnych zwyczajów to problem i państwa, i Kościoła. Na synodzie s. Zully mówiła o potrzebie stworzenia „amazońskich seminariów duchownych”, w których księża otrzymają odpowiednią formację.

– Ograniczamy się do europejskiej filozofii i opartej na niej teologii – tłumaczy. – Podczas gdy tutaj należałoby sięgnąć do mądrości przodków, do kosmologii Indian, ich teologii. A przede wszystkim uczyć języków rdzennej ludności. Na terenie, gdzie pracują nasze siostry, żyją trzy plemiona. Niby niewiele. Ale nie znamy ich języków, nie wprowadzamy do liturgii ich symboli, nie wykorzystujemy śpiewów, nie odwołujemy się do ich duchowości.

Pytam, czy nie boi się zarzutów o synkretyzm. Uśmiecha się, bo na to pytanie odpowiadała wiele razy: – My, katolicy, przyjęliśmy kulturę zachodnią, ze wszystkimi jej pojęciami. Niemal od 2000 lat mamy te same symbole, do których przywykliśmy, wydają się niezmiennie. Ale przecież na początku, gdy apostołowie głosili Ewangelię, tak nie było. Czerpali z kultury społeczeństw, do których szli: Żydów, Greków, Rzymian.

Według Zully ludy Amazonii wciąż są w takiej sytuacji. To prawda, katolicyzm wciąż jest największą religią na tym terenie. Ale gdy pierwsi misjonarze przyszli tu, wraz z kolonizatorami, narzucili Indianom swoją religię bez szczególnej troski o wytłumaczenie najważniejszych



EDWARD AUGUSTYN

S. ZULLY ROJAS QUISPE: *Małżeństwa amazońskie właściwie ze sobą nie rozmawiają. Mężczyzna rozmawia z innymi mężczyznami, kobiecie wydaje polecenia. Dlaczego? Nie wiem. Może nikt ich nie nauczył rozmowy?*

prawd wiary. Nie ma się co dziwić, że ludzie zrozumieli ją po swojemu, nadając nowe, chrześcijańskie imiona starym, znanym bóstwom. Najwyższy czas opowiedzieć im naukę Jezusa nie z pomocą św. Augustyna czy Tomasza z Akwinu, ale uwzględniając ich percepcję i system pojęć.

– Wystarczy tylko go poznać – mówi Zully. – Dla nich święta jest ziemia i woda, która daje życie i jest bogactwem dobroci Boga. To przecież bliskie chrześcijaństwu.

– A co z tymi zwyczajami, które bliskie jednak nie są? Niektóre plemiona ponoć wciąż praktykują dzieciobójstwo. Noworodek słaby lub chory zostawiany jest w lesie.

– Z tego, co słyszałam, te zwyczaje już zostały zarzucone. Przynajmniej wśród plemion, które mają kontakt z naszą cywilizacją. Dlatego wciąż podkreślam, jak ważna w pracy misyjnej jest edukacja, na którą moje zgromadzenie od początku istnienia stawia. To też ewangelizacja, podobnie jak pomoc socjalna. To nauka społeczna Kościoła. A ona płynie wprost z Ewangelii. Nie można oddzielać ewangelizacji od spraw społecznych, edukacji, opieki zdrowotnej. Nie można oddzielać jej od ekologii. Indianie mówią, że są elementem amazońskiej bioróżnorodności. Nie uważają się za właścicieli swej ziemi, gospodarzy puszczy, jej stróżów czy opiekunów. Są jej częścią. Zagłada lasu jest ich zagładą. Wiedzą od dawna to, co do nas dopiero dociera, powoli i z oporami, mimo zagrożenia katastrofą. Krzyk Amazonii musi zostać usłyszany.

Rewolucjonistka

Amazonia jest kobietą, która odzyskuje głos. „Tradycyjnie byliśmy traktowane jako istoty pasywne. Teraz przyszła ta chwila, byśmy pomyślały o sobie, jako o osobach mających pełne prawa” – mówi Ketty Marcello z plemienia Ashaninka, jedna z twarzy „amazońskiej rewolucji kobiet”. Przeglądamy z s. Zully broszurę „Indiańskie kobiety w peruwiańskiej Amazonii – panorama, problemy, nadzieje”, przygotowaną na synod przez REPAM, kościelną sieć organizacji pracujących wśród rdzennej ludności. Inna z liderek, Yesica Patiachi, z plemienia Harakbut, pisze: „Nas może uratować tylko las. A my chcemy żyć. Chcę, by synod sprawił, że wszyscy zastanowią się nad tym, co zostawimy naszym dzieciom i wnukom”.

– Rola kobiety była dotąd milcząca – mówi Zully. – Małżeństwa amazońskie właściwie ze sobą nie rozmawiają. Mężczyzna rozmawia z innymi mężczyznami, kobiecie wydaje polecenia. Dlaczego? Nie wiem. Może nikt ich nie nauczył rozmowy? A może ma to związek z historią, z tym, jak kobiety były przez wieki traktowane? A może po prostu trauma, poczucie niedowartościowania, niższości, nie tylko wśród kobiet – w ogóle wśród Indian, którzy zawsze byli upokarzani i obrażani. To wszystko nie sprzyja otwartości i rozmowie. I to się zmienia.

Kobiety coraz częściej zabierają głos. Kościół wreszcie go usłyszał, choć w Amazonii duszpasterstwo już od dawna opiera się na paniach. To one przeprowadzają na nabożeństwa swoich mężczyzn i skłaniają ich do angażowania się w sprawy parafii. One czytają podczas nabożeństw Słowo Boże, prowadzą śpiew, uczą dzieci katechizmu. Tak – również sprzątają kościół. Robią wszystko.

– Papież to docenił – mówi s. Zully. – Po raz pierwszy tyle kobiet zostało zaproszonych na synod. Po raz pierwszy były na nim kobiety indiańskie, które swobodnie przemawiały do 180 biskupów. To ogromne przeżycie i nobilitacja. Poczwały się silne i ważne. Mogły opowiedzieć o rzeczywistości, w jakiej żyją. O niszczeniu ich kultury, przyrody, życia.

– Zostały zaproszone na salony, uhonorowane, wysłuchane. A na koniec i tak mężczyźni podjęli w ich imieniu decyzję – zauważyłam.

– I to też niedługo się zmieni.

© P EDWARD AUGUSTYN

Strażnicy Teksasu

KAROL KLECZKA

W kraju zbudowanym trzy wieki temu przez imigrantów biskupi upominają się o prawa dla współczesnych uchodźców.

OSTATNIĄ POZYCJĘ W PROGRAMIE zorganizowanego w El Paso na południu USA kongresu „Jornada por la Justicia” (Dzień sprawiedliwości), gromadzącego członków związków zawodowych, teologów i aktywistów pracujących na rzecz sprawiedliwości społecznej, stanowiła msza odprawiona przez bp. Marka J. Seitza. Ordynariusz diecezji El Paso zapowiedział na niej „specjalne ogłoszenie”. Trudno znaleźć lepsze słowa, bo nieczęsto zdarza się taki list pasterski. Aż czternaście stron tekstu precyzyjnie punktuje rasizm.

W tym samym El Paso dwa miesiące wcześniej 3 sierpnia o godz. 10.40 do sklepu sieci Walmart wszedł 21-letni Patrick Crusius. Wyciągnął półautomatyczny karabin i zaczął strzelać. Mężczyzna w kilkanaście minut odebrał życie 22 osobom, a 24 ranił, po czym oddał się w ręce policji. Podczas przesłuchania Crusius podkreślił, że zależało mu szczególnie na tym, by „załatwić Meksykanów”.

Między innymi dzięki tej informacji zamachowca zidentyfikowano jako autora manifestu „Niewygodna prawda”, który ukazał się na krótko przed strzelaniną na jednej z tablic w serwisie 8chan – platformie znanej z podobnych publikacji przed zamachami w meczetach w nowozelandzkim Christchurch czy synagodze w Poway. Autor manifestu „inspirował się” tym pierwszym zdarzeniem. Tekst zawiera ekstremistyczne teorie o zastąpieniu „właściwych”, białych Amerykanów Latynosami, sformułowane w agresywnym języku. Podobnego w swych przemówieniach stale używa prezydent USA Donald Trump.

Ważni i mniej ważni

„I odtąd już nocy nie będzie. A nie potrzeba im światła lampy i światła słońca, bo Pan Bóg będzie świecił nad nimi i będą

królować na wieki wieków” (Ap 22, 5). Tak brzmią pierwsze słowa listu pasterskiego „Night will be no more” autorstwa biskupa Seitza, który od sześciu lat pracuje na pograniczu Teksasu i Meksyku. Listu przepełnionego nadzieją, ale też nie unikającego ostrych słów ani czytelnych aluzji, kto jest jego głównym adresatem. Ogłoszonego nieprzypadkowo właśnie 13 października, bo tamta niedziela wypadła w wigilię Indigenous Peoples’ Day, czyli amerykańskiego święta upamiętniającego kulturę i historię rdzennej ludności USA. Święta, co należy podkreślić, powstałego w opozycji do Columbus Day – narodowej celebracji przybycia Krzysztofa Kolumba do Ameryki, które dla Indian wyznacza symboliczną datę początku prześladowań ze strony białych kolonizatorów.

„To może być trudne, wiem, że dla mnie będzie, bo takie słowa jak rasizm czy biała supremacja sprawiają, że czujemy niewygodny niepokój, a mnie nie przychodzi lekko o nich mówić. Żyjemy w brutalnej kulturze pozbawionej przebaczenia, w której tych słów używa się jak broni (...), lecz sprzeciw wobec rasizmu i białej supremacji, czy to w naszych sercach, czy w społeczeństwie, jest chrześcijańskim nakazem” – pisał bp Seitz do wiernych.

Przygraniczna diecezja, którą zarządza Seitz, od lat na co dzień musi zmagać się z rasizmem. Teraz doszedł problem migrantów, którzy bezskutecznie pragną przedostać się na północ, często do swych rodzin, od których zostali odłączeni.

„To misterium zła uwzględnia fundamentalne przekonanie, że niektórzy z nas są ważniejsi od innych, więcej znaczą, a ich życie ma większą wartość. Zawiera odrażającą pewność, że ten kraj, jego historia, możliwości, środki czy życie polityczne należą bardziej do białych aniżeli kolorowych. To perwersyjny punkt widzenia, który (...) prowadzi do odczłowie-



czania. Tym właśnie jest rasizm” – wyjaśnia hierarcha.

Rasizm dociera dziś tam, skąd od lat był skrupulatnie rugowany. Żywiąc się kulturowymi animozjami, sięga instytucji. List biskupa zwraca uwagę na odpowiedzialność prezydenta USA, a zwłaszcza budowaną przez niego narrację o „inwazji” i „mordercach”, którą najwyżsi oficjele przejęli i stosują względem migrantów. To nią uzasadniali plan budowy muru odgradzającego Stany Zjednoczone od Meksyku. Zdaniem katolickiego hierarchy, Donald Trump ze swoją wizją stosunków z południem odpowiada za masakrę dokonaną przez Crusiusa i inne akty przemocy.

Episkopat kontra prezydent

Seitz nie jest osamotniony w tym poglądzie. Biskupi przygranicznych diecezji podzielają jego zdanie. Bp Daniel E. Flores z diecezji Brownsville na południowym wschodzie Teksasu kilka miesięcy temu wzywał episkopat USA do obrony przesiedleńców, mówiąc, że „rządy nie



Biskup amerykańskiego El Paso Mark Seitz odprowadza do meksykańskiego miasta Ciudad Juárez imigrantów deportowanych z terenu USA w ramach kontrowersyjnej polityki „Pozostań w Meksyku”, 27 lipca 2019 r.

MARIO TANA / GETTY IMAGES

powinny traktować azylantów jak pionków na szachownicy”. Nie ograniczył się zresztą tylko do apelu. Flores wsławił się wielomiesięcznym blokowaniem budowy „muru Trumpa”.

Przyjęty przy sporządzaniu budżetu USA plan zabudowy południowej granicy kraju wiązał się z pewnymi zmianami jej przebiegu. Jeśli doszedłby do skutku, poza Stanami Zjednoczonymi znalazłaby się mała kapliczka w La Lomita w Mission, na terenie diecezji biskupa Floresa. Flores opóźniał zatwierdzenie budowy, ponieważ twierdził, że przyjęty przebieg muru naruszałby wolność wyznania jego diecezjan, którzy utraciliby dostęp do miejsca kultu. Sprawa niewielkiego kościółka przyciągnęła uwagę opinii publicznej. Ostatecznie zmieniono plany budowlane i w strzeżonym murze znalazła się wyrwa – właśnie na kaplicę w La Lomita. Teraz bp Flores dąży do budowy na terenie swojej diecezji dwóch świetlic integracyjnych dla przybyszów z południa.

Diecezja Brownsville należy do metropolii Galveston-Houston, która obej-

muje wschodni Teksas, z kolei El Paso to sufragania archidiecezji San Antonio. Obie mają podobne problemy w związku z budową muru na granicy z Meksykiem. Zdecydowana większość katolików, którzy je zamieszkują, pochodzi z południa, zatem mur dzielący dwa kraje rozdziela także rodziny.

Obie teksańskie archidiecezje w lutym 2019 r. wspólnie wystosowały do prezydenta Trumpa odezwę podpisaną przez niemal wszystkich przygranicznych ordynariuszy. W ten sposób zareagowali na decyzję prezydenta, który uciekł się do prawnego wybiegu – ogłosił stan wyjątkowy umożliwiający mu przekierowanie 8 miliardów dolarów, przeznaczonych dla innych pozycji budżetu, właśnie na budowę wymarzonego zbrojenia granicy. Zabieg Trumpa skrytykowali Demokraci i część Republikanów, zwracając uwagę, że tworzy on niebezpieczny precedens mogący służyć nadużywaniu władzy.

Bp Flores pod listem się nie podpisał, bo już wtedy wszedł na drogę sądową z władzami federalnymi w sporze o La Lomita, ale widnieją pod nim nazwi-

ska wszystkich ordynariuszy przygranicznych diecezji. A oprócz nich również kardynałów z północy – Seána O’Malleya z Bostonu, Blase’a Cupicha z Chicago i Josepha Tobina z Newark.

Własną wojnę z Trumpem prowadzi jeden z sygnatariuszy odezwy – abp Gustavo Garcia-Siller z San Antonio. W sierpniu wszedł w spór z prezydentem na jego ulubionym polu: na Twitterze. Arcybiskup zapalczywie zareagował na wydarzenia z El Paso, za które podobnie jak Seitz obwinił Trumpa. „Prezydencie, powstrzymaj swoją nienawiść, ludzie w USA zasługują na kogoś lepszego” – tweetował arcybiskup i publicznie oskarżył prezydenta o rasizm. Kilka dni później hierarcha usunął wpisy, przepraszaając za to, że nie skoncentrował się na sprawie, lecz na osobie. Jednocześnie nagrał wideo, w którym przypomniał słowa listu biskupów USA *Open wide your hearts* („Otwórzcie swe serca szeroko”) z listopada 2018 r., w którym duchowieństwo po raz pierwszy od 40 lat wyraziło wspólne stanowisko w sprawie rasizmu, nazywając go „złośliwym nowotworem, który wciąż zżera nasz naród”.

Garcia-Siller sam pochodzi z Meksyku i przeprowadził w USA 15 lat z hispanojęzycznymi migrantami, zanim dostał obywatelstwo kraju. Synem migrantów jest również przewodniczący episkopatu USA, kard. Daniel DiNardo, który kieruje drugą z teksańskich archidiecezji. 15 lutego wraz z bp. Joem Vásquezem, odpowiedzialnym w episkopacie za kwestie migracji, wystosował oświadczenie, w którym wyrazili głęboki niepokój w związku z planami zmian budżetowych mających dofinansować budowę muru. „Mur w pierwszej kolejności jest symbolem podziału i animozji między dwoma przyjaznymi krajami. Niezmienienie i z determinacją opowiadamy się za wizją papieża Franciszka, który podkreśla, że należy budować mosty, a nie mury” – pisali biskupi. Kilka miesięcy później pojawiło się drugie oświadczenie, gdzie głos DiNardo brzmiał jeszcze bardziej zdecydowanie. Tym razem kardynał obciążył Białą Dom odpowiedzialnością za śmierć →

→ ludzi ginących na granicy w trakcie prób przedostania się do USA. DiNardo wielokrotnie pisał do Trumpa, krytykując m.in. praktykę odbierania dzieci migrantom.

Jeśli przewodniczący episkopatu otwarcie protestuje wobec polityki prezydenta USA, sprawa jest poważna. Niemniej świadectwa hierarchów pozostają często głosem „wołającego na pustyni”, skoro natrafiają na opór nie tylko ze strony prezydenta, ale samych katolików. Marcowe badanie Pew Research Center wskazało, że wśród katolików Trump nadal może liczyć na wsparcie.

Niektórzy tłumaczą to reżyserią społeczną, jaką skutecznie posługuje się jeden z najbliższych przyjaciół prezydenta i człowiek, który pomógł mu zasiąść w Ovalnym Gabinetcie. Steve Bannon promigracyjne działania amerykańskich biskupów określa złośliwie jako desperackie próby uzupełniania szeregow wiernych. „Potrzebują nielegalnych obcych, żeby wypełniać ławki w kościołach” – mówił rok temu na antenie CBS. Znany z licznych przyjaźni z ultrakonserwatywnym skrzydłem amerykańskiego Kościoła, reprezentowanym choćby przez kard. Raymonda Burke’a, Bannon pragnął niedawno uruchomić we Włoszech think tank, określane przez niego samego jako „szkoła gladiatorów”. Owa szkoła miała formować liderów radykal-

BISKUP MARK SEITZ:

To misterium zła,
jakim jest rasizm, zakłada
fundamentalne przekonanie,
że niektórzy z nas są ważniejsi
od innych, więcej znaczą,
a ich życie ma większą
wartość.

nie prawicowych ruchów politycznych i – tworząc z nich „nacionalistyczną międzynarodówkę” – kształcić ich na „obrońców Zachodu”. Na razie plany Trumpowego spin doctora zablokowało włoskie ministerstwo kultury.

Bóg przekracza granicę

„Nie możemy się nie angażować. Musimy włączyć się w działania antyrasistowskie i solidarnie iść z tymi, którzy cierpią i są wykluczeni (...). Musimy podejmować kroki, by bronić ludzkich praw każdego człowieka przy granicy” – pisze w liście pasterskim Seitz. Biskup wie, o czym pisze. Podczas zorganizowanej przez niego procesji modlitewnej uczestnicy nieśli plakaty z podobiznami dzieci, które zginęły na granicy Stanów. Odprowadził

wyrzuconych z USA uchodźców do meksykańskiego Ciudad Juárez, gdzie wygłosił poruszające przemówienie. Potępiał w nim politykę amerykańskiego rządu oraz postępowanie służb granicznych niehumanitarnie traktujących dzieci i matki w ośrodkach pobytu tymczasowego. „Znaleźliśmy sobie nową grupę, aby patrzeć na nią z góry i aby nią straszyć. Jeśli tylko mówią innym językiem albo mają inny kolor skóry, cóż, to wystarczy, by ich stygmatyzować” – mówił wtedy bp Seitz. „Czy w dzisiejszej Ameryce zapomnieliśmy o Piśmie Świętym? O przykazaniu miłości? Czy zapomnieliśmy o Bogu? On puka – tutaj, na granicy” – nawoływał duszpasterz z El Paso.

Gdy władze zaostrzyły politykę antymigracyjną, Seitz założył specjalny fundusz i wykorzystał 100 tys. dolarów z budżetu diecezji, aby go zasilić. Do pomocy nakłonił także Rycerzy Kolumba, którzy przekazali na jego działania duże środki finansowe, a następnie wsparli w podobnym celu sąsiednią diecezję Laredo. Pieniądze z funduszu Seitza są przekazywane bezpośrednio duchownym opiekującym się migrantami koczującymi bardzo często w przygranicznych kościołach albo w uruchomionych przez księży schroniskach.

Niedawny list to kolejny krok. Biskup skupia się na symbolice muru. „To nie tylko środek bezpieczeństwa państwowego. Mur jest symbolem wykluczenia, zwłaszcza wtedy, gdy towarzyszy mu polityczna ksenofobia. (...) Utrwała rasistowski mit o tym, że na południe od granicy jest miejsce tylko dla obcego zagrożenia, a my możemy wyłącznie biernie przyglądać się przemocy. (...) Mur zabija rodziny i dzieci, lecz przyjdzie taki dzień, gdy spojrzymy, jak się kruszy, i wspomnimy, że kiedyś był pomnikiem nienawiści”.

Największe wrażenie jednak robią końcowe fragmenty listu. Seitz zwraca się do władz stanowych, błagając, by nie doprowadziły do egzekucji zamachowca z El Paso. „Krąg nienawiści, krwi i zemsty musi mieć swój kres” – pisze biskup, przypominając, że Bóg zawsze daje szansę, by wybrać życie. „Jeśli czujesz się samotny, wyobcowany i umęczony do tego stopnia, że aby przerwać ten mrok, sięgasz po pistolet, to mówię ci dziś: jest dla ciebie miejsce w naszym Kościele. Odłóż tę broń nienawiści. Oddał swój łąk”.

© KAROL KLECZKA

5 listopada 2019 roku,
przeżywszy 90 lat, odeszła do Domu Pana

Ś.†P.

Stanisława Irla

nasza kochana Mama, Teściowa, Babcia i Prababcia

POŻEGNANIE

Michałowi Kuźmińskiemu

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Babci

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA”

POŻEGNANIE

Ciało nam wydane

PIOTR SIKORA

Eucharystia jest święta, bo to miłość. Bez siły i obrony. Czy zatem powinniśmy się uciekać do pomocy policji w jej obronie?

NIEDAWNE WYDARZENIA W BEŁCHATOWIE rozpętały szeroką dyskusję na temat miejsca sacrum w przestrzeni społecznej i odpowiednich sposobów ochrony tego, co święte, przed profanacją. Sam przebieg zdarzeń, zgodnie z przekazem mediów, wyglądał następująco: 13-letni chłopiec podczas mszy wypłuł przyjęty konsekrowany komunikant i schował do kieszeni. Zauważyli to księża, podeszli do chłopaka i poprosili o oddanie hostii. Ten odmówił i chciał uciec. Księża zatrzymali go i wezwali policję. Przybyli na miejsce policjanci pouczyli księży i chłopca. Chłopiec powiedział policjantom, że bolał go ząb. Ostatecznie spożył konsekrowany komunikant.

Istotnych z duchowego punktu widzenia szczegółów nie znamy: stanu religijnej świadomości nastolatka, jego intencji i dokładnego sposobu zachowania; ani też słów, gestów księży i ich emocjonalnej postawy wobec chłopaka. Nie zamierzam więc w swoim tekście sądzić nikogo.

Trwa jednak dyskusja o tym, czym jest profanacja i jak jej zapobiegać. W dyskusji wiele głosów przeciwstawia część dla Najświętszego Sakramentu (rzeczywistości Boga) i dobro człowieka. Jednym z nielicznych głosów wskazujących na problematyczność tego przeciwstawienia był tekst jezuita Dariusza Piórkowskiego, który ukazał się w portalu „Więzi”. Chciałbym wesprzeć tę perspektywę oraz dodatkowo zwrócić uwagę na jeszcze jeden – jak sądzę – istotny, a raczej przeoczany aspekt świętości Eucharystii.

Bez przemocy

Ciało w języku biblijnym czasów Jezusa oznacza osobową tożsamość w jej aspek-

cie relacyjnym, tj. osobę jako pozostającą w związkach ze światem i z innymi osobami. Krew zaś to dla Żydów współczesnych Rabbimu z Nazaretu zasada życia, a nawet życie samo. Trzeba nam o tym pamiętać, gdy podczas liturgii Eucharystii słuchamy słów konsekracji wypowiadanych nad chlebem: „Bierście i jedzcie z tego wszyscy, to jest bowiem Ciało moje, które za was będzie wydane” oraz nad kielichem wina: „Bierście i pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem kielich Krwi mojej, nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. To czyńcie na moją pamiątkę”.

Formuła powyższa jest parafrazą słów Jezusa z ostatniej wieczerzy, jak dotarły one do nas poprzez zapisy znajdujące się w Ewangeliach synoptycznych oraz Pierwszym Liście św. Pawła do Koryntian. Biblijne wersje nieco się różnią – na przykład o tym, że Ciało jest za nas wydane, wspominają tylko Paweł i Łukasz. Biblistom trudno rozstrzygnąć w niepowątpiewalny sposób, jak dokładnie brzmiały słowa Jezusa w tamten wieczór przed aresztowaniem. Nawet jednak jeśli nie wymówił On wówczas frazy „za was wydane” – to bardzo dobrze wyjaśnia ona sens wydarzeń, w których w rytualny, sakramentalny sposób uczestniczymy celebrując Eucharystię.

Wszystkie teksty eucharystyczne mówią bowiem, że Jezus utożsamia się z połamanym przez siebie i rozdany uczniom chlebem. „To jest ciało moje”, czyli „to jestem Ja, który się wam daję, zapraszając was do relacji ze mną”. Kim

On jest, tego w pełni nie rozumiemy. Na pewno jednak teksty biblijne ukazują Go jako kogoś, kto uosabia miłość całkowicie bezbronną, która rezygnuje z jakiegokolwiek przemocy i właśnie przez to posiada charakter boski.

Poetycko wyraża tę cechę prorok Izajasz w obrazie sługi Jahwe, który „nie będzie wołał ni podnosił głosu, nie da słyszeć krzyku swego na dworze. Nie złamie trzciny nadłamaney, nie zagasi knotka o nikłym płomyku” (Iz 42, 2-3). W opisywanym przez Izajasza słudze Jahwe tradycja chrześcijańska rozpoznaje Jezusa – i to właśnie dlatego, że dalsza część opowieści proroka przedstawia ową tajemniczą postać jako kogoś, kto nie ucieka się do żadnej przemocy nawet wówczas, gdy spotyka się z przemocą wobec siebie: „Dręczono go, lecz sam się dał gnębić, nawet nie otworzył ust swoich. Jak baranek na rzeź prowadzony, jak owca niema wobec strzygących ją, tak on nie otworzył ust swoich” (Iz 53, 7). Chrześcijanie uznają, że postawa opisana w Księdze Izajasza w doskonały sposób została zrealizowana przez Jezusa podczas Jego męki i w sposobie, w jaki oddał dobrowolnie →

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES



→ życie: na krzyżu, do końca bez agresji i chęci odwetu na prześladowcach, przebacząc i modląc się za nich.

Eucharystia symbolicznie i realnie uobecnia tamto wydarzenie – nie tylko przejście Syna do Ojca, ale również sposób, w jaki przeżył On swoją drogę. Eucharystia bowiem – ciało Jezusa w połamanych i rozdawanym chlebie; krew Jezusa, czyli Jego życie oddane dla nas, obecne w winie, do którego picia zaproszony jest przez Niego każdy – doskonale w swojej symbolice wyraża tę pozbawioną wszelkiej przemocy bezbronność miłości. Jest przecież pokarmem – rzeczą przeznaczoną do spożycia – wzięcia do ust, pogryzienia, przełknięcia, strawienia. Kto dotknął Arki Przymierza, ten miał dużą szansę zginąć (por. 2 Sm 6, 3-9), wzięcie do rąk i do ust eucharystycznego chleba i wina nie tylko niczym nie grozi, wręcz przeciwnie – daje życie (por. J 6, 54nn).

Niegodne przyjęcie

Ktoś mógłby w tym miejscu zapytać: a co z ostrzeżeniem przed niegodnym przyjmowaniem Eucharystii, skierowanym przez św. Pawła do Koryntian: „Kto spożywa chleb lub pije kielich Pana niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pana. Niech przeto człowiek sprawdza siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije nie rozpoznając Ciała, wyrok sobie spożywa i pije” (1 Kor 11, 27-29)?

Chcąc zrozumieć powyższe słowa Apostoła Narodów, trzeba zauważyć ich bezpośredni kontekst, w którym Paweł zwraca uwagę Koryntianom, na czym polega niegodny sposób celebrowania przez nich Eucharystii. Problemem,

który wskazuje – właściwie jedynym! – jest brak jedności i miłości pomiędzy koryntskimi chrześcijanami. Gdy schodzą się oni jako Kościół (tj. na celebrację Eucharystii – por. 1 Kor 11, 18), panują wśród nich spory, egocentryzm i brak solidarności z ubogimi. Wówczas, zdaniem Pawła, eucharystyczna celebracja w ogóle nie dochodzi do skutku: „Gdy się zbieracie, nie ma u was spożywania Wieczery Pańskiej. Każdy bowiem już wcześniej zabiera się do własnego jedzenia, i tak się zdarza, że jeden jest głodny, podczas gdy drugi nietrzeźwy. Czyż nie macie domów, aby tam jeść i pić? Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydząć tych, którzy nic nie mają?” (1 Kor 11, 20-22). Ostrzeżenie przed niegodnym spożywaniem Ciała i Krwi Pana następuje zaraz po powyższym opisie.

A zaraz po tym ostrzeżeniu Paweł zaleca adresatom swego listu: „Tak więc bracia moi, gdy zbieracie się, by spożywać, poczekajcie jedni na drugich!” (1 Kor 11, 33).

Interpretując Pawłowe ostrzeżenie, nie można też zapomnieć, że jednym z ważniejszych wątków Pierwszego Listu do Koryntian jest teologia Kościoła jako Ciała Chrystusa. W tym szerszym kontekście jasnym się staje, że rozpoznanie Ciała, konieczne wedle Pawła do godnego spożywania Eucharystii, jest przede wszystkim dostrzeżeniem, że Ciałem Chrystusa jest cała gromadząca się na celebracji wspólnota Kościoła, wszyscy, którzy ją tworzą, także ubodzy i po ludzku mniej znaczący – w nich wszystkim obecny jest Chrystus, oni wszyscy należą do sfery świętej, którą należy otoczyć religijną czcią.

Przemiana

Nie ma tu też sprzeczności pomiędzy widzeniem Ciała Chrystusa we wspólnocie a rozpoznaniem Jego obecności w znakach chleba i wina. Trzeba tylko dobrze rozpoznać sens konsekrowanych postaci. Te ostatnie nie mają racji bytu same w sobie. Jak jasno ujawniają słowa Jezusa z ostatniej wieczerzy – są nam przez Niego dane do zjedzenia i wypicia. Ich jedynym zamierzonym przez Mistrza celem jest być spożytymi przez nas, zniknąć w naszych trzewiach i przemienić nas z grupy osobników gatunku *Homo sapiens* w Ekklesię – wspólnotę zwołaną boskim zwołaniem i przemienioną w Jego Ciało – w Niego.

Jeśli jednak pozwalamy się w Niego przemieniać, to znaczy, że w nas ujawniają się Jego cechy. Wśród nich zaś najważniejsza, ukryta perła: miłość bezbronna, ofiarująca się każdemu i z góry rezygnująca z prób siłowej obrony. Jeśli pozwalamy, by spożyte przez nas chleb i wino, Ciało i Krew, coraz bardziej określało naszą tożsamość – kim jesteśmy i jak działamy – to i my coraz mniej skłonni będziemy krzyczeć i podnosić głos, coraz lepiej będziemy potrafili nie gasić ledwo tłących się płomyków i nie łamać nadłamanych trzciny. Ale też – jednocześnie – coraz bardziej bezbronni i podatni na zranienie, będziemy jak baranki na rzeź prowadzone, jak owce nieme wobec strzygących je.

I jest to jedyny sposób godnego spożywania Ciała i Krwi Pana oraz jedyny – chronienia Jego świętości. Bo jest to świętość wydanej w nasze ręce bezbronnej miłości, której siłą jest brak sprzeciwu, obrony i walki. To Eucharystia – czyste dziękczynienie. ©© PIOTR SIKORA

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

BIELSKO-BIAŁA, poniedziałek,

18 listopada, godz. 17.30

„Jan Józef Lipski – lewicowy patriota”.

Gościem będzie Łukasz Garbał. Książnica Beskidzka (ul. Słowackiego 17A).

LUBLIN, piątek, 22 listopada, godz. 18

„Co z tym Lutrem?”. Gośćmi będą Halina Radacz, ks. prof. Alfred Wierzbicki. Kościół ewangelicko-augsburski (ul. Ewangelicka 1).

WARSZAWA

Czwartek, 21 listopada, godz. 18

„Fizyka, filozofia, film”. Gościem będzie Krzysztof Zanussi. Sala KIK (ul. Freta 20/24A).

Piątek, 22 listopada, godz. 18

„Buddyzm a chrześcijaństwo. Rola religii w rozwiązywaniu egzystencjalnych problemów współczesnego człowieka”.

Gośćmi będą Manuela Gretkowska, Stanisław Obirek, Adam Szostkiewicz. Kościół ewangelicko-reformowany (al. Solidarności 74).

OLSZTYN,

piątek, 22 listopada, godz. 17

Dyskusja po filmie „Boże Ciało” Jana Komasy. Gościem będzie Łukasz Adamski. Dom Mendelsohna (ul. Zyndrama z Maszkowic 2).

SZYMON

Hołownia: Potwory i spółka



WYZNACZENIE PRZEZ PREZYDENTA ANDRZEJA DUDĘ ANTONIEGO MACIEREWICZA NA MARSZAŁKA SENIORA NOWEGO SEJMU (PAMIĘTAMY CHYBA WSZYSTYCH SZORSTKOŚĆ RELACJI OBU PANÓW W CZASACH, GDY TEN OSTATNI BYŁ MINISTREM OBRONY) ORAZ WYSTAWIANIE PRZEZ PIŚ JAKO KANDYDATÓW NA SĘDZIÓW TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO KRYSZTOF PAWŁOWICZ I STANISŁAW PIOTROWICZ ROZUMIEĆ MOŻNA CHYBA TYLKO W JEDNYM KŁUCZU.

Skoro partia rządząca nie wygrała tak, jak spodziewała się wygrać, a teraz musi walczyć o większość w Senacie, faktyczny przywódca państwa doszedł do wniosku, że najlepszym socjotechnicznym ruchem będzie pokazanie całej reszcie świata, ze szczególnym uwzględnieniem „totalnej opozycji”, środkowego palca. A następnie sycenie się jej bezsilnym wyciem (które natychmiast nastąpiło). Sytuacja – wypisz wymaluj – jak z megahitu dziecięcego kina, filmu „Potwory i spółka”, w którym śledzić możemy przygody sympatycznych monstrów, pracowników zakładu generującego potrzebną im do życia energię z krzyku dzieci straszonych na coraz to bardziej wymyślne sposoby.

Kadrowe horrendum to jedno z licznych przejawów tego, co robią z tym krajem i z polityką (która w założeniu ma być przecież szlachetną sztuką służenia ludziom poprzez ogarnianie ich wspólnych spraw) działające u nas partie polityczne (zwłaszcza dwie). Partie same w sobie nie są niczym złym, ich spór o to, jak urządzić ten czy inny wspólny kawałek rzeczywistości, jest czymś naturalnym. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy spór zaczyna obejmować pola, które z definicji powinny być od niego wolne, gdy zabudowuje swoimi straganami kliny napowietrzające Polskę, na skutek czego wszyscy zaczynamy się dusić.

Nie mówię tu wyłącznie o urzędzie prezydenta, który – nie tylko chyba w moich marzeniach – powinien mieć za szefa naród, a nie szeregowego posła czy przewodniczącego partii politycznej, by nie musieć robić co chwila rozbijających wspólnotę głupot (z którymi pewnie często sam się nie zgadza), bo jest przecież zakładnikiem partyjnych struktur i pieniędzy, gdy idzie o wdzięczność za pierwsze wybory i wybór na kolejną kadencję. Tu naprawdę nie chodzi o tę czy inną osobę, lecz o to, że prezydent partyjny – kto by nim nie był – to poważny błąd systemowy: to miejsce zarezerwowane jest dla stróża ponadpartyjnej wspólnoty. Kolejnym obszarem wyłączonym z upartyjnienia powinny być sądy (bo to paranoja, by łączyć czy fana jednej partii sędził nominat innej), kolejnym

– aż strach powtarzać takie banały: sfera wiary, Kościół. Kiedy podczas dziesiątek spotkań autorskich rozmawiam z ludźmi w całej Polsce, zdumiony jestem tym, jak łatwo daliśmy sobie wmówić, że niepodobna pomyśleć innego świata, że skoro oni to sobie biorą, to widocznie muszą brać, i nie ma alternatywy.

Ale to ma, obawiam się, dużo głębszy i poważny korzeń. Takie działania naszych liderów, czy politycznych, czy kościelnych (często też biznesowych, ideowych), wypłukują z nas na potęgę przekonanie o sprawczości dobra. W życiu udaje się tym, którzy wiemy, jacy są. Którzy na plakatach piszą „nadzieja”, ale w istocie myślą „stołek”. Którzy „dają popalić” z ambon, zamiast głosić z nich Ewangelię.

Jasne, raz czy dwa razy w roku zachwycimy się ogólnopolską akcją, realnym ruchem dobrych serc (np. WOŚP), a później wrócimy do śledzenia konfrontacyjnej kombinatoryki panów Grzegorzów i Jarosławów. To jest też, mam wrażenie, jeden z najważniejszych powodów wypłukiwania się polskiego katolicyzmu, laicyzacji, która coraz śmielej sobie u nas poczyną (patrz choćby tegoroczne wskaźniki powołań). To oczywiście, że „ideologie LGBT” i inne farmazony to wróg wymyślony przez niemających pomysłu na to, jak poradzić sobie z przeciwnikiem realnym: wsączającym się zewsząd pastelowym, nienachalnym zwątpieniem, spychającym nasze chrześcijańskie czy obywatelskie ideały do szafy z napisem: „piękne, ale nierealne”. Bo przecież gołym okiem widać, że jak człowiek jest im radykalnie wierny, to dostaje po łbie, a skuteczność jest synonimem konformizmu.

Brak to jeszcze nie jest tragedia, tragedią jest przyzwyczajenie się do niego, na skutek czego dochodzi do uznania go za normę. To równia pochyła, bo jeśli nasza norma będzie dziś na poziomie minus dziesięć, to jutro, po kolejnej asymilacji, udomowieniu kolejnego braku – będzie to minus dwadzieścia, a później minus trzydzieści. Co można z tym zrobić? Wiem, że piszę te słowa do ludzi, których okłamano już setki, jeśli nie tysiące razy; wiem to, bo sam do nich należę. Odpowiedź mam od lat jedną. W każdym z opisanych wyżej obszarów – bycia obywatelem RP, członkiem Kościoła (ale to przecież ma zastosowanie również do bycia częścią innych społeczności) – trzeba zrobić wszystko, zanim jeszcze w głowie pojawi się zmieniające człowieka w amebę pytanie: „ale co to zmieni?”.

Gdy kradną nam rzeczywistość, nie pozwólć wyjałowić się z marzeń. Gdy kradną nam teraźniejszość, nie oddać przeszłości.

Pamiętam, jak przed ostatnimi wyborami zachwylił mnie w Lublinie plakat kandydata na posła, na którym widniało hasło – matka i mistrz wszystkich wyborczych haseł: „Zrobimy to, co potrzebne”. Zapewniam, że nie potrzeba niczego więcej, byśmy jutro obudzili się w takiej Polsce, gdzie więcej energii można poświęcić na budowanie niż na wojny, sprzątania i wszystkie inne czynności, w których od trzydziestu lat się specjalizujemy. ©



DALEJ PÓJDZIESZ SAM

W miejscu, gdzie Bliski Wschód graniczy z Azją Mniejszą, a miasta istnieją od pięciu tysięcy lat, trudna historia nie może się skończyć. Najbardziej cierpią dzieci.

MARCIN ŻYŁA Z DOHUKU (IRACKI KURDYSTAN)

KATIA KATRASZCZUK, PSYCHIATRA, Wchodzi pierwszy raz do namiotu Hasana 14 października. O wizytę prosi pracujący w obozie lekarz ogólny. Chłopca boli brzuch, ale nie daje się zbadać. Krzyczy, kopie, rzuca przedmiotami. Przez następny miesiąc to właśnie o nim Katia będzie myśleć najwięcej.

Za pierwszym razem Hasan nie powie nic. Ma 14 lat. Jest jezydem, lecz wrzaśnie na nią po arabsku – i ucieknie. Lekarce zostanie rozmowa z matką. Chłopiec znacznie mówić podczas drugiej wizyty. Gdy Katia zapyta go, ilu ludzi dzisiaj zabił.

PIERWSZY KROK Wyobraź sobie bezpieczne miejsce. Ogród, gdzie nikt cię nie odnajdzie. Niewidoczną z dołu kryjówkę w konarach. Wyspę na środku oceanu, który wzburzy fale i potopi złych, jeśli znów chciałby cię skrzywdzić. Albo miejsce z ulubionego filmu. To będzie twój azyl, gdzie nigdy nic ci się nie stanie. Jeśli, jak wczoraj, obudzi cię koszmar albo zaczniesz nagle płakać, gdy poczujesz, że mdlejesz lub przestraszysz się wspomnień, gdy chwyci cię kolka, złość czy odruch wymiotny – pomyśl, że jesteś tu, w ogrodzie, który zawsze cię ochroni.

Powroty

W północnym Iraku, w autonomicznym Regionie Kurdystanu – oszalałymi są góry i błyskawice. Zwłaszcza teraz, przed zimą, przy dużych różnicach temperatur. Pioruny nie uderzają pionowo, kładą się wzdłuż grzbietów, czasem rozświetlają jedną trzecią horyzontu.

Jadąc z Dohuku do obozu uciekinierów wojennych Dawodia, oprócz błyskawic

można na niebie dojrzeć słupy dymu. Jeśli dym jest ciągły, ciemnieje i rozwiewa go wiatr, to pasterze wypalają trawy. Jeśli unosi się pionowo, przybiera kształt grzyba, a potem znika – to Turcy trafili kogoś z drona. 30 kilometrów stąd jest Syria, gdzie od miesiąca trwa turecka ofensywa. Jednak w irackim Kurdystanie Ankara też poczyną sobie śmiało: do nalotów dochodzi raz na kilka tygodni. Na takie interwencje pozwalał jeszcze Saddam Husajn.

Były iracki dyktator wybudował letni pałac na wysokiej jak Tatry górze Gara, którą widać z każdego miejsca obozu. Nieco dalej wznosi się Sindzar, święte szczyty jezydów, łączących w swej religii elementy islamu, chrześcijaństwa i sta-

rożytnych wierzeń. Nagie, skalne pasma oddzielają ich krainę od ziem Kurdów, Turków i Arabów.

Wiosną do Dawodii i położonego pod Dohukiem obozu Szarija zaczęli wracać jezydzi więzieni przez dżihadystów z ISIS. Nie brakuje wśród nich dzieci. Większość przebywała w niewoli pięć lat, od 2014 r., kiedy samozwańczy kalif Abu Bakr al-Baghdadi ogłosił powstanie Państwa Islamskiego.

Jednym z takich dzieci jest Hasan.

Imię ojca

Jest 21 października, gdy Katia widzi go powtórnie. Chłopiec wytrzymuje kwadrans. Starcza, by usłyszał o pewnym nastolatku z Ukrainy. Tam też trwa wojna. I on bywa roześlony, boli go brzuch, krzyczy, płacze, jest mu źle.

– Wydaje mi się, że masz tak samo, i że można ci pomóc – mówi Katia. – Nie wierzę ci! – krzyczy Hasan. – Jak mógłbyś, skoro tyłu cię okłamywało i robiło krzywdę? – odpowiada spokojnie lekarka. Pyta o strzelankę, w którą Hasan non stop gra na telefonie mamy (mówi, że dziś zabił 15 nieprzyjaciół). I o to, czy za tydzień może przyjść jeszcze raz (dostaje zgodę). Tyle zdąży, nim chłopiec się wścieknie i wybiegnie z namiotu.

Tego dnia lekarka więcej dowiaduje się od matki. Hasan jest jednym z dwóch braci, którzy w marcu wrócili z niewoli. Drugi, starszy o dwa lata, zbiera siły po operacji. Kilka dni temu wyjeżdżał do obozu pocisku, który przy nim wybuchł. On emocjonalnie wydaje się stabilny.

Matka opowiada dalej. Ma czwórkę synów, ale o losach dwóch pozostałych →



KATIA KATRASZCZUK, psychiatra, pracuje w irackim Kurdystanie od trzech lat

OBOK: rysunek siedemnastoletniego chłopca, od 2014 r. przetrzymywanego przez ISIS, wykonany już na wolności

→ od pięciu lat nie wie nic. Hasan miał ojca, zabitego przez dżihadystów na jego oczach. Patrząc na tę śmierć zapomniał jego imienia i już go sobie nie przypominał. Osiem miesięcy więziono go z bratem, przymusowe oddzielenie było dla niego drugą traumą. Brata udało się zlokalizować i wykupić. Hasan, po pięciu latach w niewoli, uciekł sam.

DRUGI KROK Dam ci teraz olejek migdałowy, zmieloną kawę z kardamonem, wodę różaną. Wybierz, co ci się podoba, i noś odtąd przy sobie. Powąchaj, gdy w środku dnia przypomni ci się nagle zgniła woń martwego ciała. Powąchaj, a woń zniknie.

Terapie

Jest wieczór, już po pracy, kiedy w jednej z kilku urządzonych na zachodni wzór kawiarni w Dohuku Katia Katraszczuk (rocznik 1990, na misji w Iraku od trzech lat) opowiada o pacjentach. Pracuje przy projekcie, który realizują Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie i słowacka organizacja STEP-IN. Na projekt składają się: mobilna klinika w obozie Szarija (Katia przyjmuje w poniedziałki) oraz mały szpital w Dawodii (jest tu od wtorku do piątku). W międzynarodowym, kilkunoosobowym zespole lekarzy jest jedyną psychiatrą. Codziennie ma 5–8 pacjentów do konsultacji lub leczenia, i 4–5 do terapii. Terapia – to ok. 20 cotygodniowych sesji. Na więcej nie ma czasu, a potrzeby są

ogromne. Na szczęście niedawno zaczęła prowadzić terapię grupową.

– Ile dzieci potrzebuje pomocy? Chyba wszystkie. Od leczenia, po rozmowy, wsparcie w nauce i radzeniu sobie ze stresem – mówi Katia. – Hasan, prócz depresji, ma objawy stresu pourazowego. Jest wielu takich pacjentów. W ciągu roku po rozpoczęciu wspólnej pracy 50–70 proc. może już nie mieć objawów. Niektórzy poradzą sobie nawet sami.

Półka

W obozach uchodźców w północnym Iraku mieszkają nie tylko dawni więźniowie ISIS. Są też Syryjczycy, którzy zbiegli z ojczyzny, i uciekinierzy spod Mosulu, gdzie w latach 2016–17 trwała jedna z najdłuższych bitew z dżihadystami. Niezależnie od ich przeżyć, postępowanie jest podobne: najpierw uporanie się z symptomami, potem nauka postępowania z flash-backami, czyli momentami, gdy pamięć mimowolnie wraca do chwil cierpienia.

Z publikacji Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców, „Wykaz najczęstszych zaburzeń psychicznych dzieci-uchodźców”: „Punkt pierwszy: Zespół stresu pourazowego. Objawy: stałe unikanie bodźców, strach przed samotnością, wycofanie. Ponowne przeżywanie niektórych aspektów traumy (koszmary, obrazy, uczucie strachu i bezradności). Trwałe objawy zwiększonego pobudzenia, brak koncentracji. Punkt drugi: inne

zaburzenia. Objawy: wyraźny niepokój i zmartwienie: drażliwość, zaburzenia snu, objawy somatyczne, w tym bóle głowy i brzucha. Punkt trzeci: depresja. Objawy: obniżony nastrój, utrata zainteresowania światem zewnętrznym, spadek wyników w szkole”.

Katia wskazuje na półkę z książkami: – Jeśli spadną, najpierw podnoszę z nimi każdą po kolei. Sprawdzamy, czy któraś się nie zniszczyła, czy kartki się nie pogięły, czy żadnej nie brakuje. Dopiero na końcu ułożymy je w kolejności, w jakiej stały wcześniej. „Nie ma się co spieszyć” – mówię. Na to zawsze będzie czas.

Sen za rękę

28 października – trzecie spotkanie Katii z Hasanem. Dostaje leki, żeby trochę stępiły agresję. Lekarka widzi, że Hasan już się trochę zmienił. Na początku w ogóle nie wychodził z namiotu. Teraz zaczyna. Nie chciał rozmawiać. Dziś już coś mówi.

Długo trwają rozmowy z matką i bratem Hasana. Katia opowiada o ćwiczeniu z bezpiecznym miejscem. Namawia, aby nauczyli się wyobrażać, że takie mają. Matka obiecuje, że poćwicz z Hasanem. Wieczorem, przed snem. To właściwie jedyny moment, kiedy chłopiec nie ma w rękę telefonu. Śpiąc, trzyma za rękę mamę. „Za jakiś czas – myśli Katia – Hasan opowie jej, co widział w ISIS. Przytnie rysunek. Ważne, żeby go wtedy nie odrzuciła, nie powiedziała: »tak nie można«”.



TRZECI KROK Widziałeś rzeczy, których nikt nie powinien był widzieć. Pomyśl: to był film. Możesz pociąć go na klatki, zmienić kolejność scen. Wyobraź sobie, że masz pilota do telewizora, możesz z tym obrazem zrobić wszystko. Zmniejsz go. Zamień na czarno-biały. Podłośnij. Ścisź. Wyłącz. Wszystko zależy od ciebie.

Brzuch

– Chodzi o to, aby wraz z nimi wejść na stromą górę. Tę, której się boją, i która zasłania im widok na świat; na wszystko co jest, i co będzie – mówi o terapii dzieci-uchodźców Katia. – Dopiero z grzbietu zobaczą, co ich czeka. Jeśli będą gotowi, puszcza moją dłoń i dalej pójdą już sami.

Dobrze działają rozmowy i ćwiczenia, świadomość, że nie jest się samemu. – Dziś miałam pacjentkę, która mdleje, gdy słyży łyżeczkę upadającą na podłogę – opowiada Katia. – To tzw. psychogenne napady rzekomopadaczkowe, reakcja ciała na traumę, która nagle się przypomina. I znów: kluczem jest wyobraźnia. Poprosiłam, żeby pomyślała o wielkim pudle, do którego może schować wszystko, czego nie może znieść, czego się boi, i co ją osłabia. I że klucz do tego pudła mamy tylko ona i ja. A jeśli w nocy znów obudzi ją koszmar, niech sobie wyobrazi, że chowa go tam do środka, na przechowanie.

Katia ścisza głos, gdy mówi o trudnych momentach. – Piętnastolatka, przyszła z bólem brzucha. Oglądam ją, widzę fałdy na skórze, jakby gwałtownie straciła wagę. „Musiała pani sporo schudnąć” – mówię ciepło. Tłumaczka pochmurnieje: „Była porwana przez ISIS, zaszła w ciążę, miała 12 lat”. Gdy wyszła, zamknęłam drzwi, płakałyśmy razem z tłumaczką.

Kiedyś lekarka poprosiła pacjentkę, aby przestała opowiadać o tym, co spotkało ją z rąk dżihadystów: – Ona mogła mówić, tłumaczka mogła słuchać, a dla mnie było tego za dużo. Muszę o wszystkich dbać, ale także o siebie. Do historii tej pani wróciłam na następnej sesji.

Strzelanka

Ostatni raz Katia spotyka się z Hasanem 4 listopada. W namiocie ciemno, chłopca nie ma w środku, odnajduje się u ciotki. Kiedy przychodzi, siada przy babci i zaczyna się tulić. To nietypowe dla nastolatka, ale jego reakcje zatrzymały się w momencie traumy, pięć lat temu. Emocjonalnie Hasan ma ciągle 9 lat.



MATUŚ DUDA X3

POWYŻEJ: Mobilna klinika prowadzona przez lekarzy z Polski, Słowacji i Ukrainy w obozie Szarija.

OBOK: Punkt apteczny w obozie Dawodia.

NA SĄSIEDZIEJ STRONIE: Obóz Dawodia dla uciekinierów, ofiar walk z Państwem Islamskim. Na obrzeżach obozu zbiorniki na wodę.



Katia prosi: „Naucz mnie swojej gry”. Hasan się śmieje: „Nie umiesz?”. Przytacza telefon. Grają razem, zabijając nieprzyjaciół. Pierwsze pytania: Co teraz robi? Gdzie jest? Jak się czuje? Chłopiec strzela – i odpowiada.

Pierwszy raz nie krzyczy.

CZWARTY KROK Masz ciężki oddech, zaciśnięte pięści, napięte mięśnie? Wyobraź sobie, że jesteś kamieniem – tak sztywne są właśnie kamienie. A teraz pomyśl: ten kamień powoli zamienia się w gąbkę. Rozluźnij się, połóż, naciągnij ręce. Wdech, wydech, wdech – wolniej! – wydech... Jesteś lżejszy, zamykasz oczy. Nie możesz kontrolować swoich snów, ale możesz się nauczyć kontroli nad ciałem. Tak też odpoczniesz. Poprzez ciało rozluźnisz umysł.

Tam i z powrotem

Katia chciała pracować w Iraku, odkąd była w wieku Hasana. – Kiedy w 2004 r. oglądałam w telewizji wiadomości z wojny, oświadczyłam babci, że zostanę lekarką i będę pracować właśnie tutaj. Żyłam w małej wsi, półtorej godziny od Lwowa, babcia uśmiechała się tylko i myślała swoje – mówi.

Na studiach chodziła w butach wojskowych, żeby się do nich przyzwyczaić. W domu sypiała na podłodze, bo przecież na misjach nigdy nie wiadomo, gdzie przyjdzie spędzać noc. Po medycynie nie mogła zapłacić za specjalizację. Pracowała jako przewodniczka wycieczek autokarowych po Europie. Założyła bloga, na którym opisywała swoje doświadczenia duchowe. Mówi, że kiedyś zapytała na nim Boga, dlaczego nie może pracować jako lekarz.



⇒ **Katia:** – Szybko wszystko się odmie-
niło. Ktoś zapłacił za moją specjalizację.
Znajomy jezuita zapytał, czy nie znam
lekarza, który chciałby pracować w Kur-
dystanie. Sprawdziłam na mapie – to był
właśnie Irak! Na początku pracowałam
tu jako lekarz ogólny. Wtedy nic o tym
regionie nie wiedziałam, tylko tyle, że
mieszkają tu chrześcijanie i muzułmanie.

Czasem myśli o powrocie na Ukrainę.
Tam też jest wojna, o której opowiada
pacjentom. We Lwowie traumatologów
nie brak, pracuje się tam z weteranami
wojny w Donbasie. – Ale moje wielkie
marzenie, tak wielkie jak kiedyś Irak, to
wybudowanie centrum leczenia traumy
nieдалеko mojej rodzinnej wsi – mówi
Katia. – Albo w Karpatach, nieważne
– gdzieś, gdzie będzie las, spokój i daleko
od ludzi. Będą tam trafiać ludzie z zespo-
łem stresu pourazowego, ci z depresją,
ofiary przemocy seksualnej, wszyscy.
Pomoc będzie kompleksowa: lekarze,
psycholodzy, fizjoterapeuci i ksiądz.

PIĄTY KROK To nasze ostatnie spotkanie.

Myślę, że teraz jesteś już na nie gotowy.
Masz w odwodzie bezpieczne miejsce.

Wiesz, co zrobić, gdy wróci zła pamięć.
Umiesz wyłączyć złe obrazy i rozluźnić
ciało.

Spróbuj podejść do swojej mamy. Zanieś
jej ten rysunek. Wolisz coś nagrać? Na-
graj. Nie spiesz się, nie musisz mówić
wszystkiego. Wystarczy, że zaczniesz.
Masz tylko 14 lat i przed sobą całe życie.
Pomyśl, że wszystko, co najgorsze, już cię
spotkało. Tylko powiedz – spróbuj po-
wiedzieć mamie, co się działo przez te
lata. Twoja mama długo czekała i bardzo
cię kocha.

Potem znów się spotkamy, zrobimy wiel-
kie przyjęcie i zapomnimy o wszystkim.

© P MARCIN ŻYŁA

■ Imię pacjenta Katii Katraszczuk zostało
zmienione. Opis „pięciu kroków” według
stosowanego w Szarii i Dawodii programu
leczenia traumy dziecięcej fundacji Children
and War.

■ Tekst powstał w ramach projektu „Pomoc
medyczna w rejonie Dohuku i Erbilu w Irackim
Kurdystanie dla IDPs, uchodźców i społeczno-
ści lokalnej” współfinansowanego w ramach
polskiej współpracy rozwojowej Ministerstwa
Spraw Zagranicznych RP. Projekt realizowany
przez Klub Inteligencji Katolickiej w Warsza-
wie oraz STEP-IN.

Krzyżowa – znak wciąż żywy

ROBERT ŻUREK

**Dzięki decyzji Mazowieckiego i Kohla, by wspólnie uczestniczyć
w mszy, polsko-niemieckie pojednanie kojarzy nam się
nie z podpisaniem umów, lecz ze wspólną modlitwą.**

WCZESNĄ JESIENIĄ 1989 R. WAŻYŁA
się przyszłość Polski. Od 12 wrze-
śnia urzędował pierwszy niekomuni-
styczny premier Tadeusz Mazowiecki,
choć resortami siłowymi w jego gabine-
cie kierowali komunistyczni ministrowie,
a prezydentem był twórca stanu
wojennego Wojciech Jaruzelski. W ca-
łym bloku wschodnim postępował kry-
zys systemu, ale jedynie na Węgrzech
zaczęła się demokratyzacja; inne kraje
trwały w uśpieniu. Związek Sowiecki
przyglądał się rozwojowi sytuacji w Eu-
ropie Środkowej, a jego wojska wciąż
tam stacjonowały [patrz dodatek „Jesień
Ludów 1989”, „TP” nr 45 – red.].

Dramatyczna była sytuacja gospo-
darcza Polski. Brakowało towarów, ga-
lopowiała inflacja, rosło zadłużenie za-
graniczne – krajowi groziło załamanie.
W tej sytuacji władze w Warszawie
z dużą nadzieją czekały na planowaną
wizytę kanclerza Helmuta Kohla. Miał
on być pierwszym premierem państwa
będącego członkiem NATO i Wspól-
noty Europejskiej, odwiedzającym de-
mokratyzującą się Polskę. Wsparcie
bogatej i wpływowej politycznie Repu-
bliki Federalnej mogło mieć dla Rzeczy-
pospolitej kluczowe znaczenie.

Wizyta na beczcze prochu

Kohl zdawał sobie sprawę ze znacze-
nia polskich przemian. „Rozpoczął pan
nową epokę nie tylko w polskiej, ale
i europejskiej historii powojennej” – po-
wiedział do Mazowieckiego w pierw-
szym dniu wizyty, 9 listopada. Rozu-
miał, że rozwój sytuacji w Polsce może
mieć olbrzymi wpływ na realizację nie-
mieckich marzeń o zjednoczeniu kraju.
„Bez wolności Polski nie ma niemiec-
kiej wolności” – cytował hasło, jakie po

upadku powstania listopadowego pod-
nosili niemieccy polonofile.

Mazowiecki wiedział z kolei, że Pol-
ska potrzebuje „przełomu w stosunkach
z Republiką Federalną Niemiec” (*exposé*
z 12 września), bo sojusz z Bonn był klu-
czem do politycznego i gospodarczego
przemieszczenia Polski ze wschodu na
zachód Europy. Ale zdawał sobie też
sprawę, jak silne antyniemieckie re-
sentymenty drzemą w polskim społe-
czeństwie. Głębokie rany zadane przez
II wojnę światową i okupację, nieure-
gulowana kwestia granicy i podsycana
przez propagandę PRL obawa przed nie-
mieckim rewanżem... Jeden fałszywy
gest mógł uruchomić ten potencjał nie-
chęci i lęku, skierować go przeciw rzą-
dowi.

Planując wizytę Kohla trzeba było
uważać, by nieprzemyślane gesty nie
zniweczyły szans. Dlatego Mazowiecki
odrzucał forsowany przez stronę nie-
miecką pomysł spotkania na Górze
Świętej Anny, zbyt kojarzącej się
z polsko-niemieckim konfliktem. Nie
jest jasne, kto wpadł na pomysł, że al-
ternatywą może być Krzyżowa – wiadomo,
że wszyscy zainteresowani szybko się na
nią zgodzili.

Nowe otwarcie wśród ruin

Ta niewielka miejscowość była w latach
wojny miejscem spotkań Kręgu z Krzy-
żowej: tajnej organizacji antyhitlerow-
skiej, zrzeszającej przedstawicieli róż-
nych środowisk, światopoglądów i opcji
politycznych. Na tle innych niemiec-
kich organizacji konspiracyjnych Krąg
wyróżniał się poglądami demokratycz-
nymi, proeuropejskimi i przyjaznymi
Polsce. Ponadto jego członkowie byli
zdania, że odnowa Niemiec i Europy



ANDRZEJ ŚLUSARZYK / FUNDACJA „KRZYŻOWA” DLA POROZUMIENIA EUROPEJSKIEGO

Tadeusz Mazowiecki, biskup Alfons Nossol i Helmut Kohl w Krzyżowej, 12 listopada 1989 r.

po kataklizmie totalitaryzmu i wojny może się powieść jedynie na fundamencie chrześcijańskim.

Dla Mazowieckiego Krzyżowa była symbolem takich Niemiec, jakich czyłby sobie jako sąsiada i partnera. Opcja na rzecz tej miejscowości była zatem także przesłaniem premiera do przywódców Niemiec Zachodnich, którzy od 1945 r. różnie radzili sobie z przewyższeniem nazistowskiej historii, a kwestię granicy polsko-niemieckiej wciąż uważali za prawnie otwartą. W listopadzie 1989 r. kompleks pałacowy w Krzyżowej był zrujnowany, co do pewnego stopnia oddawało ówczesny stan stosunków polsko-niemieckich. One też wymagały odbudowy. W trakcie wizyty Kohla obaj premierzy wyznaczyli „mapę drogową” tego procesu.

Jednak zanim zlecieli prace nad przygotowaniem umów i traktatów, wspólnie wzięli udział we mszy świętej. Wynikało to z pewnością z potrzeby serca obu polityków, ale też z ich przekonania, że tak bardzo zdewastowanych relacji, jak polsko-niemieckie, nie da się naprawić za pomocą zwyczajnych narzędzi polityki międzynarodowej. Przewyższenie przeszłości i budowanie wspólnej przyszłości po tak gigantycznej erupcji zła, jaka obciążała polsko-niemiecką historię, wymagało oparcia się na fundamencie wartości. Nadania działaniom na rzecz ponownego

zblżenia charakteru nie tylko politycznego, lecz także etycznego.

Pojednanie warte jest mszy

Msza Pojednania – jak ją potem nazwano – była też konsekwencją tego, że proces pojednania polsko-niemieckiego od lat 60. XX w. był realizowany w dużej mierze pod dachem Kościołów ewangelickiego i katolickiego.

Ostatni ważny akt miał tu miejsce zaledwie dwa miesiące wcześniej, 1 września 1989 r., kiedy to czołowi przedstawiciele polskich i zachodnioniemieckich katolików świeckich podpisali wspólne oświadczenie „O wolność, sprawiedliwość i pokój w Europie”. Dokument przedstawiał jednomyślną ocenę przeszłości i propozycję przewyższenia jej tragicznych skutków. Przede wszystkim jednak wzywał Polaków i Niemców do budowania wspólnej przyszłości, której kluczowym elementem byłoby pogłębienie integracji europejskiej z udziałem zjednoczonych Niemiec i wolnej Polski. Ponadto w oświadczeniu sformułowano szereg propozycji zacieśnienia współpracy, co wyprzedziło zapisy w późniejszych rządowych umowach dwustronnych.

Tym samym sygnatariusze zdefiniowali cele i zaproponowali instrumenty polsko-niemieckiej współpracy, zanim nowy rząd w Polsce i rząd w Bonn zaczęły się tym tematem zajmować. Rację miał

Mazowiecki, gdy mówił w *exposé*, że „społeczeństwa obu krajów poszły już znacznie dalej niż rządy”. Awangardę tych społeczeństw stanowili zaangażowani chrześcijanie, Msza Pojednania zaś była i kontynuacją, i zwieńczeniem ich wysiłków. A zarazem znakiem, że szefowie rządów włączają się w proces pojednania i przejmują za niego odpowiedzialność.

Siła obywateli

Częścią tej awangardy był zresztą sam Mazowiecki – jeden z inicjatorów i uczestników oddolnych działań polsko-niemieckich. Jeśli jeszcze przed 1989 r. wzajemne postrzeganie się Polaków i Niemców znacząco się poprawiło, stało się tak w dużej mierze dzięki ludziom takim jak on: dziennikarzom, nauczycielom, artystom, duszpasterzom, którzy mozolnie, latami, budowali sieci kontaktów, poznawali kraj sąsiada i przełamywali stereotypy.

Robili to często wbrew woli czynników politycznych PRL i NRD, a w pierwszym okresie również RFN. Ta wiodąca rola obywateli odróżniała proces pojednania polsko-niemieckiego od niemiecko-francuskiego – ten ostatni był bowiem współrealizowany zgodnie przez elity polityczne, intelektualne i religijne oraz społeczeństwo.

Tak, pojednanie polsko-niemieckie jest przykładem skuteczności działań społeczeństwa obywatelskiego. Okazało się, że nawet w ekstremalnie niekorzystnych warunkach – braku demokracji i utrudnionych kontaktów transgranicznych – odważni obywatele potrafili stworzyć przestrzeń do działania, inspirować swoje społeczeństwa i elity. Nieprzypadkowo współpracownicy kanclerza Willy’ego Brandta podkreślali z perspektywy czasu, że wprowadzona przez niego nowa polityka wschodnia, która przyniosła przełom w relacjach między RFN a PRL, nie byłaby możliwa bez poprzedzających ją inicjatyw oddolnych.

Msza w Krzyżowej była poniekąd prestrzeżeniem spotkania różnych wymiarów pojednania – chrześcijańskiego, obywatelskiego i politycznego – ich koegzystencji i kooperacji. Dopiero ten mariaż umożliwił przełom, jaki miał miejsce w następnych latach.

I pojednanie, i wolność

Kohl rozpoczął wizytę w Polsce 9 listopada, ale już następnego dnia musiał ją →

→ przerwać, bo w NRD – gdzie trwała Pokojowa Rewolucja – niespodziewanie padł mur berliński. Kanclerz dowiedział się o tym w Polsce, dokąd przyjechał, by wesprzeć wolnościowe aspiracje Polaków. Wrócił więc do ojczyzny, ale tylko na jeden dzień – po czym 11 listopada, wbrew obawom polskich gospodarzy, znów był w Warszawie. Pokazał tym, jaką wagę przykładają do relacji z Polską. A nazajutrz obaj szefowie rządów byli w Krzyżowej.

Koincydencja upadku muru i Mszy Pojednania była przypadkiem, ale symbolicznym. O tym, że pojednanie i wolność są ze sobą powiązane, wiedzieli już polscy biskupi w 1965 r., gdy wysłali do swych niemieckich braci w biskupstwie słynne Orędzie. Rozumieli, że „trzymając Polaków w strachu przed Niemcami”, władze PRL wiążą ich z Moskwą i komunistami (jak mówił abp Bolesław Kominek, faktyczny autor tekstu Orędzia). Pojednani zaś z Niemcami, a zatem pozbawieni lęku przed nimi, Polacy mogą z większą determinacją przeciwstawić się systemowi i walczyć o wolność.

Mieszane odczucia

Kohl już bezpośrednio po mszy w Krzyżowej uznał ją za wydarzenie historyczne, jednak pozostał w tej ocenie raczej osamotniony. Główny celebans, opolski biskup Alfons Nossol, określał atmosferę nabożeństwa jako „łodowatą”.

Wśród jej uczestników najbardziej widoczni byli przedstawiciele mniejszości niemieckiej, którzy przyjechali do Krzyżowej nie po to, by się z kimkolwiek jednać, ale żeby upomnieć się o swoje prawa.

Lewicowe i liberalne media zachodniemieckie ostro skrytykowały Kohla za rzekomą obłudę: z jednej strony orędownik pojednania, z drugiej rzecznik interesów organizacji reprezentujących niemieckich wysiedleńców. Natomiast drugi główny aktor, Mazowiecki, *ex post* konsekwentnie interpretował znak pokoju z Krzyżowej w kategoriach religijnych i humanistycznych, jako doświadczenie międzyludzkiego braterstwa, a nie w kategoriach politycznych.

Tak więc Msza Pojednania wzbudziła zrazu mieszane uczucia i raczej nie postrzegano jej jako kamienia milowego. W następnych miesiącach kanclerz Kohl długo unikał jednoznacznej publicznej deklaracji o uznaniu granicy na Odrze przez jednoczące się Niemcy, co dodatkowo osłabiło wiarygodność gestu pojednania i siłę przekazu mszy w Krzyżowej. Narzuca się tu analogia z wymianą listów biskupów polskich i niemieckich z 1965 r.: również w niej nie dostrzeżono od razu jej epokowego znaczenia, również ona nie przyniosła od razu przełomu i zawiodła tych, którzy – jak bp Kominek – pokładali w niej nadzieje.

Dziedzictwo tamtej mszy

Dziś, z perspektywy czasu, możemy stwierdzić, że pojednanie polsko-niemieckie było jednym z kluczowych procesów w najnowszej historii Europy. Bez pojednania niemiecko-francuskiego nie powstałaby Unia Europejska, natomiast bez pojednania polsko-niemieckiego nie objęłaby ona swoim zasięgiem wschodniej części kontynentu.

Wizyta Kohla w Polsce okazała się momentem przełomowym. Nadała nową jakość relacjom polsko-niemieckim i położyła podwaliny pod traktaty z lat 1990 i 1991, które do dziś wyznaczają ramy dwustronnych relacji. Msza Pojednania była tej wizyty szczególnym elementem, poruszającym emocje i wyobraźnię. „Tygodnik Powszechny” pisał po latach, że zdjęcie Mazowieckiego i Kohla z Krzyżowej oddaje „symboliczny koniec epoki, zapoczątkowanej innym ujęciem: gdy niemieccy żołnierze łamią polski szlaban graniczny we wrześniu 1939 r.”.

Dzięki decyzji Mazowieckiego i Kohla, by w Krzyżowej wspólnie uczestniczyć w mszy, nowe otwarcie między Polską a Niemcami kojarzy nam się nie z podpisaniem umów i ich ratyfikacją przez parlamenty, lecz ze wspólną modlitwą i znakiem pokoju. I opisujemy je nie w kategoriach normalizacji czy porozumienia, lecz pojednania. Wbrew opiniom sceptyków i krytyków nic lepszego nie mogło się w tym obszarze przydarzyć. Kształtowanie wzajemnych relacji w oparciu o kategorię pojednania zmusza bowiem obie strony do większej odpowiedzialności za własne czyny i wykraczania poza doraźny interes polityczny. Zwłaszcza dla Polski, słabszego partnera w tym tandemie, jest to ważne.

Odczytać na nowo

Warto odwoływać się dziś do dziedzictwa Mszy Pojednania. Warto przypominać, że nieprzypadkowo odbyła się w Krzyżowej. Że wybór tej formy spotkania i tego właśnie miejsca był manifestem, iż Niemcy chcą opartego na wartościach partnerstwa z wolną, demokratyczną Polską, a Polska pragnie Niemiec wiernych dziedzictwu Kręgu z Krzyżowej – proeuropejskich, przyjaznych sąsiadom, odrzucających nacjonalizm i hegemonię. Że wzajemne relacje muszą być tworzone wspólnie przez elity polityczne i społeczeństwo obywatelskie, na fundamencie wartości. A także, że pojednanie i wolność wzajemnie się warunkują.

Ten manifest jest wciąż aktualny. A właściwie – coraz aktualniejszy.

© ROBERT ŻUREK

POŻEGNANIE

Panie Premierze, Jarku

przyjmij najszczerze wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci ukochanej

Mamy

łączyć się z Tobą w bólu po tej niewyobrażalnej stracie

JADWIGA EMILEWICZ
MINISTER PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
WRAZ ZE WSPÓŁPRACOWNIKAMI

Autor jest historykiem i teologiem, dyrektorem zarządzającym Fundacji „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego. Wydał szereg książek o relacjach polsko-niemieckich w drugiej połowie XX w.

Bój o świątynie

TOMASZ AUGUSTYNIAK

Od końca wojny domowej na Sri Lance trwa walka na pomniki i pamięć. Zaostrzający się przed wyborami spór o miejsca kultu potwierdza, że podziały wciąż są głębokie.

WIELEBNY MEDHALANKARE SPRAWIAŁ wrażenie umiarkowanego, gdy odwiedziłem go w buddyjskiej świątyni Gurukanda Rajamaha Viharaya, której był przełożonym. Wieś Nayaru, w której stoi święty przybytek, leży w dystrykcie Mulatiwu na północy Sri Lanki. To tutaj, w regionie odległym od turystycznych plaż południa, rozgrywała się trwająca 26 lat wojna domowa między Syngalezami a Tamilami – czyli między rządowym wojskiem a separatystycznymi Tamilskimi Tygrysami. Niespełna 30 km stąd, nad laguną Mullivaikal, padły jej ostatnie strzały. Wojna niby skończyła się 10 lat temu, ale jakoś do tej pory nie może stąd kamieniem odejść.

Po zakończeniu walk buddyjscy mnisi – a oprócz Medhalankare w całym dystrykcie mieszkał jeszcze tylko jeden – nie mieli na tych terenach, wyludnionych i zdominowanych przez hinduistów, zbyt wiele pracy. Odprawiali rytuały głównie w jednostkach wojskowych i podejmowali nielicznych pielgrzymów z południa.

Mój gospodarz urodził się w Kolombo i zanim w wieku 45 lat przywdział mnisze szaty, pracował jako nauczyciel. Przełożonym świątyni i jednocześnie jej jedynym stałym mieszkańcem został rok po jej ukończeniu, w 2011 r. Wybrał ją, jak powiedział, ze względu na spokój i możliwość niczym niezakłóconej medytacji. Ale z gościem był gotów porozmawiać o historii tej ziemi.

Mnich założył okulary w drucianych oprawkach i rzucił okiem na książki leżące na stole na werandzie. W okresie



Statua Buddy w wiosce Nayaru to dla Tamilów symbol kolonizacji. Kwiecień 2019 r.

królestwa Anuradhapury (377 r. p.n.e. – 1017 r. n.e.) miała stać tu pansala – buddyjska świątynia. To właśnie tutaj przywieziono z Indii najcenniejszą relikwię Sri Lanki: ząb Buddy. Kilkaset lat temu świątynia została opuszczona, a budynki zniszczone. Później długo nikt się nią nie interesował i dopiero po niedawnej wojnie, pod ochroną wojskowych, mnisi odbudowali pansalę. Przy okazji sprowadzili z południa nielicznych buddyjskich rybaków. Odtąd duchowny żył tutaj w symbiozie z żołnierzami z jednostki po drugiej stronie drogi: oni zapewniali mu ochronę i jedzenie z kantyny, on odwdzięczał się pokarmem duchowym.

Żeby zobaczyć kawałek historii, który w okolicy wykopali żołnierze, wystarczył krótki spacer za bramę koszar. Artefakty znalezione podczas budowy drogi, fragmenty dachówek i kamieni ze szczelinami, leżały w baraku-muzeum. Laikowi trudno ocenić, czy były buddyjskie: żadnych inskrypcji ani ornamentów. Ale na Sri Lance tam, gdzie są wątpliwości, chętnie wkracza wojsko.

Buddyjska kolonizacja

Miejscowi mówią, że przed wojną w tym samym miejscu, przy drodze łączącej Prowincję Północną ze Wschodnią, stała tamilska hinduistyczna kaplica. Podróżni zatrzymywali się tam, żeby się pomodlić, i ruszali dalej. Po pokonaniu Tamilskich Tygrysów – okrutnych rebeliantów, którzy na terenie północnej i wschodniej Sri Lanki chcieli utworzyć własne państwo – rozpoczęła się gra o to, do kogo będą należały te tereny i ich historia. Powstała tu

jednostka wojskowa, a administrujący okolicą oficer od razu wydał zgodę na budowę większej świątyni, tyle że buddyjskiej.

Organizacje pozarządowe w samym tylko dystrykcie Mulatiwu, jednym z pięciu w prowincji, naliczyły ok. 70 jednostek wojskowych. Według ośrodka badawczego Adayaalam stacjonuje tu co najmniej 60 tys. żołnierzy, blisko jedna czwarta lankijskiej armii (nie licząc lotników i marynarzy). Oznacza to, że na dwóch cywilów przypada jeden żołnierz.

Wkraczające rządowe wojsko budowało na przejętych terenach stupy, stawiało posągi Buddy, pomniki zwycięstwa i świątynie. Te ostatnie w niektórych przypadkach wzniesiono na spornych terytoriach, choć ich budowniczy zawsze twierdzili, że jedynie rekonstruują starożytne miejsca buddyjskiego kultu.

Tamilscy politycy mówią, że ich ziemie były systematycznie kolonizowane przez Syngalezów – etniczną, buddyjską większość – już od lat 70. XX w. Na polecenie ówczesnego prezydenta sprowadzono tam osadników, a niektóre nazwy miejscowości zmieniono na syngaleskie. Była to część szykan, które doprowadziły do wybuchu zbrojnego powstania. Ale dziś nikt tu już nie chce walczyć.

Pomniki zwycięstwa

Chemmalai, Vadduvakal, Mullivaikkal, Valayanmadam: *staccato* nazw tamilskich, wymawianych jednym tchem. W każdej mijanej miejscinie żołnierze, wszędzie wojsko, żeby Tamilom przypadkiem znowu nie zachciało się wojować. ➔

⇒ Szyby autobusu drżą na wąskiej nierównej drodze. Jej nawierzchnia wygląda, jakby ktoś w pośpiechu wylał warstwę asfaltu prosto na rdzawy, wysuszony słońcem piach. Pojazd przemierza płaską i brzydką okolicę z sadami palm kokosowych i chaszczami bananowych krzewów. Mijamy odnowione już hinduistyczne świątynie, posterunki i koszary ogrodzone płotami z drutem kolczastym. Na niektórych pustych działkach otoczonych murami – ruiny. Na innych kopce żwiru i piasku – zapowiedź rychłej odbudowy.

Miasto Kilinochchi niemal przestało istnieć. Dawna stolica Tamilskich Tygrysów została zmieciona z powierzchni ziemi na przełomie roku 2008 i 2009, podczas rządowej ofensywy. Relacje mówiły, że gdy się zakończyła, mało który budynek posiadał dach, a jeszcze kilka lat po wojnie Kilinochchi było zredukowane do jednej ulicy.

Nie ma dworca z prawdziwego zdarzenia, a główny rynek składa się z piaszczystego placu oraz kilkunastu blaszanych i drewnianych bud. Pobliskie sklepy mają najwyżej jedno piętro, a jedyną dobrze utrzymaną budowlą jest pomnik zwycięstwa: pilnowany przez dwóch ospałych żandarmów monument przedstawiający pocisk tkwiący w popękany murze. Język, w którym ułożono napis na pamiątkowej tablicy, jest butny i triumfalistyczny. Inskrypcja mówi o wspaniałej wiktorii niezwyciężonej lankijskiej armii, lankijskim prezydencie, który urodził się ku wdzięczności narodu, i szlachetnym pokoju, do którego doprowadził.

Za czasów Tygrysów to miejsce nazywało się Chandran Park i tak do dziś mówią o nim miejscowi, ale na spacerze przestali chodzić. Podobne monumenty wzniesiono w kilku innych miejscach, gdzie toczyły się ciężkie walki. Na przedmieściach Kilinochchi stoi buddyjska stupa. Teren, dobrze utrzymany i obwieszony flagami, zamiatają rekruci w dresach.

W Kilinochchi nie było komu protestować przeciw zawłaszczaniu przez armię przestrzeni publicznej. Inaczej było w miejscowości Kokkilai, gdzie buddyjski przybytek powstał na prywatnej ziemi: właściciele do dziś bezskutecznie walczą o jej zwrot. Przeciw budowie innej świątyni protestowano w Manikkamadu w powiecie Ampara. Na teren kolejnej, Muhudu Maha Viharaya, wkroczyli okoliczni mieszkańcy. Gdy zbudowali

Jeśli na terenach należących do hinduistów wyrasta przypadkiem figowiec,

symbol buddyzmu,
od razu się go wyrzywa.
Miejscowi boją się, że inaczej
Syngalezi przyjdą, postawią
swoją posażkę i będą się
domagali tej ziemi jak swojej.



WIELEBNY MEDHALANKARE: *To nasz kraj, choć nie byliśmy tu od zawsze. Każdy, kto się tu urodził, ma prawo nazywać go domem.*

szałas i zaczęli sadzić palmy kokosowe, przełożony świątyni nazwał ich zorganizowanym gangiem i oskarżył o niszczenie zabytków. Mnisi uważają, że teren należał do starożytnej świątyni, która miała tam powstać już 2 tys. lat temu.

Ruch oporu

Łśniącą nowością stupa we wsi Mathagal, 20 km na północ od Dżafny, stolicy tamilskiej północy, miała upamiętnić miejsce, gdzie według legendy 2200 lat temu wyładowała łódź z mniszka Sanghamittą.

Sanghamitta przywiozła z Indii sadzonkę świętego Drzewa Bodhi, które od tamtego czasu rośnie w Anuradhapurze – ważnym celu buddyjskich pielgrzymek. Niewielka świątynia jest położona nad brzegiem oceanu, na terenie porośniętym dającymi cień drzewami, odgrodzonym od plaży niskim kamiennym wałem. Na plaży – zasyki. Pobliskim hotelem dla pielgrzymów i kąpieliskiem zarządza lankijska marynarka wojenna. Marynarze pilnujący zabudowań są jedynymi Syngalezami w okolicy. Na to miejsce każda ze społeczności ma własną nazwę: Tamilowie nazywają ją Sambil Thurai, Syngalezi – Jambakola Patunam.

Dwieście metrów dalej stoi starsza i częściej odwiedzana świątynia hinduistyczna poświęcona bogu Śiwie. Gdy postawiono tu tę buddyjską, oburzeni Tamilowie poczuli, że to sposób na udowodnienie buddyjskości tych terenów, na co stanowczo się nie zgodzili. Miejscowi przedsiębiorcy zebrali więc datki i w symbolicznym odwecie postawili okazałą posąg Śiwy.

– Historia zaczęła być wykorzystywana jako narzędzie w polityce niedługo po uzyskaniu przez Cejlon niepodległości i bardzo szybko zaczęła nas dzielić – mówi dr Packiyathan Ahilan, specjalista od architektury i sztuki drowidyjskiej na uniwersytecie w Dżafnie. – Dziś żadna ze stron nie chce przyznać, że dawniej żyli tu tamilscy buddyści i syngalejscy wyznawcy hinduizmu. Potwierdzić, że na ziemiach Tamilów były buddyjskie budowle, to jak oddać je najeźdźcom bez walki – dodaje.

Tutejsze elity z obawą patrzą, jak na ziemi, którą uważają za własną, pojawiają się kolejne symbole władzy z Kolombo: – Od początku istniał tu przeciwko nim swoisty ruch oporu. Pamiętam mały posąg Buddy, który Syngalezi ustawili na przeciw największego w Dżafnie kovilu [świątyni hinduistycznej – red.] jeszcze podczas wojny. Którejś nocy posążek tajemniczo zniknął, sprawców nigdy nie wykryto – mówi Ahilan.

Jego zdaniem mieszkańcy boją się konsekwencji umieszczenia tu takich symboli: – To jakby krok po kroku nas stąd wypychali – wyjaśnia. Jeśli na terenach należących do hinduistów wyrasta przypadkiem figowiec, symbol buddyzmu, od razu się go wyrzywa. Miejscowi boją się, że inaczej Syngalezi przyjdą, postawią swoją posażkę i będą się domagali tej ziemi jak swojej. To także dlatego miejsca kultu starannie się tu grodzi.

Śmierć duchownego

Spór wokół świątyni w Nayarur rozgorzał na nowo w styczniu tego roku. Syngalezi bez zezwoleń zaczęli tam budowę posągu Buddy, co zaskarżyli tamilscy politycy, w odwecie wmurowując kamień węgielny pod budowę własnej świątyni. Na to z kolei skargę do sądu złożył wielebny Medhalankare, który planował rozbudować swoje budynki tak, by mogło w nim zamieszkać kilkunastu duchownych.

Żadna z tych spraw nie doczekała się jeszcze rozstrzygnięcia, gdy pod koniec września ogłoszono niespodziewaną wiadomość o śmierci mnicha – Medhalankare

zmarł śmiercią naturalną – i o tym, że jego pogrzebem zajmą się... radykalowie z nacjonalistycznej organizacji Bodu Bala Sena, znanej też jako Armia Buddy.

Jej działaczom, którzy przyjechali autokarami aż z Kolombo, towarzyszył szef organizacji, Galagoda Aththe Gnanasara. Choć miejscowy sąd zarządził, że kremacja zmarłego ma się odbyć na plaży nad oceanem, rozpolitykowani mnisi dokonali pośmiertnych obrzędów na terenie, który Tamilowie uznają za własny.

Wywołało to kolejną falę protestów, wpisującą się w trwającą kampanię przed wyborami prezydenckimi. Gnanasara, znany z nawoływania do przemocy wobec mniejszości religijnych, otwarcie wspiera w nich kandydata syngaleskich nacjonalistów, dawnego sekretarza obrony Gotabayę Rajapakse. Powtarza też, że mnisi w szafanowych szatach powinni stać na Sri Lance ponad prawem i zapowiada dalszą „obronę” ponad 300 buddyjskich miejsc kultu na terenach zdominowanych przez wyznawców innych religii, stanowiących jedną trzecią mieszkańców kraju.

Zdaniem dr. Ahilana przeciętny syngaleski pielgrzym, który zwiedza północ kraju, skupiając się na wojennych pomnikach, świątyniach i atrakcjach archeologicznych, będzie go w tym wspierał: – Budowę nowych świątyń Syngalezi mają za oczywistość: po pierwsze są konieczne dla zaspokojenia duchowych potrzeb żołnierzy, po drugie uważają, że mają do tego prawo we własnym kraju – mówi.

Duchy z przeszłości

Według starożytnej syngaleskiej kroniki Mahawamsa, książę Vijaya, banita z północnych Indii, najechał wyspę 2700 lat temu i założył tu pierwsze syngaleskie państwo. Później północna część Sri Lanki przez setki lat pozostawała pod tamilskim wpływem.

– To nasz kraj, choć nie byliśmy tu od zawsze – przyznał wielebny Medhalankare, zanim odjechał. – Każdy, kto się tu urodził, ma prawo nazywać nasz kraj swoim domem, ta ziemia zasługuje wreszcie na odrobinę spokoju. Wiem, co mówię, bo mieszkam w świątyni sam i czasem boję się duchów grasujących tu po nocach.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK



MICHAEL S. WILLIAMSON / THE WASHINGTON POST / GETTY

Poczekalnia pogotowia w Regional Medical Center w Poplar Bluff w Missouri, lipiec 2019 r.

Płać i nie choruj

MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII

Boją się zrobić badanie, a ostrego dyżuru unikają jak ognia. W Stanach Zjednoczonych nawet pacjenci posiadający dobre ubezpieczenie medyczne mogą popaść w gigantyczne długi.

KIMBERLY JEST Z ZAWODU PIELĘGNIARKĄ, może więc wytłumaczyć wszystko fachowo. Nawet jeśli, jak w tym przypadku, sprawa dotyczy jej samej.

– Wyobraź sobie, że twój organizm zaczyna szwankować. Nie pocisz się, nie możesz przełknąć jedzenia, a twoje żreńce nie zwięzają się przy ostrym świetle – opowiada. – Wiesz, że kiedyś bardzo kochałam lato? Teraz staram się nie wychodzić z domu, gdy temperatura przekracza 65 stopni Fahrenheita [18 stopni Celsjusza – red.]. Unikam upałów, bo dostaję na całym ciele wysypki. Serce bije wtedy jak szalone, a ciśnienie niebezpiecznie sztybuje. Potrzebuję potem kilku godzin, by wszystko wróciło do normy. Straciłam kontrolę nad swoim życiem.

Diagnoza

Jako pacjentka Kimberly po raz pierwszy trafiła do szpitala w styczniu 2014 r. Ma kołatanie serca, wysokie nadciśnienie i objawy przypominające grype.

Gdy lekarzom nie udaje się postawić diagnozy, Kimberly dostaje skierowanie na serię badań. Dopiero po kilku miesiącach dowiaduje się, że cierpi na dysautonomię. Choć jest pielęgniarką z dziewięcioletnim stażem, to właśnie wtedy po raz pierwszy słyszy o tej rzadkiej chorobie, która wywołana jest przez wadliwie funkcjonujący układ nerwowy.

W organizmie zdrowego człowieka to właśnie on steruje pracą narządów. U chorych na dysautonomię pojawiają się problemy z układem krążenia, oddychania i trawienia. Pacjenci mogą mieć zaburzenia widzenia lub trudności z utrzymaniem pionowej pozycji ciała. Objawy kumulują się z biegiem lat.

Tak jak u Kimberly, która po sześciu latach chorowania zaczęła mieć problemy z przełykaniem – dziś może jeść tylko przeciera dla dzieci. W ciągu doby przyjmuje maksymalnie 350 kalorii. Gdy rozmawiamy przez telefon, mówi, że przez ostatni miesiąc schudła 18 kilogramów. Jej organizm jest wycieńczony. →

⇒ Jeśli nie zdecyduje się na ryzykowną operację przełyku, do końca życia będzie skazana na żywienie dożylnie.

Przy życiu trzyma ją tylko dobra polisa zdrowotna, którą Dan, jej mąż – z zawodu mechanik maszyn rolniczych – wykupił kiedyś za pośrednictwem swojego pracodawcy.

Rachunki

– Nawet nie chcę myśleć, co byśmy zrobili, gdyby Dan stracił pracę – mówi Kimberly, która pochodzi z Mineral Point, 2,5-tysięcznego miasteczka w stanie Wisconsin.

– Moja polisa kosztuje 1200 dolarów miesięcznie – wylicza. – Choć idzie na nią duża część naszego domowego budżetu, i tak płacimy bardziej korzystne stawki niż przy wykupie ubezpieczenia na własną rękę. Bo jaka firma ubezpieczeniowa chciałaby podpisać ze mną umowę, skoro nie pracuję, a koszt mojego leczenia wynosi kilkaset tysięcy dolarów rocznie? – mówi 35-latką, która dla zwiększenia odporności co miesiąc musi dostawać dawkę immunoglobuliny.

Tymczasem jedna dawka tego preparatu przeciwciał, uzyskiwanego z osocza wielu dawców, kosztuje 15 tys. dolarów. Do tego trzeba doliczyć pobyt w szpitalu, konsultację z lekarzem i usługi personelu podającego lek. Kimberly co miesiąc kończy ze sterłą rachunków, które opłaca potem jej ubezpieczyciel. Jest tylko jeden warunek: oprócz comiesięcznej stawki za polisę, co roku musi dopłacić do kosztów leczenia 4 tys. dolarów (tzw. *out-of-pocket maximum*).

Skąd ma na to pieniądze, skoro i tak z trudem utrzymuje się z mężem z jednej pensji? Kimberly tłumaczy, że pomaga jej firma farmaceutyczna: ta, która produkuje podawany jej co miesiąc preparat na odporność. – Lek jest dość nowy na rynku i firmie zależy na promocji – mówi kobieta. – Mamy niesamowite szczęście, bo gdyby nie to wsparcie, na pewno utonęlibyśmy w długach.

I znowu wylicza: – Po odjęciu opłat za polisę z pensji męża zostaje nam 2 tys. dolarów miesięcznie. Starcza na jedzenie, rachunki i inne leki, które kosztują co najmniej 300 dolarów. Wydajemy też dużo na benzynę, bo kilka razy w tygodniu muszę jeździć do lekarza. Jedna klinika oddalona jest o godzinę drogi, a druga o 2,5 godziny.

Jeśli Dan jest akurat w pracy, Kimberly do lekarza zawożą znajomi. Niektórzy dołączają się do benzyny, dzięki temu małżeństwo może zaoszczędzić kilkadziesiąt dolarów.

Kimberly: – Jest mi wstyd, że wciąż muszę prosić innych o pomoc. Staram się nie jeździć do szpitala, w którym kiedyś pracowałam. Nie chcę litości i zakłopotanych spojrzeń. Ale nie powinnam narzekać. Jako pielęgniarka widziałam chorych na raka, którzy umierali, bo nie było ich stać na dalsze leczenie. Cykl chemioterapii kosztuje średnio 15 tys. dolarów. To tyle, co moja jedna dawka zastrzyku na odporność.

– Mówiłam już, że moje ubezpieczenie pokrywa też pobyt w hospicjum? – dodaje. – Prześledziłam dokładnie warunki polisy, bo w razie śmierci nie chcę zostawić męża z długami. Gdybym to przeczytała, mój pobyt w hospicjum kosztowałby nawet 10 tys. dolarów miesięcznie.

Polisa

W USA nie ma powszechnego, państwowego ubezpieczenia zdrowotnego – jak np. w Polsce. Aby pokryć koszty leczenia, większość Amerykanów wykupuje prywatną polisę zdrowotną za pośrednictwem swojego pracodawcy.

Na pomoc państwa mogą liczyć tylko mniej zamożni. Dzięki reformie opieki zdrowotnej „Obamacare” (nazwanej tak, gdyż wprowadzono ją z inicjatywy poprzedniego prezydenta), z dopłaty do ubezpieczenia mogą korzystać osoby, których roczny dochód nie przekracza 48,5 tys. dolarów (w przypadku 4-osobowej rodziny górny pułap to 100,4 tys. rocznie). Najbiedniejsi są objęci programem bezpłatnej opieki zdrowotnej Medicaid. Kryteria dochodowe różnią się w zależności od stanów: np. w Kalifornii do programu zakwalifikują się osoby, których roczna pensja to mniej niż 17,2 tys. dolarów (w przypadku 4-osobowej rodziny to 35,5 tys.).

W najtrudniejszej sytuacji są ci, którzy nie kwalifikują się do programów federalnych, a jednocześnie nie mają możliwości wykupienia polisy w miejscu pracy. Z danych U.S. Census Bureau z 2018 r. wynika, że aż 27,5 mln Amerykanów nie miało wtedy żadnego ubezpieczenia.

Ryzykują wiele, bo koszty leczenia bywają w USA horrendalne. Health Care Cost Institute podaje, że wizyta na ostrym dyżurze kosztuje średnio 1,9 tys.

dolarów, wezwanie karetki – ponad tysiąc dolarów, a dzień pobytu w szpitalu ok. 4 tys. dolarów. Dla Amerykanów bez polisy wyzwaniem może być nawet wykonanie podstawowego badania krwi (1,5 tys. dolarów) czy zrobienie rentgena i założenie gipsu w przypadku złamania ręki (2,5 tys. dolarów).

W kraju, gdzie na leczenie wydaje się średnio 3,5 biliona dolarów rocznie, nie dziwi fakt, że długi medyczne są jedną z najczęstszych przyczyn upadłości obywateli. Jak wynika z danych opublikowanych przez „American Public Journal of Health”, co roku z tego powodu bankrutuje ponad pół miliona rodzin. Dla niektórych deską ratunku pozostają zbiórki na stronie internetowej GoFundMe.com. Na koszty leczenia zbieranych jest w ten sposób ok. 650 mln dolarów rocznie.

Ostry dyżur

Misti Price, 40-latką z Carlsbadu w stanie Nowy Meksyk, przez długi medyczne o mały włos nie straciła hipoteki.

Wszystko zaczęło się w 2012 r., gdy lokalny szpital Carlsbad Medical Center pozwał ją za nieopłacone wizyty na ostrym dyżurze. Misti trafiała na pogotowie za każdym razem, gdy jej syn dostawał ataku astmy. Jako pielęgniarka pracująca na etacie w domu opieki dla osób starszych miała wykupioną polisę medyczną dla całej rodziny. Twierdzi, że personel szpitala ani razu nie informował jej, że to jednak nie wystarczy, i musi dopłacić do leczenia z własnej kieszeni.

– Gdy dostałam ze szpitala rachunek na 3,6 tys. dolarów, odłożyłam spłatę na później – wspomina Misti. – Byłam świeżo po rozwodzie, mając na utrzymaniu trójkę dzieci. Już i tak ledwo było mnie stać na miesięczną ratę kredytu hipotecznego, która wynosi 1300 dolarów.

Nie spodziewała się, że na mocy decyzji sądu władze szpitala odbiorą jej auto i zaczną ściągać zaległość z pensji (870 dolarów miesięcznie). – Bałam się, że stracę też dom. Na szczęście bank zgodził się tymczasowo obniżyć ratę kredytu. Żeby mieć pieniądze na jedzenie, musiałam wyprzedać meble – mówi 40-latką, która szybko musiała znaleźć dwie dodatkowe prace. Wieczorami i w weekendy dorabiała jako pielęgniarka w ramach opieki domowej, a codziennie rano (przed rozpoczęciem pracy etatowej) prowadziła szkolenia z pierwszej pomocy.

Długi

Misti wspomina, że dała radę tylko dzięki matce, która pomagała jej w opiece nad dziećmi. Jej bliźniaki miały wtedy 4 lata, a starsza córka 12 lat.

Ale dług i tak narastał – w międzyczasie Misti wielokrotnie trafiała bowiem na ostry dyżur. A to synek astmatyk dostał zapalenia płuc, a to córki złamały rękę lub nogę. Za niezapłacone rachunki szpitala pozywał ją w sumie pięć razy. Uzbierało się 17 tys. dolarów długu.

Misti pewnie nie miałyby takich problemów, gdyby wykupiła lepszą polisę. Jej ubezpieczenie kosztuje 200 dolarów miesięcznie. Jest tak tanie, bo według warunków polisy firma zaczyna pokrywać koszty leczenia dopiero, gdy wartość rachunków medycznych przekroczy w ciągu roku 5 tys. dolarów. W praktyce oznacza to, że Misti za sporą część wydatków musi płacić z własnej kieszeni.

W pułapkę takiej z pozoru taniej polisy wpadł również jej obecny mąż. Gdy kilka lat temu pojechał na ostry dyżur z wybitym barkiem, szpital w Carlsbadzie wystawił mu rachunek na 2,5 tys. dolarów. Gdy zwlekał ze spłatą, został pozwany. Na mocy decyzji sądu szpital zaczął ściągać z jego pensji 300 dolarów miesięcznie.

– Ostrego dyżuru w Carlsbadzie unikamy teraz jak ognia – mówi Misti, która w nagłych przypadkach jeździ do oddalonego o 60 km szpitala w Artesii. Wylicza, że w sierpniu zrobiła tam profilaktyczną mammografię, a we wrześniu mąż miał tomografię. Gdy badanie wykazało, że ma raka odbytu, lekarze skierowali go do szpitala w Carlsbadzie. Tylko tam mógł zrobić kolonoskopię, potrzebną do dalszej diagnostyki.

– Wstydę się to powiedzieć, ale boję się teraz podwójnie. Martwię się nie tylko o zdrowie męża, ale też o to, czy nie utoniemy w długach – mówi z płaczem Misti.

Lekarz nie z tej sieci

Dziennik „New York Times”, który zainteresował się sprawą szpitala w Carlsbadzie, policzył, że od 2015 r. placówka ta pozwała prawie 3 tys. osób. Wśród nich byli nie tylko pacjenci z kiepską polisą, ale też ci, których na ostrym dyżurze przyjął lekarz spoza tzw. sieci ubezpieczyciela.

Amerykańskie firmy ubezpieczeniowe działają bowiem w oparciu o kontrakty zawarte z konkretnymi szpitalami, klini-



MARTA ZDZIEBORSKA

SHARDY Z SAN DIEGO, 31 LAT:

Na szczęście zarówno ja, jak i moje dziewczynki jesteście zdrowe.

Nawet nie chcę myśleć, że mogłoby się to zmienić.

kami i lekarzami. Jeśli pacjent skorzysta z usługi spoza sieci, w większości przypadków zapłaci z własnej kieszeni.

Problem niespodziewanych rachunków medycznych dotyczy całych Stanów. Wiosną 2018 r. telewizja CNN Business opisała historię Ricka Browna, barmana z Brick w stanie New Jersey, który trafił na ostry dyżur ze złamaną kostką. Choć poszedł do szpitala należącego do sieci, dostał potem rachunek na 5,7 tys. dolarów. Okazało się, że lekarz, który włożył mu nogę w szynę i przepisał leki przeciwbólowe, nie miał podpisanego kontraktu z ubezpieczycielem.

Z badań Uniwersytetu Stanforda wynika, że w 2016 r. ponad 40 proc. wizyt na ostrym dyżurze zakończyło się wystawieniem niespodziewanych rachunków. Problem jest na tyle poważny, że w Izbie Reprezentantów trwają dyskusje nad kilkoma projektami ustaw, które miałyby doprowadzić do ukrócenia tej praktyki.

W niektórych stanach – jak Kalifornia, Floryda, Nowy Jork, Illinois, Maryland – już teraz obowiązuje prawo chroniące pacjentów. Np. jeśli ubezpieczyciel w Nowym Jorku nie pokryje całej kwoty za usługę, lekarz w większości przypadków nie może od razu obciążyć nią pacjenta. Sprawa jest rozstrzygana w drodze arbitrażu między ubezpieczycielem a lekarzem.

Weteran w kampanii

Reforma opieki zdrowotnej to dziś jeden z głównych tematów kampanii przed wyborami prezydenckimi w 2020 r.

Wśród kandydatów do nominacji Partii Demokratycznej szczególnie nośny stał się projekt „Medicare for All”. Przygotowany przez senatora Berniego Sandersa, słynącego z poglądów socjalistycznych, zakłada likwidację ubezpieczeń prywatnych i stworzenie systemu powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego finansowanego z budżetu. Sanders, który walczy o nominację [patrz „TP” nr 44 – red.], postuluje też wykupienie długów medycznych obywateli, które szacuje się na 81 mld dolarów.

Jak paląca to dla Amerykanów kwestia, pokazuje wrześniowe spotkanie wyborcze Sandersa w Carson City w Nevadzie. Media rozpiswały się wówczas o historii Johna Weigla, weterana marynarki wojennej cierpiącego na chorobę Huntingtona. Podczas wiecu Weigel zabrał głos i opowiedział swoją historię: po tym, jak stracił ubezpieczenie, ma 139 tys. dolarów długu. Na pytanie Sandersa, jak zamierza spłacić tak astronomiczne rachunki, weteran odparł, że popełni samobójstwo.

Poruszony polityk spotkał się z nim po wiecu i obiecał interwencję w jego sprawie. Ale na razie bardziej pomocna okazała się reakcja internautów: zorganizowali zbiórkę na stronie GoFundMe, dzięki której do połowy października weteran mógł spłacić 44 tys. dolarów długu.

Byłe było zdrowie

Horrendalnych kosztów leczenia w przypadku choroby boi się 31-letnia Shardy. Afroamerykanka z San Diego w Kalifornii od roku nie ma ubezpieczenia, bo jej mąż zakończył służbę w marynarce wojennej. Shardy tłumaczy, że w efekcie tylko mąż zachował prawo do bezpłatnej opieki zdrowotnej. Zarówno ona, jak też ich dwie córki powinny wykupić polisę na własną rękę. Ubezpieczenie w ramach programu „Obamacare” kosztowałoby całą trójkę 450 dolarów miesięcznie.

– Ale odkąd James odszedł z armii, żyjemy tylko z mojej pensji. Nie stać nas teraz na taki wydatek – mówi Shardy, której rodzina nie kwalifikuje się do bezpłatnej opieki zdrowotnej Medicaid, bo mimo wszystko osiąga zbyt wysokie dochody.

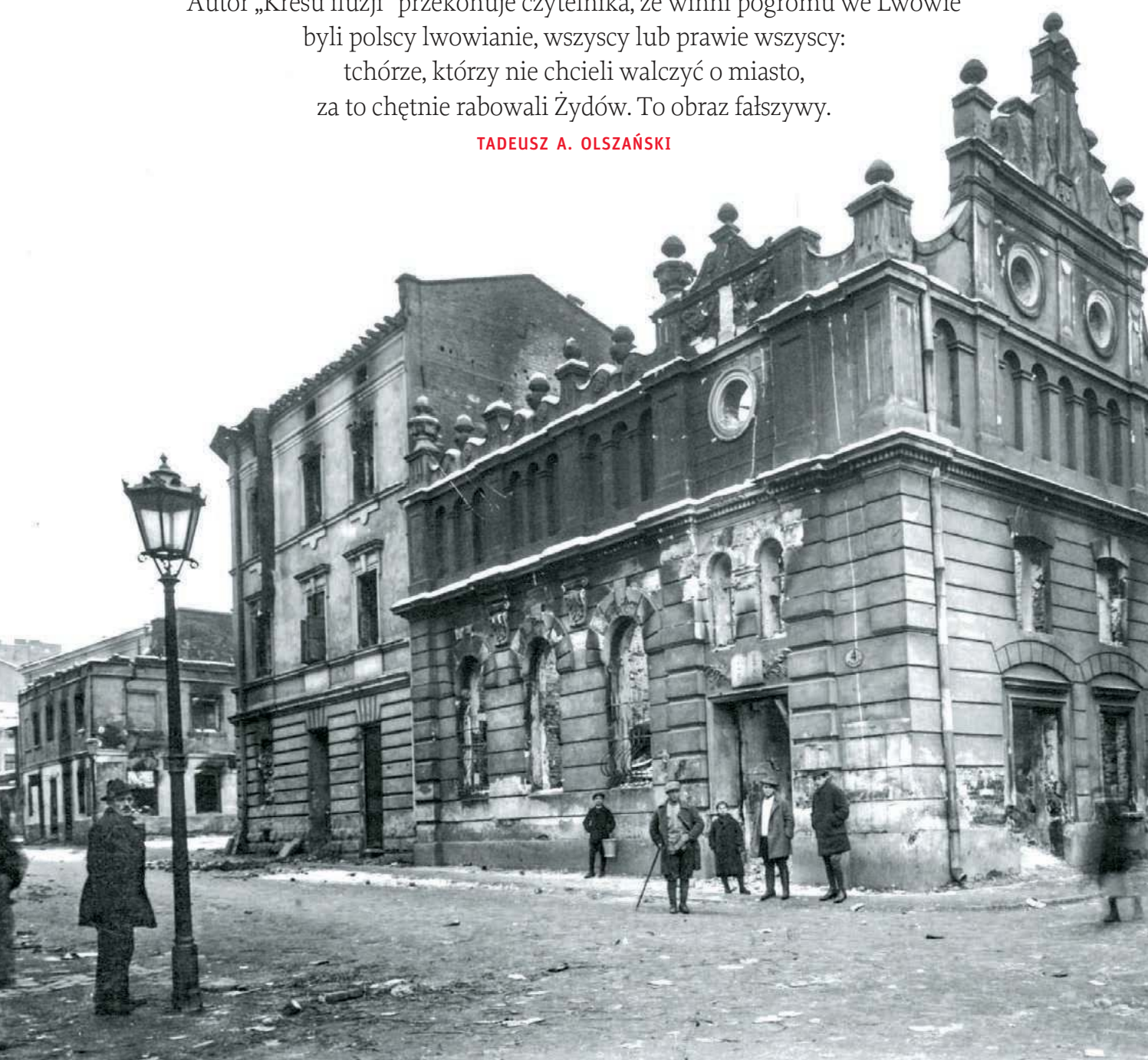
– Na szczęście zarówno ja, jak i dziewczynki jesteście zdrowe – dodaje z nadzieją. – Nawet nie chcę myśleć, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić.

© MARTA ZDZIEBORSKA

CZASZKA Z WYKRZYKNIKIEM

Autor „Kresu iluzji” przekonuje czytelnika, że winni pogromu we Lwowie byli polscy lwowianie, wszyscy lub prawie wszyscy: tchórze, którzy nie chcieli walczyć o miasto, za to chętnie rabowali Żydów. To obraz fałszywy.

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI



NIE JEST TO PUBLIKACJA STRICTE NAUKOWA. Praca Grzegorza Gaudena „Lwów. Kres iluzji. Opowieść o pogromie listopadowym 1918 r.” łączy obszerny opis tego pogromu – oparty na licznych i po części dotąd nieznanymi źródłach – z obszernymi rozważaniami autora natury publicystycznej, nieraz o ogromnej temperaturze emocjonalnej. Często trudno je oddzielić i nie jest jasne, gdzie przemawia twórca omawianego źródła, gdzie zaś nasz autor.

Wiedza o faktach, jaką znajdowałem na kartach „Kresu iluzji”, w znacznej mierze nie była dla mnie nowa – choć bez wątpienia będzie nowa dla większości polskich czytelników. Jednak to nie fakty są tu przedmiotem sporu (choć czasem i fakty, o czym za chwilę). Skupmy się na tym, jak Gauden interpretuje i komentuje opisywane wydarzenia.

Pogrom: rekapitulacja

Pogrom lwowski z listopada 1918 r. nie jest wydarzeniem silnie obecnym w polskiej świadomości historycznej – choć Gauden nie ma racji, pisząc, że jest zupełnie nieznan. Dla porządku przypomnijmy więc, w telegraficznym skrócie, co się wówczas stało.

Po przejęciu 1 listopada 1918 r. władzy we Lwowie przez Zachodnioukraińską Republikę Ludową (ZUNR) i rozpoczętym kilka godzin później polskim powstaniem przeciwko niej w mieście powstała kilkusetosobowa milicja (samoobrona) żydowska. Jej zadaniem było zapewnienie porządku i bezpieczeństwa w tej części miasta, gdzie przeważali Żydzi. Formacja ta powstała z inicjatywy władz ukraińskich, przez nie też została uzbrojona. Jej członkami byli głównie zdemobilizowani żołnierze armii austriackiej narodowości żydowskiej. Milicja patrolowała ulice, przeciwdziałała napadom rabunkowym i co najmniej raz starła się z polskim oddziałem powstańczym.

Po wyparciu ze Lwowa wojsk ukraińskich milicja złożyła broń – na żądanie polskiego dowództwa. Następnie w dniach 22–24 listopada doszło do pogromu żydowskich mieszkańców, tj. masowych rabunków i podpałów, z którymi wiązały się pobicia, gwałty i zabójstwa. Śmierć poniosło 150 osób (to maksymalny wiarygodny szacunek; inne mówią o 73, 64 lub 52 ofiarach śmiertelnych), ok. 300–400 odniosło rany, co najmniej kilkadziesiąt kobiet zgwałcono. Odpowiedzialność za tolerowanie pogromu spada głównie na kpt. Czesława Mączyńskiego, dowódcę obrony Lwowa (22 listopada mianowanego pułkownikiem i komendantem garnizonu).

Po pogromie władze polskie zatrzymały ok. 1600 (według innych danych tylko kilkuset) jego sprawców, z których przed sądami wojskowymi stanęło 79 osób (w tym 46 kobiet), a skazano 64 osoby, na ogół na krótkie wyroki więzienia, jednak trzy – na karę śmierci. Danych tych nie można jednak uznać za pewne; żadne ze znanych mi opracowań dotyczących pogromu lwowskiego nie podejmuje poważnie tego wątku.

Żydzi wobec Ukraińców

Te fakty są oczywiste: pogrom się wydarzył, a jego sprawcami byli Polacy, tak członkowie formacji powstańczych, jak też kryminaliści i „zwyczajni cywile”.

Odpowiedzialność polskich władz wojskowych za dopuszczenie do pogromu, a później za niestłumienie go tak szybko, jak było to możliwe, jest niepodważalna. Negatywne skutki pogromu (i innych podobnych wydarzeń z tego okresu) dla międzynarodowej reputacji rodzącej się Rzeczypospolitej także są oczywiste.

Pozostaje parę pytań szczegółowych. Najważniejsze z nich dotyczy postawy milicji żydowskiej wobec polskich formacji powstańczych: na ile współpracowała z Ukraińcami? Gauden twierdzi, że doszło tylko do jednego, i to przypadkowego, starcia z Polakami. Historyk Damian K. Markowski, autor najlepszej dotąd monografii walk o stolicę Galicji („Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918”, Wyd. Literackie, Kraków 2019), pisze o większej ich liczbie.

Oczywiste jest, że nawet gdyby milicja żydowska angażowała się czynnie po stronie ukraińskiej, nie mogłoby to stanowić usprawiedliwienia pogromu. Ale to, do jakiego stopnia lwowska społeczność żydowska popierała ZUNR (wiadomo, że popierali ją galicyjscy syjoniści), mogłoby nam wiele powiedzieć, objaśnić. Gauden nie podejmuje jednak tego wątku, a informacje prasowe o żydowskich oddziałach w armii ZUNR nazywa fake newsem. Tymczasem kilka takich oddziałów powstało – jak np. batalion szturmowy, sformowany z żydowskiej młodzieży Tarnopola.

Galicyjscy Żydzi także byli społecznością polityczną, mieli prawo do własnych aspiracji. Mówiąc wprost: mieli prawo stanąć po stronie Ukraińców. Uznając informacje na ten temat za antysemickie oszczerstwa, Gauden – zapewne nieświadomie – przyjmuje punkt widzenia tych, którzy uważają, że Żydzi powinni byli wybrać Polskę, odmawiając im tym samym prawa do samookreślenia politycznego.

Aby skończyć ten wątek: we współczesnej retoryce polityczno-historycznej zbyt często spotykamy pogląd, że tego, czego nie można zaakceptować, nie należy też próbować zrozumieć, objaśnić; że poznanie przyczyn jakichś zjawisk jest nieważne, skoro poddaje się negatywnej ocenie. A nawet – że wskazanie przyczyn stanowi już akt usprawiedliwienia. Akceptując takie podejście, zacieramy jednak różnice między poznaniem a oceną moralną, wyrzekamy się też wiedzy o przeszłości.

Synagoga Beit Chasidim we Lwowie po pogromie; zdjęcie wykonane między 22 a 24 listopada 1918 r.



Kilka słów o metodzie

→ „Kres iluzji” znacznie powiększa naszą wiedzę o samym pogromie, a źródła, odnalezione przez autora w lwowskich archiwach, to głównie relacje ofiar. Wywody Gaudena oparte są też na materiałach publikowanych w okresie międzywojennym, głównie po polsku, ale też po niemiecku i angielsku. Dziwi natomiast brak odwołania do jakichkolwiek źródeł czy opracowań ukraińskich – choć ukraińska literatura jest tu obszerna, a wątek żydowski zwykle jest w niej obecny (autor ignoruje też prace izraelskie; tu jestem w stanie uznać barierę językową). Gauden zestawia je, interpretuje, porządkuje do tychczasową wiedzę oraz rozstrzyga część wątpliwości – i to jest jego zasługa.

Jednak kluczowy dla zachodniej recepcji pogromu, a także dla wywodu Gaudena artykuł z wiedeńskiego liberalnego dziennika „Neue Freie Presse” powinien być w tej książce zamieszczony *in extenso* w polskim tłumaczeniu, a nie w postaci wielostronicowego omówienia. Podobnie pomogłoby książce, gdyby nadzwyczaj ważny raport Chrzanowskiego i Wasserzuga, opracowany w grudniu 1918 r. na zlecenie polskiego MSZ, został przytoczony w całości, choćby w aneksie. Autor narzeka, że dokument ten jest właściwie nieznamy (choć narzeka też, że jego publikacja w 1984 r. rozbudziła negatywne emocje), ale nie czyni nic, by temu zaradzić. Swoją drogą – raport ten od dawna powinien zostać udostępniony w internecie.

Ubocznym, lecz ważnym wątkiem książki jest zwięzła informacja o pogromach na ziemiach centralnej Polski jesienią 1918 r. – jak kielecki z 11–12 listopada (4 zabitych, kilkuset rannych), wydarzenie rzeczywiście kompletnie za-

Galicijscy Żydzi mieli prawo stanąć po stronie Ukraińców.

Uznając informacje na ten temat za antysemityczne oszczerstwa, Gauden – zapewne nieświadomie – przyjmuje punkt widzenia tych, którzy uważają, że Żydzi powinni byli wybrać Polskę.

pomniane. Oraz o egzekucjach Żydów z wyroków sądów polowych lub bez wyroków podczas działań wojennych na Białorusi, na początku 1919 r. (one mogły mieć charakter zbrodni wojennych, lecz nie były pogromami). Umknął natomiast jego uwadze pogrom w Przemyślu (11–12 listopada 1918 r., bezpośrednio po odbiciu miasta z rąk Ukraińców).

Kto winien? Lwów!

Szukając odpowiedzi na pytanie, kto ponosi winę za pogrom lwowski, Gauden nie poprzestaje na wskazaniu winnych bezpośrednio: sprawców i ich dowódców. Ich wina jest oczywista, bezdyskusyjna. Ale Gauden snuje swą narrację tak, by czytelnik zamykał książkę z przekonaniem, że winnymi byli Lwowianie. Bez wyjątku lub z nielicznymi wyjątkami. Przedstawia mieszkańców Lwowa jako zgnuśniałych tchórzów, którzy *en masse* nie chcieli bronić swojego miasta, za to potem chętnie rabowali żydowskie sklepy.

Prawdą jest, że większość lwowskich Polaków nie wsparła czynnie powstania i że lokalna elita była przeciwna walce zbrojnej. To zresztą wyważanie otwartych drzwi – pisał o tym przed laty Wojciech Giełżyński w „Budowaniu Niepodległej” [pierwsze wydanie w 1985 r. – red.]. Ze złością, ale bez jadu i pogardy.

Jednak tak jest zawsze i wszędzie: walkę zbrojną zwykle podejmuje zdecydowana mniejszość. Podobnie rabunki, rozruchy, pogromy – zawsze i wszędzie – są dziełem grup w skali społecznej marginalnych; czasem kryminalnych, czasem ideowych (niekiedy trudno wytyczyć między nimi wyraźną granicę). Większość społeczeństwa natomiast zostaje w domach, zaciąga firanki, udaje, że jej nie ma. Czy to podczas bitwy, czy pogromu. Także większość lwowskich Polaków nie wzięła udziału w tym pogromie, nawet pośrednio.

To, którą z tych dwóch mniejszości uznajemy za reprezentanta całości, jest kwestią wyboru. Także, a może przede wszystkim – wyboru moralnego. Chodzi o wskazanie, na co chcemy się orientować w świecie: na dobro czy raczej na zło. Kogo chcemy stawiać w centrum naszej opowieści zbiorowej, naszego mitu: bohatera czy zbrodniarza.

Narracja Gaudena nie pozostawia co do tego wątpliwości. Jego próba zdezuwuowania polskiej walki o Lwów, jego uznanie, że jedynym istotnym wydarzeniem w tym mieście w listopadzie 1918 r. był pogrom, oznacza postawienie w centrum narracji zbrodniarza. A właściwie jednego zbrodniarza: Mączyńskiego (którego odpowiedzialność jest niewątpliwa, ale jednak pośrednia). Oraz zbrodniarza zbiorowego: Narodowej Demokracji.

Oczywiście autor nie pisze tego wprost, otwartym tekstem. Ale jego sugestie są dla uważnego czytelnika oczywiste. Tym bardziej docierają do tych mniej uważnych.

Gauden w doktrynie Narodowej Demokracji dostrzega wyłącznie antysemityzm, wyłącznie zło. Romanowi Dmowskiemu przypisuje w latach 1918–19 rolę czysto negatywną. Parokrotnie wraca też do żydowskiego pochodzenia niektórych działaczy endeckich, tak jakby korzenie Strońskiego i Wasiutyńskiego miały związek z pogromem lwowskim.

Kapitana Mączyńskiego – bądź co bądź dowódcę lwowskiego powstania, człowieka, który przekształcił samorządną ruchawkę w skoordynowany wysiłek woj-

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli toczy się postępowanie w sprawie, sygn. akt I Ns 312/19, z wniosku Jana Pamuły, z udziałem Władysława Guściory, Romana Guściory, Samuela Mojżesza Brody, Meilecha Brody, Kazimierza Pamuły, Bronisławy Hewei, Janiny Guściory, Stefanii Serafin, Sraidy Rywy Hauser, Elli Gross, o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości gruntowych stanowiących działki ewidencyjne nr 332, 470, 486, położonych w Rzeczy Okrągłej.

Sąd wzywa wszystkich właścicieli ww. nieruchomości, a przede wszystkim spadkobierców po Michale Guściorze, Annie Guściorze z d. Dąbek, Marii Mudzie z d. Piłat, Wojciechu Piłacie, Samuelu Mojżeszowi Brodzie, Meilechu Brodzie, Stefanii Serafin, Sraidzie Rywie Hauser, Elli Gross, aby w terminie 3 miesięcy od daty zamieszczenia ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Stalowej Woli i wykazali swoje prawa do tych nieruchomości.

O ile w tym terminie nikt się nie zgłosi albo praw swoich nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono wykazane.



Oddział por. Romana Abrahama 22 listopada 1918 r.: tego dnia siły ukraińskie opuściły Lwów i zaczął się pogrom, w którym wzięli udział żołnierze Abrahama. Członkowie tego oddziału nosili odznakę z trupa czaszką, popularny wówczas symbol nieustępliwości w boju. Używali go także żołnierze z Ukraińskiej Armii Galicyjskiej, siły zbrojnej ZUNR.

skowy – Gauden traktuje jako kłamcę, i tylko kłamcę. Posuwa się wręcz do zakwestionowania istnienia Polskich Kadr Wojskowych (endeckiej organizacji żołnierskiej w zaborze austriackim).

A skoro już mowa o PKW: prawda, że o jej działalności niewiele jest wiarygodnych dokumentów i relacji, że dotąd nie mamy poważnego opracowania jej dziejów i że Mączyński zapewne wyolbrzymiał jej rolę. Lecz przecież jej nie zmyślił: nie on jeden wspomina o PKW – i nie tylko w kontekście walk o Lwów.

Najgorsze jest chyba to, że pisząc na ten temat (a wcześniej na temat zachowania milicji żydowskiej), Gauden najwyraźniej hołduje fałszywemu pogładowi, że brak dowodu jest dowodem braku.

Kilka słów o retoryce

Cała druga część książki (zatytułowana „Semantyka pogromu”) poświęcona jest przekonywaniu, że to, co stało się we Lwowie, można nazwać jedynie pogromem, a nie jakkolwiek inaczej; że używanie innych określeń jest naganne i służy zacieraniu prawdy o tych wydarzeniach. Wywody te utrudniają właściwe odczytanie przytaczanych w książce fragmentów zachodnich relacji o pogromach i zbrodniach wojennych na ludności żydowskiej w Polsce z lat 1918–19, przynoszących wiele ważnych informacji.

Takie podejście jest przejawem magicznego stosunku do języka (i do rzeczywistości). Wiąże się z przekonaniem,

że nazywanie rzeczy zmienia ich naturę, że nie jest ważny adekwatny opis, ale „właściwa” nazwa. To dokładnie taki sam zabieg jak krytykowanie przez radykalnych Kresowian używania innego terminu niż „ludobójstwo” na określenie zbrodni wołyńskiej.

Gauden wielokrotnie określa też Polaków mianem „Herrenvolku” (co zapożyczył z „klasycznego” artykułu z „Neue Freie Presse”), a Żydów opisuje jako ich niewolników. Jest doświadczonym dziennikarzem: nie może nie rozumieć, jaka jest różnica między pojmovaniem tego słowa w obrębie języka niemieckiego przed stu laty a jego funkcjonowaniem we współczesnym polskim dyskursie. Poza tym – Żydzi nie byli niewolnikami Polaków. Byli modelowymi „obcymi”, zgoda. A to nie to samo.

Autor wielokrotnie wspomina, że o pogromie lwowskim nie tylko nie pisano w okresie międzywojennym, ale że wciąż się tego nie robi – (choć obszernie pisał o tym np. dziennik „Rzeczpospolita” w 2006 r., gdy jego redaktorem naczelnym był... Grzegorz Gauden), a poza tym publikacji i wzmianek mu poświęconych da się znaleźć sporo (niektóre zresztą sam autor przytacza). Pozostaje to w zgodzie z silnym dziś przekonaniem, że jeśli na jakiś temat nie mówi się przez cały czas, jeśli nie zajmuje on pierwszych kolumn, to nie mówi się o nim wcale. To także łączy jego sposób myślenia z Kresowianami, którzy nawet dziś potrafią

twierdzić, że zbrodnię wołyńską otacza „zmowa milczenia”.

Ciągłość sugerowana

Dodatkową słabością „Kresu iluzji” jest nierozumienie przez autora zagadnienia świadomości narodowej Żydów (i nie tylko ich) przed stu laty; niewiedza o tym, że określenie „syjoniści” nie było wówczas retorycznym synonimem Żydów, ale nazwą (własną!) jednego z ich głównych stronnictw politycznych, rzeczywiście w tym czasie popierającego ukraińskie aspiracje państwowe. A także nierozumienie licznych ówczesnych kwestii obyczajowych i symbolicznych (np. dziwi się Gauden, jak żydowski autor mógł w 1937 r. pisać o „śp. Czesławie Mączyńskim”, i komentuje: „Dla Żydów lwowskich pamięć o Mączyńskim nie mogła być święta” – podczas gdy określenie „śp.” było w ówczesnej polszczyźnie formą sygnalizowania, że mowa o osobie zmarłej, niczym więcej).

Inny przykład. Opisując odznakę oddziału por. Romana Abrahama, autor stawia wykrzyknik przy wzmiance o trupiej główce – jakby chciał zasugerować symboliczną ciągłość tego oddziału (skądinąd biorącego udział w pogromie) z niemiecką SS (sugestii o ciągłości, a przynajmniej pokrewieństwie polskiego antysemityzmu z początku wieku XX z antysemitycznymi praktykami III Rzeszy jest zresztą w „Kresie iluzji” więcej).

Gauden nie wie, że podczas I wojny światowej i zaraz po niej trupa główka w różnych armiach stanowiła element odznak tzw. batalionów czy pułków śmierci – formacji deklarujących szczególną nieustępliwość w boju.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

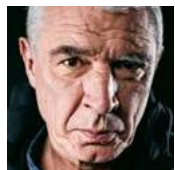
Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpią w Warszawie. Opublikował kilka książek i liczne opracowania o dziejach Ukrainy w wiekach XIX i XX, a także o obecnej sytuacji na Ukrainie. Tematyką ukraińską zajmuje się od lat 80. XX w.



Grzegorz Gauden
„LWÓW. KRES
ILUZJI. OPowieść
o POGROMIE LISTO-
PADOWYM 1918 R.”
Universitas,
Kraków 2019.

ANDRZEJ

Stasiuk: Piękny dzień



PANIE, W TAKIE PIĘKNE DNI JAK TEN (koniec października, słońce, błękit, trochę przy tym mgliście) myślę, że powinien się objawić. Tak jak robiłeś to na początku. W jakiejś przekonującej postaci, żebyśmy nie mogli udawać, że Cię

nie widzimy, że nam się jakiś awatar albo sajensfikszyn wyświetla. Nie wiem, jakiś gorejący krzak odpowiednich rozmiarów na przykład. Tak, żeby nie dało się odwrócić wzroku albo kliknąć, żeby zniknęło. Więc żebyś się objawił w celu ogłoszenia, że już koniec z tym całym Kościołem. Że zwyczajnie nam nie wyszło, chociaż mieliśmy ponad dwa tysiące lat. Bo nie masz zamiaru dalej firmować całego tego cyrku. Oczywiście powinienś zacząć od biskupów. Żeby przebrali się w jakieś normalne ubrania, wzięli sobie po parę groszy w charakterze odpłaty i znaleźli sobie jakieś zwyczajne zajęcia. Bez prawa zajmowania stanowisk kierowniczych. Żeby poszli po prostu do pracy. Pożenili się, z kim tam który będzie chciał, albo żyli na kocią łapę, byle płacili podatki i trzymali się z dala od edukacji. Tak powinienś zrobić – jeśli w ogóle potrzebujesz mojej rady. Ale myślę, że czasami powinienś porozmawiać z kimś spoza branży. Tak, uważam, że powinienś po dwóch tysiącach lat ogłosić upadłość, czy też delegalizację. Te dwa tysiąclecia z Twojej perspektywy to jest mgnienie. Dla nas zaś wystarczająco dużo czasu, by się przekonać, że to zwyczajnie nie działa. Że przynosi więcej strat niż zysków. A w każdym razie zyski, tak duchowe, jak i ma-

terialne dzielone są w sposób niezrozumiały dla większości. Tak więc powiedz im, że to koniec i żeby sobie poszli, zostawiając wszystko, co zgromadzili na Twoją chwałę, jak twierdził, a Ty już tym się zajmiesz. Tak im powiedz i zobaczysz, że nic złego się nie stanie. Później powinienś się objawić niższemu personelowi, bo na to, że szefostwo cokolwiek im przekaże, to bym nie liczył.

A potem mógłbyś przyjść do nas wszystkich i zorganizować coś w rodzaju mszy papieskiej. Powiedzmy na Pustyni Błędowskiej, żebyśmy się wszyscy pomieścili. Na pustyni właśnie, żeby ten Twój krzak miał godną oprawę wizualną oraz kontekst historyczny. Mógłbyś wtedy powiedzieć z jakiegoś pagórka: Idźcie do domów. Rozwiązuję organizację. Chorałowie wyprowadzić i najlepiej spalić, żeby nie kuśły. Tak. Idźcie do domów i zajmijcie się życiem. Nie traćcie już czasu na te wszystkie zgromadzenia, z których wracacie i wydaje się wam, że jesteście lepsi. Zwłaszcza od innych. Na Mój gust wcale nie jesteście. Według Mnie często jest odwrotnie. Więc idźcie do domów. Spotykajcie się gdzie indziej. Wybierzcie sobie jakiś inny dzień. Na przykład wtorek. Jesteście już dorośli. Szczerze mówiąc, mam was dość. I nie słuchajcie, gdy spryciarze będą wam mówić, że jeszcze wrócę. Nawet jeśli tak zrobię, to nie powtórzę starego błędu. Jeśli nawet wrócę, to nikt się o tym nie dowie.

Wybacz Panie, że udzielam Ci rad. Ale jest piękny dzień u schyłku października. Błękitnieje niebo, słońce rozświetla złoto delikatną mgłą. Modrzewie płoną jak gorejące krzaki. To tu, to tam polatuje zielony dzięcioł. Liści jest coraz mniej i dzięki temu widać coraz więcej światła. Wiesz, powinienś zrobić to, o czym mówię. Chociażby po to, by cała ta firma, którą założono w Twoim imieniu, nie przesłaniała widoku na Twoje Stworzenie. Bo, tak mi się wydaje, to jest jej głównym celem. A przecież nie zostawiłeś nam niczego innego. Więc ją po prostu zlikwiduj. Żeby nam nie zasłaniała widoku. Bo niczego innego nie mamy. Zrób to, proszę, właśnie w taki piękny dzień. Amen. ©

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego” – Wydania Specjalnego, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres:

zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”:

- „Do Betlejem!”
- „Wszystko, co wiemy”
- „Moc czytania”
- „Polska Żydowska”
- „Smak wolności”
- „Zwierzenia zwierząt”
- „Halo, tu Ziemia”



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 46/2019

Taka
ekonomia?

Kto to
widział?!



open '19
eyes
economy
summit

19-20 listopada / ICE Kraków



Rynek ze skoliozą

PROF. JERZY HAUSNER, EKONOMISTA:

Proponuję powrót do racjonalnego gospodarowania. Do zwiększania produktywności, a nie zyskowności. Do odpowiedzialnego wykorzystywania zasobów – także tych, które nie są naszą własnością.

MAREK RABIJ: W latach 90. Bill Clinton mówił w kampanii wyborczej: „Gospodarka, głupcze!”. Dziś kluczowe wyzwania stojące przed światem streścić można w hasła: „Klimat, głupcze!”. Nie da się tego jakoś poenić?

JERZY HAUSNER: Jeśli pyta pan, czy rozwój gospodarczy musi postępować kosztem degradacji środowiska naturalnego, to odpowiedź jest prosta i brzmi oczywiście: nie musi i nie powinien.

Zastanawiam się raczej, czy wielkie korporacje, które w opowieści o katastrofie klimatycznej są czarnymi charakterami, mogą odegrać rolę tych, którzy ratują świat? Mają przecież wpływy polityczne, wielkie pieniądze, praktycznie nieograniczone zaplecze badawcze i logistyczne, a do tego świetnie radzą sobie z kształtowaniem postaw i pragnień miliardów ludzi.

Obawiam się, że wygląda pan ratunku z niewłaściwej strony. Klasyczna korporacja jest organizacją, której głównym celem jest maksymalizacja zysku. Stanowi kluczową składową tego modelu gospodarowania, w którym najważniejszy jest wzrost. Fetyszyzowanie wzrostu gospodarczego, niepowiązanego z wartościami, którym miałyby służyć, sprawiło, że celem stał się sam wzrost. A to trochę tak, jakbyśmy wychowanie dziecka utożsamili wyłącznie z tym, jak szybko i jak wysokie urosnie.

Chce Pan powiedzieć, że wielkie korporacje nie są tak silne, jak się nam wydaje?

Ich siła polega przede wszystkim na stabilności i zdolności do przejmowania kontroli nad kolejnymi obszarami życia oraz zasobami, które zawłaszczają. Tak jak w boksie, gdzie mamy do czynienia z zawodnikami wagi superciężkiej, któ-

rych nie zbije z nóg byle cios, ale rzadko zachwycają widownię wyrefinowaną strategią walki. Tyle że każdy trener powie panu, że nie ma bokserów w pełni odpornych na ciosy; są tylko źle trafieni. Walki nie wygrywa się samą odpornością na ciosy, trzeba też umieć stosować uniki i atakować w odpowiednim momencie. W biznesie jest podobnie: w obliczu problemów korporacja wytrzyma wprawdzie więcej niż mniejsza, ale też wolniej przestawi się na inny tor, który pozwoliłby ich uniknąć lub przynajmniej zminimalizować straty.

A dziś zmiany zachodzą tak szybko i do tego w tak dużym wycinku rzeczywistości, że model korporacyjny, oparty w znacznie mierze na efekcie skali i kontroli zasobów, w wielu przypadkach może stanowić bardziej problem niż atut. W stabilnych, przewidywalnych warunkach wielka firma ma oczywiście przewagę. Tylko wiele wskazuje na to, że prowadzenie biznesu w oparciu o sprawdzone scenariusze będzie coraz trudniejsze, bo otoczenie biznesu będzie się stawać coraz bardziej nieprzewidywalne. Na miano silnych i stabilnych w tym świecie zasługiwać będą zatem te firmy, które będą w stanie produktywnie wykorzystywać wszystkie swoje zasoby, a nie te, które tych zasobów mają najwięcej.

I w ten sposób dochodzimy do pytania o to, jak prawidłowo te zasoby definiować.

Ale w tym celu najlepiej przyjrzeć się, jak definiuje się je obecnie. Bo przeciętny przedsiębiorca, nie tylko w Polsce, dąży do tego, by mieć pod swoją kontrolą jak najwięcej zasobów: surowców, praw patentowych, marek, technologii, rynku zbytu i tak dalej.

To logiczne: na wolnym rynku gra toczy się o to, kto weźmie go więcej.

A ja uważam – i to jedno z kluczowych założeń naszej koncepcji „firmy-idei”, którą propagujemy między innymi w trakcie Open Eyes Economy Summit – że bezpieczeństwo nie wypływa dziś z samej przewagi siły i wielkości. W pewnym sensie namawiam wręcz do tego, żeby odpuścić sobie sny o potęgze i budowanie imperiów na miarę Amazona, bo nadchodzą czasy nie dla takich firm-jednoróżców. Spróbujmy zadać sobie pytanie, w jakiej sytuacji jest dziś konkurent Amazona? Czym jest ten koncern? Czym jest Uber? Airbnb?

To podręcznikowe przykłady tego, że w gospodarce cyfrowej zwycięzca bierze wszystko.

Owszem. Tylko sprawę komplikuje dodatkowo fakt, że żaden z tych gigantów nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności za żaden z zasobów, z których na co dzień korzysta. Bo czy Airbnb, który jest de facto jednym z największych dostawców usług hotelarskich, ma jakieś nieruchomości, za stan których byłby odpowiedzialny, także prawnie? Czy Uber ma jakieś taksówki, które musi ubezpieczyć? Czy Amazon ma drukarnie? Kontrakty z pisarzami? Nie ma. Ale nie przeszkadza mu to być największym sprzedawcą książek na świecie.

Jest również numerem dwa na amerykańskim rynku odzieżowym, choć sam nie projektuje i nie szyje ubrań. Dziennikarze „The Wall Street Journal” znaleźli niedawno w ofercie Amazona produkty co najmniej 50 fabryk z Bangladeszu, które straciły prawo do zaopatrywania znanych zachodnich marek – ze względu na fatalne warunki pracy. Koncern długo upierał się, że ta sprawa właściwie go nie dotyczy.

Przykładów znaleźćlibyśmy więcej, ale wszędzie chodzić będzie o to samo →

→ – o przejście kontroli. Podkreślam, nie o posiadanie danych zasobów, lecz o kontrolę nad nimi. Posiadanie wiąże się przecież z szeregiem obowiązków, poza tym tworzy koszty. Kontrolowanie przynosi natomiast czyste korzyści. A kontrolować wielkim koncernom jest coraz łatwiej, bo mają gigantyczną, coraz większą przewagę kapitałową, wypracowaną w rozmaity sposób, także za pomocą optymalizacji podatkowej. Starbucks, który stał się jedną z największych sieci kawiarni w Wielkiej Brytanii, przez lata płacił tam groszowe podatki, bo dochody wyprowadzano za pomocą sprytnych opłat licencyjnych tam, gdzie stawki podatkowe są niższe. Gdyby prowadził pan obok własną kawiarnię, prędzej czy później zmusiliby pana, żeby wszedł pan pod ich szyld albo po prostu by pana wykupili. Tak czy siak, stałby się pan poddany ich królestwu, kolejną cegiełką w budowie monopolu. I to w tej groźniejszej odmianie, bo państwa nauczyły się już w miarę dobrze rozpoznawać i zwalczać monopole wytwórcze, natomiast wciąż mają problem z monopolami dystrybucyjnymi, czyli właśnie takimi, jakie tworzy Amazon, Uber, Google czy Facebook.

A teraz wróćmy do pytania o to, co ma dziś zrobić ich konkurent? W dominującej logice biznesu mocno zakodowane jest myślenie w kategoriach

wzrostu, ale czy w centrum uwagi powinien być akurat wzrost stanu posiadania? Czy przejmowanie kolejnych zasobów może zwiększyć szansę w starciu z wielkim rywalem, który poza kapitałem, technologią i marką nie ma praktycznie nic?

Oczywiście, że nie.

Produktywne wykorzystanie zasobów w biznesie nie musi obecnie oznaczać posiadania tychże zasobów. Można je przecież współużytkować, wynajmować, mieć do nich dostęp w formule *open source* i na wiele innych sposobów. W uproszczeniu chodzi o to, żeby nie budować dłużej ekosystemu, w którym walczą ze sobą na śmierć i życie same drapieżniki i wygrywa najsilniejszy, który pożre lub podporządkuje sobie pozostałe, ale o przestrzeń do współdzielenia na innych zasadach niż kontrakt prawny. I nie o *outsourcing* tu chodzi.

Rzecz w tym, żeby prowadząc firmę, wyjść poza myślenie perspektywą krótkoterminową i znaleźć partnerów, z którymi da się zbudować trwałą i obopólnie korzystną relację. Żebyśmy w tym układzie obaj byli nadal przedsiębiorcami szukającymi własnych nowych produktów i pomysłów, wykorzystującymi kreatywność pracowników, a nie zleceniodawcą i wykonawcą. Problem z Amazonem polega na tym, że on zamienia wszystkich w fabryki. To, co proponuję, nie wyklucza rywalizacji, żeby było jasne, ale rywalizacja nie musi przecież polegać na tym, że zwycięzca bierze wszystko, bo zysk jednego musi oznaczać stratę drugiego. Rywalizacja może również toczyć się o to, kto lepiej wykorzysta dostępne zasoby i wyprodukuje z nich więcej potrzebnych produktów lub usług. Potrzebnych, czyli dostosowanych do prawdziwych, a nie sztucznie pompowanych potrzeb klientów.

Obstawiam, że to, o czym Pan mówi, wielu przedsiębiorcom będzie się kojarzyć z regresem. Sprawdzonego sposobu na zwiększanie sprzedaży – czyli także zysku – mają zamienić na wielką niewiadomą.

Proszę pana, problemem współczesnego świata jest nadkonsumpcja i nadprodukcja. Chodzi więc o to, żeby przedsiębiorcy spojrzeli na swoje zyski z szerszej niż dotychczas perspektywy. Bo to, co firma ma w księgach, jest zwykle włą-

skim wycinkiem, a w dodatku zazwyczaj również czynnikiem, który sprawia, że ten wynik w dłuższej perspektywie staje się niemożliwy do utrzymania. Bo czy to, że w tym roku sprzeda pan o 20 proc. więcej aut niż rok wcześniej, może mieć jakiś wpływ na sprzedaż w kolejnym roku? Co najwyżej umiarkowany. Wpływ ma natomiast poziom innowacyjności firmy, będący pochodną kreatywności pracowników, jakości produkcji, zadowolenia dotychczasowych klientów itd. Rachunek wyników proponujemy uzupełnić o rachunek zasobów, bo ten pierwszy mówi nam jedynie o tym, czy nasza działalność się w tym momencie opłaca. Ale nie o tym, czy jest podtrzymywalna.

Słucham Pana i mam dojmujące poczucie, że już tu gdzieś słyszałem.

Bo postuluję powrót do normalności. Do racjonalnego gospodarowania w obrębie społeczności, którego celem ma być zapewnienie jej warunków do rozwoju. Do zwiększania produktywności firm, a nie tylko zyskowności. Do współpracy przedsiębiorców, ale nie do zμών kartelowych czy cenowych. Do odpowiedzialnego wykorzystywania zasobów, od których zależy nasz rozwój, także tych, które nie są naszą własnością. Podam przykład: jeśli ktoś prowadzi w Krakowie biznes, nie może nie interesować się tym, jak w tym mieście ma się kultura, jak się rozwija edukacja, wreszcie, jaki jest poziom przestępczości – bo to są czynniki zewnętrzne, które mają bezpośredni wpływ na wynik finansowy, a w dalszej perspektywie mogą też zdecydować o tym, czy ten rodzaj działalności zarobkowej można będzie dalej prowadzić w tym mieście.

Często rozmawiam z przedstawicielami branży tzw. usług dla biznesu, która się nam tu, w Krakowie, rozrosła w ostatnich latach do ponad 70 tysięcy etatów. Absolwentom brak pewnych kompetencji? No podejmiemy – uczelnie i centra usług – współdziałanie, aby ich wspólnie wykształcić. Ale nie w ten sposób, że studentów zagnamy do niemal pełnoetatowej pracy i pozbawimy szans na naukę innych rzeczy. Nie da się? Ależ się da: wspólnie na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie tworzymy właśnie nowy kierunek studiów.

Dopytałbym ich jeszcze o to, gdzie ich firmy płacą podatki.

TP

„Tygodnik Powszechny” na OEES

WTOREK 19 LISTOPADA

godz 15.50 Fundamenty moralności życia publicznego

– ks. Adam Boniecki

i dr hab. Magdalena Środa

ŚRODA 20 LISTOPADA

godz 11.30 Szymon Hołownia:

Czy chciwość jest dobra?

godz. 11.30 Czy kryzys 2008 roku nauczył czegoś ekonomistów?

– spotkanie z udziałem Rafała Wosia

godz. 15.00 Odpowiedzialność

w branży tekstylnej i modowej

– spotkanie z udziałem Marka Rabijsa

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Otóż to! Znów wracamy do problemu odpowiedzialności za zasoby, z których korzystamy.

Chętni, którzy stoją w długiej kolejce po akcje Aramco, saudyjskiego giganta naftowego, nie wyglądają na zatroskanych o los tak ważnego zasobu, jakim jest klimat. Klimatolodzy trąbią na alarm, że mamy kilkanaście lat na powstrzymanie ocieplenia. Tymczasem akcje firmy, która dostarcza aż 11 proc. ropy, rochodzą się jak ciepłe bułeczki.

Ja się akurat nie dziwię Saudyjczykom, że chcą sprzedać teraz część Aramco.

Ja też, za to dziwię się, że są chętni do zakupu. Bo to świadczy o tym, że rozmawiamy teraz o pięknej utopii. Większość przedsiębiorców prowadzi biznes jak zawsze.

Nie ma pan racji. I mniejsza o to, że w oparciu o rzetelny rachunek ekonomiczny mogę panu pokazać na przykładzie niemal każdej firmy, że moje podejście przyniesie jej w dłuższej perspektywie lepsze rezultaty niż klasyczna strategia kumulacji kapitału i zasobów. Dużo jeżdżę po Polsce, po dużych miastach i małych. Spotykam się z urzędnikami, politykami, naukowcami, ale także z biznesem. Dzięki temu widzę, jak szybko rośnie zainteresowanie kwestiami klimatycznymi i społecznymi wśród samych przedsiębiorców. W Poznaniu rozma-

wiamy o szansach na wykorzystanie wodoru jako źródła energii, bo to województwo, któremu po odejściu od węgla brunatnego grozi regres. We Wrocławiu tłum, także przedsiębiorców, pojawia się na kongresie na temat gospodarowania wodą w mieście. Gospodarowania! Mówimy w ten sposób o czymś, co do niedawna traktowano wyłącznie jako kłopotliwą cechę naszego klimatu, coś, co trzeba jedynie przepchać z chmury do rury. A teraz wody albo brakuje, albo zaczynamy zastanawiać się, jak uniknąć lokalnych podtopień, które po nawałnicy letnich opadów zdarzają się właściwie co roku w każdym dużym mieście. Zaczynamy rozmawiać o zieleni miejskiej w kontekście wysp ciepła, jakimi stają się duże metropolie, gdzie latem temperatura bywa wyższa nawet o dwa stopnie niż poza miastami. Obserwuję, jak powstaje w ten sposób nowe społeczne imaginarium, zbiór wyobrażeń o tym, jak wygląda i jak powinna wyglądać nasza koegzystencja oraz sposoby rozwiązywania problemów. To taka zbiorowa odpowiedź na big data, narzędzie stworzone dla nie-licznych, żeby mogli za jego pomocą manipulować masami.

Problem w tym, że biznes w ostatnich latach zrobił wiele, by utrudnić zwykłym ludziom trzeźwy osąd rzeczywistości. A teraz ma z nimi budować sieć partnerskich powiązań? Jak miałby to robić np. Apple,

którego twórca mawiał, że klienci nie wiedzą, czego chcą?

Tu największym problemem jest to, że od dawna za dużo mówimy o ludziach w roli konsumentów. A to tylko jedna z wielu ról, w które się wcielamy, powiedziałbym zresztą, że nie najważniejsza. Jeśli społeczeństwo utożsamimy wyłącznie z rynkiem zbytu, a współobywateli z konsumentami, przestrzeń dla firmy, która ma poszukiwać swojej tożsamości, faktycznie skurczy się w sposób drastyczny. Dlatego tak ważne jest zrozumienie, że jednym z najważniejszych zasobów firmy są ludzie. Ci wewnątrz, których wiedza pozwala tworzyć nowe produkty i usługi, oraz ci na zewnątrz, czyli podwykonawcy, klienci, a nawet ci niekorzystający z jej usług, ale po prostu mieszkający opodal. Jeśli ich oszukujesz, okradasz, trujesz lub w inny sposób działasz na ich niekorzyść, to znaczy, że nie doceniasz znaczenia tego zasobu. A bez dobrego rozeznania własnych zasobów można najwyżej trwać. Rozwój jest niemożliwy.

© Rozmawiał MAREK RABIJ

JERZY HAUSNER jest ekonomistą, od lat pracuje na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie. W latach 2001–2005 był posłem na Sejm IV kadencji oraz ministrem gospodarki i pracy w rządach Leszka Millera i Marka Belki. Zasiadał też w Radzie Polityki Pieniężnej w latach 2010–2016. Współtwórca Open Eyes Economy Summit.

PARTNERZY OPEN EYES ECONOMY SUMMIT 2019 / 19-20 LISTOPADA, ICE KRAKÓW, www.oees.pl

MIASTO GOSPODARZ



PARTNER GŁÓWNY



WSPÓŁORGANIZATORZY



SPONSORZY STRATEGICZNI



SPONSORZY WSPIERAJĄCY



GŁÓWNI PATRONI MEDIALNI



PARTNERZY



POWERED BY



ORGANIZATOR



Gra z sumą zero

TOMASZ NIEMIEC

**A gdyby po prostu, bez tanich usprawiedliwień,
przestawić codzienność w tryb, w którym radość z kupowania
można zastąpić wolnością od zakupów?
Po kilkunastu takich dniach wiem już, że to trudne
– ale wykonalne.**

Zacząłem się od tego, że na warszawskim Mokotowie – a przynajmniej w tej jego części, gdzie mieszkamy – na prawie miesiąc zniknęły kontenery na segregowane odpady. Sąsiad twierdził, że firma, która dotychczas wywoziła śmieci, nie sprawdzała się i miasto postanowiło podpisać umowę z inną. Przetarg musiał jednak iść jak po grudzie, bo przez dłuższy czas nie mieliśmy gdzie wyrzucać kartonów po sokach, plastikowych i szklanych butelek czy pudełek z tektury. Zabrakło nawet brązowych pojemników na bioodpady. Część mieszkańców bloku niewiele sobie z tego robiła i wszystko upychała po prostu do jedynych dostępnych kontenerów na odpady zmieszane. Nie pochwalałem, ale też nie dziwiłem się szczególnie. Wiadomo, że choćby rencista o kuli z naprzeciwnika czy małżeństwo emerytów z góry nie będą wozili tramwajem worków z posegregowanymi śmieciami, by wyrzucić je tam, gdzie wciąż jeszcze stoją kolorowe pojemniki.

Co innego my, małżeństwo pracujących czterdziestolatków z dwójką nastoletnich dzieci, bez poważniejszych problemów zdrowotnych, do tego zmotoryzowani.

Parę razy zapakowałem worki do auta i wyrzuciłem kilka przecnic dalej do pojemników do segregowania. Za każdym razem w innym miejscu, bo podrzucanie śmieci mimo okoliczności wydawało mi się mało taktowne. Kursowałbym tak pewnie jeszcze długo, gdyby pewnego wieczora, podczas ostrzejszego hamowania, zawartość worka z gromadzonymi od kilku dni bioodpadami nie wysypała mi się (a właściwie – nie wlała) do bagażnika. Szorując do późnej nocy lepkie, śmierdzące pozostałości, przyrzekłem sobie solennie, że nigdy więcej.

Pozostawały dwa wyjścia: wyrzucić wszystko jak leci do zmieszanych albo... przestać produkować śmieci. Gdy jednak nieśmiało zaproponowałem, by – tylko do czasu powrotu kontenerów – zarzucić segregowanie, trzynastoletnia córka spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakim w kuluarach szczytu klimatycznego ONZ Greta Thunberg przeszywała Donalda Trumpa. Pozostawał wariant numer dwa. I tak oto wkroczyliśmy we czwórkę na wyboistą ścieżkę zero waste.

Dzień 1

W ograniczaniu zakupów nie byliśmy, prawdę powiedziawszy, debiutantami. Wcześniej już kilka razy, z różnymi efektami, próbowaliśmy zmieniać nawyki zakupowe w stronę mniej kompulsywnych. W zeszłym roku żona zaordynowała, by w sobotę wyruszać do sklepów z listą potrzebnych produktów i bez kart płatniczych, bo nic tak nie studzi fantazji przy kasie jak odliczone pieniądze. Nie chodziło tylko o oszczędności; od dawna mieliśmy poczucie, że kupujemy więcej, niż potrzebujemy. Co kilka dni opróżnialiśmy lodówkę z jedzenia, które dzieci omijały ze wstętem w poszukiwaniu świeższych serów czy bardziej jędrnych pomidorów. W zakamarkach pokoiw dziecięcych wały się nadal, jak wyrzut sumienia, nieodpakowane gry i plastikowe zabawki, którym nasza progenitura nie zechciała przed laty poświęcić nawet chwili uwagi.

Tym razem największym (objętościowo) problemem również był plastik i kartony, które – jak chyba w każdym polskim domu – pod koniec każdego dnia beczelnie panoszyły się już w szafce pod zlewem. Dawno zrezygnowaliśmy ze słodzonych napoiów gazowanych, a wodę mineralną zastąpiliśmy kranówką, ale codziennie wypijaliśmy około 2-3 litrów so-



ków owocowych sprzedawanych w kartonowych opakowaniach lub plastikowych butelkach. Rozwiązanie problemu podsunęła nieoczekiwanie teściowa, przywołując starą, ale sprawną sokowirówkę. Był sok, zniknęły za to kartony. Syn narzekał wprawdzie, że mętny i smakuje „dziwnie”, ostatecznie uległ jednak argumentom starszej o dwa lata siostry. Mam nadzieję, że z czasem się przyzwyczai.

Dzień 2

Skórki z pomarańczy, które wycisnęliśmy wczoraj, wrzuciłem nie do worka, ale luzem do małego wiaderka (stojącego, oczywiście, pod zlewem). Tam powędrowały też resztki po jabłkach, z których również zrobiliśmy sok, woreczki po herbacie ekspresowej (ale bez sznureczków), plasterki wyciśniętej cytryny i skórki po bananach. Co z tym wszystkim zrobimy, gdy wiaderko będzie pełne? Wrzucimy do minikompostownika!

Dzień 3

Wiaderko z bioodpadami wypełnia się przeraźliwie szybko, a kompostownika nadal nie mamy. W przydomowym ogródku to fajna rzecz, jednak gdy mieszka się w bloku – pozostaje bal-



G. RONALD LOPEZ / ZUMA PRESS / FORUM

kon. Kompostownik urzędę w starej skrzynce, która od lat leży w piwnicy: trochę ziemi na dno, warstwa bioodpadków i znowu ziemia. Tak przynajmniej podpowiada internet.

Zabawne: gdy wchodzę do sklepu, zastanawiam się, czego nie kupić.

Dziś na przykład nie kupiłem ziemniaków w plastikowej siatce. Wybrałem za to kilkanaście większych sztuk ze skrzynki, w których ziemniaki leżą luzem. Brudniejszych, ale tańszych o prawie 20 proc. Nie kupiłem też nawilżanych chusteczek do sprzątania. Przypomniałem sobie, że zgodnie z ideą *zero waste* lepiej stosować sprzęty wielokrotnego użytku. Ściereczki do kurzy w domu mamy. Będziemy je po prostu częściej prać. Nie muszę już chyba dodawać, że nie kupiłem też jednorazowej torby. Na zakupy od dawna staram się chodzić z własną, bawełnianą. Zawdzięcza to córce, która za każdym razem, gdy się zapomnę i muszę spakować zakupy w sklepową foliówkę, obciąża mnie domową grzywną w wysokości 20 zł.

Dzień 4

Dziś mecz! A jak piłka, to też piwo. Po ostatnim, oglądanym z kolegami, wy-

niosłem do śmietnika osiem puszek. Ale wtedy stał tam jeszcze kontener. Dzisiaj kupię więc piwo w butelkach zwrotnych. Postanowiłem też, że tym razem wybiorę produkt wytwarzany w browarze, gdzieś w okolicy. Najbardziej smakują mi wprowadzicie czeskie lagery, ale bądźmy szczerzy: ściąganie piwa z innego kraju, gdy pod nosiem ma się nie gorsze, to – jak mawiał kawaler de Talleyrand: „gorzej, niż zbrodnia – to błąd”.

Żona nie przepada za piwem. Woli wino, najchętniej białe półwytrawne. Na Węgrzech, jak ostatnio wyczytałem, pewna duża sieć handlowa skupuje butelki po winie. U nas szkło po winie ląduje w śmietniku. Za to niedawno natknąłem się w naszej okolicy na sklep, w którym sprzedają włoskie wina lane z beczki. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, by tam zajrzeć, wygodniej było wziąć zakorkowaną flaszkę z półki w sklepie. Kolejny błąd, ale dziś wieczorem go naprawię.

Dzień 5

O meczu wolę zapomnieć, ale to włoskie *verdicchio* po 17 zł za litr na stałe włączamy do listy zakupów. Dziś wprowadzicie niedziela niehandlowa. Na śniadanie bę-

dzie jednak świeże pieczywo. W każdym razie smakuje tak samo jak świeże, choć kupiliśmy je przed kilkoma dniami i zaraz potem zamroziliśmy. A, zapomniałem dodać, że wczoraj do meczu zjadaliśmy własnoręcznie zrobione chipsy z ziemniaczanych... obierek. Inne niż te z paczek, bo mniej tłuste. Spodziewałem się, że w smaku będą gorsze. Najgorsi byli zresztą piłkarze. Kolejna warstwa organicznych resztek wylądowała w kompostowniku. Wcześniej nie było ich aż tyle? Miejsca wystarczy jeszcze tylko na jedną. A co potem? Drugi kompostownik? Gdzie go postawić?

Dzień 6

Rewolucja *zero waste* pożera mi dzieci. Córka rozstaje się ze sklepowym żelalem pod prysznic! Będzie go robić sama w oparciu o recepturę z internetu. Mamy obawy, dlatego zaproponowaliśmy jej, by przygodę z chemią zaczęła od wytworzenia płynu do mycia naczyń.

Syn wyrósł z kolei z ulubionej bluzy. Na długość byłaby jeszcze dobra, dyskwaliifikują ją tylko rękawy. Poza tym to dobrej jakości bawełna. Żona pół dnia straciła na poszukiwanie krawcowej, która nie ma zadatków na dyktatora mody. W końcu się udało. 70 zł za obcięcie rękawów i obłożenie materiału przy ramionach. W tej cenie kupiłbym dwa nowe T-shirty w sieciówce, ale nie o oszczędność idzie przecież w naszym teście. W weekend przeglądnę swoją szafę. Z pewnością znajdę tam coś, co nadaje się do podobnej przeróbki i ma szansę zyskać drugą młodość. Wizyta u szewca przydałaby się także siedemnastu parom butów, które wciąż leżą w pawlaczu czekając na wymianę fleków, nowy obcas lub podzelowanie. Tylko gdzie to zrobić? W zakładzie legendarnego warszawskiego Kielmana, u którego swego czasu zamawiał buty na miarę Andrzej Lepper? Obawiam się, że w tym przypadku *zero waste* będzie oznaczać zbyt wiele zer. Na rachunku.

Dzień 7

Okazuje się, że zamrażalnik mamy o wiele pojemniejszy, niż nam się dotąd wydawało.

Mrozimy chleb, ciasto, mięsa i wędliny, nawet warzywa – wszystko, czego nie zdołamy zjeść na bieżąco. Wzmrożona eksploatacja już dała o sobie znać, pękły drzwiczki do jednej z komór. Kiedyś →

→ byłby to powód do wymiany lodówki, teraz postanowiłem spróbować ją naprawić. Zobaczmy, jak długo będzie trzymać klej.

Dzień 8

Mamy drugi minikompostownik. Stoi na tym pierwszym. Trzeba było też dokupić ziemi ogrodowej. Plastikowe torby po niej wykorzystujemy jako worki na odpady zmieszane. Są mniejsze niż tradycyjne, ale i śmieci produkujemy chyba trochę mniej niż kiedyś.

Papier toaletowy na szczęście można już kupić taki jak za PRL, z makulatury, szary, w wielkich rolkach i niezapakowany w folię. Kosztuje prawie 3 zł za sztukę, ale cztery rolki wystarczają nam na ponad tydzień.

Co do śmieci, podobno warto dążyć do tego, by rocznie produkować ich tylko tyle, ile mieści się w... słoiku. Tak przynajmniej twierdzą internetowi guru *zero waste*. Na tym etapie wydaje się nam to niewykonalne.

Dzień 9

Klej trzymał krótko. Lodówka znowu nie ma jednych wewnętrznych drzwi-czek i klamki. O dziwo wciąż działa bez zarzutu i zaczynamy się przyzwyczajać do tego stanu rzeczy. Chyba jeszcze u nas trochę postoji.

Dzień 10

Nocą wiatr przewrócił górny kompostownik i jego zawartość (szczęśliwie był wypełniony tylko w połowie) wysypała się na balkon, a część wybrała się nawet z wizytą do sąsiada piętro niżej. Trzeba coś jednak zrobić z tym domowym kompostem. Chyba nawiozę nim dziś pod osłoną nocy sąsiedni park.

Dzień 11

To jakiś bunt maszyn? Kilka dni temu lodówka, a teraz pralka. Nagle, oczywiście w trakcie prania, odmówiła współpracy. Śmierć kliniczna w wieku czterech lat. Oczywiście siadł

programator, tak skonstruowany i zamontowany, że nie ma sensu go wymienić. Kosztowałoby to prawie tyle samo, ile zakup nowej pralki podobnej klasy. A ta – jak zapewniał producent – miała nam służyć przez minimum dekadę i kosztowała tyle, ile dwie zwykłe. Jak tu być *zero waste*?

Czeka nas zakup nowej. W Holandii działa firma, która wynajmuje pralki. Podpisuje się umowę, dostaje do domu urządzenie, dostawca bierze na siebie wszelkie naprawy i nawet dowozi proszek, który jest w cenie wypożyczenia. Jedno pranie kosztuje podobno 4 euro, a pralki podobno są tak zmontowane, że mogą działać latami.

„Podobno” nasz ekologiczny płyn do zmywarki, który kupiliśmy w plastikowej butelce, można też uzupełniać z dużej ekopak. Podobno – bo od dawna próbuję kupić tę ekopakę, ale w sklepie są jedynie płyny w półlitrowych butelkach. Nie kupuję. Nie będę mnożyć w domu plastików.

Dzień 12

Nareszcie! Pod blokiem stanęły nowe, kolorowe kontenery na posegregowane odpady.

Moglibyśmy już wrócić do starych nawyków, ale nie wrócimy, przynajmniej nie w pełni. To raptem kilka dni, ale inaczej oceniamy domowe potrzeby. Chyba zaczynamy dostrzegać różnicę między zaspokajaniem potrzeb a poszukiwaniem pretekstu, by pójść na zakupy. Poza tym zasmakowaliśmy w świeżo wyciskanym soku, a ja także w lokalnym piwie. Zaczęliśmy doceniać również to, że ubrań można dać drugie życie. Przekonaliśmy się jednak i o tym, że w polskich warunkach ortodoksyjne wdrażanie idei *zero waste* jest arcytrudne, jeśli nie niemożliwe. Nie dam się już chyba namówić na kupno droższego sprzętu, który będzie służył przez dekady.

No i nikt mnie więcej nie namówi na kompostownik na balkonie!

© TOMASZ NIEMIEC

Drzewa i ludzie

MAREK RABIJ

Nic lepiej nie ilustruje absurdu polityki klimatycznej od reklamy banku, który obiecuje w niej, że za każdą nową pożyczkę posadzi drzewo.

Ustrój kapitalistyczny znalazł się w potrzasku. (...) Istnieje powszechne przekonanie, że firmy prosperują kosztem większych społeczności. Co gorsza, im więcej firm zaczyna przyswajać sobie ideę społecznej odpowiedzialności, tym bardziej obwinia się je o społeczne zaniedbania. Poparcie społeczeństw dla biznesu spadło do poziomów nienotowanych w najnowszej historii.

Powyższy fragment nie pochodzi z wystąpienia alterglobalisty ani radykalnego działacza związkowego. Autorzy, Michael Porter i Mark Kramer, są cenionymi ekonomistami związanymi z uniwersytetem Harvarda, bo tak się składa, że najostrzejsza krytyka współczesnego neoliberalnego kapitalizmu wychodzi obecnie właśnie spod piór ekonomistów. Opinia publiczna, przyzwyczajona do tego, że katedry ekonomii na całym świecie przez dekady dostarczały raczej paliwa do rakiet globalizacji, monetaryzmu i konsumpcjonizmu, niż namysłu nad społeczną odpowiedzialnością biznesu, ze zdziwieniem śledzi tę przemianę; czasem żąda wręcz od ekonomistów publicznego przyznania się do naiwnej wiary w rynek, który uregułuje wszystko.

Kupuję, więc jestem

Problem w tym, że cena tej pomyłki – jeśli neoliberalizm ostatnich dekad potraktować rzeczywiście jako błąd systemu – okazała się wysoka. Rachunek tym razem wystawili klimatolodzy, pokazując kolegom od ekonomii, że pomysł na gospodarkę, która będzie rosłać nieprzerwanie dzięki konsumpcji, zaowocował wyspami plastiku pośrodku oceanów oraz jednym z największych i do tego najszybciej zachodzących spadków bio-

różnorodności, aż wreszcie uderzył rykoszetem w gatunek, który do tej pory sam siebie uważał na planecie Ziemia za niezastępowalny – w ludzi. Ratunek jest jeszcze możliwy, o ile przedstawiciele *Homo sapiens* (ściślej – jakieś 1,5 mld bogatych i zadowolonych z siebie mieszkańców krajów rozwiniętych) poważnie potraktują przestroę i radykalnie ograniczą apetyt na nowe ubrania, samochody, domy czy elektroniczne gadzety. Słowem – na wszystko, bez czego obecnie nie wyobrażają sobie codzienności, skutecznie wbici w to przekonanie przez wielki biznes.

Przeciętny konsument słucha tej opowieści o nadchodzącej katastrofie z nieufnością, nawet z lekceważeniem. Wdrożenie się w nowy rytm, całkowicie niezgodny z dotychczasowym „kupuję, więc jestem”, wydaje się przecież nienaturalne. Odpowiedzialna korporacja mogłaby powiedzieć: stop. Ale nie mówi. Woli półśrodki, markowanie działań proekologicznych i *business as usual*. Jeden z banków właśnie kusi w reklamie „ekopożyczką” na cele konsumpcyjne, obiecując klientowi, że w zamian za podpis złożony pod każdą nową umową, na przykład na zakup nowej ekopralki, posadzi jedno drzewo. Bankowa sadzonka, jak każde drzewo, będzie pochłaniać CO₂ w średnim tempie około tony na każdy metr przyrostu, absorpcja 10 ton zajmie mu więc kilka-kilkanaście lat. Pełny proces produkcji pralki uwolni tymczasem do atmosfery jakieś 14 ton CO₂, a kolejne urządzenie – to średnie dane dla Europy – będzie potrzebne klientowi banku już za niecałe 11 lat.

Co cię zabija, to nie wzmocni

Trudno o lepszy przykład pułapki, w której utknęła walka z globalnym ociepleniem sprowadzona do metod czysto wolnorynkowych. Miejsce kar zajęły ceny. Sankcją za wycięcie starego drzewa stała

się np. opłata administracyjna, jak gdyby za wpłacone pieniądze dało się odkupić drzewo tej samej wielkości w jakimś Sklepie z Drzewami Używanymi.

Nawet zanieczyszczanie atmosfery przekształcono w produkt, który można sobie sprawić w pełni legalnie, bo na międzynarodowym rynku praw do emisji CO₂. System certyfikatów, który w założeniu miał sprzyjać ograniczaniu produkcji dwutlenku węgla (wolny rynek miał sprawić, że najwięksi truciele tracą konkurencyjność i wypadną przez to z gry), nieoczekiwanie zaczął działać na korzyść tychże trucielei. Owszem, certyfikaty emisji kosztują krocie, ale są też biletem wstępu do szczęśliwego świata, w którym nie trzeba inwestować w nowe, czyste technologie energetyczne, za to można bezkarnie zwiększać moce produkcyjne i wykańczać konkurentów efektem skali. Przykład Chin, największego truciciela na świecie, pokazuje, że chętnych do takiego przeskakowania na skróty nad palącymi problemami cywilizacyjnymi wcale nie brakuje.

Sledząc gusła, jakie nad dekarbonizacją gospodarki odprawiają politycy (z suflującymi im lobbystami wielkiego przemysłu), można wręcz dojść do wniosku, że w całej tej grze nie chodzi już o to, żeby zmniejszyć emisję CO₂ do atmosfery i w ten sposób powstrzymać dalszy wzrost średniej globalnej temperatury do krytycznych pułapów wskazanych przez naukowców. Gdyby tak rzeczywiście było, Rosja, Arabia Saudyjska, USA i Kuwejt – najwięksi producenci ropy naftowej – podczas niedawnego szczytu klimatycznego w Bonn nie podważałiby przecież wiarygodności wyników najnowszych badań międzynarodowego panelu klimatycznego IPCC. Również Berlin nie podtrzymywałby przy życiu energetyki węglowej, która sprawia, że to nowoczesne i zamożne Niemcy są obecnie największym emitentem CO₂ w Unii Euro-

pejskiej. A tym bardziej nie odchodziłby – zamiast od węgla – od energetyki jądrowej, zwalając winę na wysokie koszty obecności atomu w nowoczesnym miksie energetycznym, w którym coraz większe znaczenie mają źródła odnawialne. W rzeczywistości, jak twierdzą analitycy dobrze zaznajomieni z układem sił na podwórku unijnej gospodarki, Niemcy stawiają wszystko na technologii odnawialnej, aby uczynić je poważną rynkową alternatywą dla oferty francuskiego przemysłu nuklearnego. Oczywiście, gdzieś na końcu tego rachunku znajduje się także pozycja opisana jako „ekologia” i od biedy można by dojść do wniosku, że nic złego nie stanie się, jeśli i tym razem argumenty ekonomiczne zyskają pierwszeństwo nad klimatycznymi. Głosy ekspertów od dawna przemawiają przecież do politycznej wyobraźni o wiele słabiej niż prognozy wzrostu PKB, któremu może chwilowo zaszkodzić transformacja energetyczna. Tym razem nie mamy jednak takiego komfortu. Czas ucieka.

Największym paradoksem tej sytuacji jest zaś fakt, że wszystkiemu winny być zdaje się pośpiech. Serce wielkiego biznesu bije wciąż w cyklu kwartalnych raportów finansowych. Z tej perspektywy można po prostu nie chcieć dostrzec więcej niż premię kwartalną dla zarządzających. Pokusa, by trudne (czytaj – kosztowne) decyzje przełożyć na inny okres rozrachunkowy, a najlepiej na kadencję kolejnego zarządu, jest zbyt silna.

Łatwo nawet zapomnieć, że obecny kryzys klimatyczny można było przewidzieć, sięgając po neoliberalne rudymenta, jakimi są prace Hymana Minsky'ego. Amerykański badacz zgłębiając istotę baniek spekulacyjnych wskazał na punkt, którego przekroczenie skutkuje gwałtownym załamaniem. Jeśli chodzi o spekulację zasobem, jakim jest klimat, jesteśmy niebezpiecznie blisko momentu Minsky'ego. © P

SPOŁECZNA CZASOPRZESTRZEŃ GOSPODAROWANIA

Jak pogodzić rozwój firm z rozwojem społeczeństwa?
Odpowiedź w nowej książce prof. Jerzego Hausnera.



UKRYTE MYŚLI ROBOTA

Wszyscy wiedzą, że można zbudować robota, który sprząta. Czy można jednak zbudować takiego, który nie tylko posprząta, ale także o tym pomyśli?

KRYSTYNA BIELECKA, MARCIN MIŁKOWSKI

WSPÓŁCZESNE ROBOTA SPRZĄTAJĄCE w większości opierają się na koncepcji robotyki behawioralnej, promowanej przez Rodneya Brooksa od lat 80. XX w. Te roboty po prostu przemieszczają się po podłodze, reagując na przeszkody zmianą toru swojej trasy. Nie analizują danych z sensorów, by potem planować działanie. Nie muszą posiadać centrali podejmującej decyzje, a jedynie wiele warstw sterujących, które reagują na różnego rodzaju zmiany otoczenia (odbicie od ściany, utknięcie kółek robota na zbyt wysokim stopniu).

Brooks promował takie podejście w opozycji do powolnych robotów działających w sztucznym środowisku. Takim robotem był np. Shakey, który poruszał się w świecie klocków. Umiał je opisywać i nawet przestawiać w odpowiedzi na polecenia w uproszczonym języku angielskim. Problem w tym, że bez sztucznie wyolbrzymionych krawędzi i jaskrawych kolorów Shakey się gubił.

Roboty Brooksa, mówiąc językiem bardziej technicznym, mają działać w naszym zwyczajnym otoczeniu bez reprezentacji poznawczych, a jedynie reagując na zmiany w otoczeniu. Zamiast reprezentacji – wykorzystywanych w myśleniu struktur poznawczych, będących jakimś odbiciem odbieranej rzeczywistości – robotowi wystarczy próbkowanie stanu otoczenia. Może więc po prostu krążyć po

podłodze, aż natknie się na przeszkodę, którą może wykryć, gdy w wyniku zderzenia z nią zewrze się styk ukryty w jego obudowie. Brooks podsumowuje to tezę, że świat dla tego robota jest swoim najlepszym modelem.

Koncepcja Brooksa stoi jednak na antypodach tego, co większość kognitywistów uważa za kluczowe dla procesów poznawczych – inteligencja ma pojawiać się, wedle niego, bez reprezentacji. Być może robot sprzątający ich nie potrzebuje, ale krytycy dawno wskazali, że samo próbkowanie otoczenia na nic się nie zda, gdy chcemy na przykład pomyśleć o wszystkich samochodach, których cena spadła w ostatnich dwóch tygodniach. Pomijając te, które uczestniczyły w wypadkach, cała reszta może nie mieć żadnych innych wspólnych cech wykrywalnych zmysłowo. Trudno też sobie wyobrazić, że taki robot będzie w stanie zagrać w szachy, a nawet zaplanować sprzątanie w sposób bardziej systematyczny.

Czego jednak brakuje prostym sprzątaczkom? Zauważmy, że odbijający się od krzesła robot Brooksa nie może pomyśleć o prezentach od Dziadka Mroza, a my możemy, chociaż ten ostatni jego-śmość nie istnieje. Nie może też uczyć się sprzątać coraz lepiej, zauważając na przykład, że jego właściciel często brudzi podłogę kawą blisko lodówki.



KYODO NEWS / GETTY IMAGES

Zagadka intencjonalności

W XIX w. do filozofii, a potem do innych gałęzi nauki powróciło średniowieczne pojęcie „intencjonalności”. Stało się to za sprawą Franza Brentana, który sądził, że tylko psychika jest w stanie odnosić się do czegoś innego niż ona sama (to właśnie oznacza intencjonalność). Takie odniesienie, nawet do fikcji, miało być charakterystyczne dla psychiki – i odróżniać ją od świata fizycznego.

Dzisiaj w ten pomysł Brentana – oddzielenia psychiki od fizyki za sprawą intencjonalności – niewielu wierzy. Jest tak z kilku powodów. Po pierwsze, są stany psychiczne, które do niczego się nie odnoszą – a przynajmniej sądzimy tak o niektórych stanach emocjonalnych. Głęboka depresja nie jest „na temat” świata. Rozdrażnienie może mieć przyczynę, ale niekoniecznie jakiś przedmiot, w odróżnieniu od wyobrażeń – które zawsze są



W jednej z kawiarni w Tokio można zostać obsłużonym przez robota. Nie są one jednak autonomiczne – zdalnie kontrolują je ze swoich domów osoby niepełnosprawne ruchowo.

o czymś. Po drugie, istnieją znaki naturalne, takie jak słoje w drewnie czy zamarzanie wody w kałuży, które wskazują odpowiednio na wiek drzewa czy spadek temperatury powietrza poniżej zera. A przecież kałuże czy słoje w drewnie nie myślą. Po trzecie zaś, marzenie o oddzieleniu psychiki od świata fizycznego jest dla współczesnej nauki dosyć obce. Staramy się w końcu zrozumieć, jak to możliwe, że fizyczny umysł jest intencjonalny.

Jednak nie jest wcale oczywiste, co trzeba by zamontować w robocie, żeby stał się intencjonalny. Jeśli główny nurt kognitywistyki słusznie postrzega procesy poznawcze zwierząt i ludzi w kategoriach przetwarzania reprezentacji poznawczych, to nie powinno być to niemożliwe. Pytanie tylko, jak to zrobić.

Reprezentacje poznawcze wymagają istnienia pewnych fizycznych nośników: podobnie słoje w drewnie nie zaistnieją

bez drewna. Musi być jakieś fizyczne podłoże: w robocie oczywiście będą to struktury danych, wykorzystywane do wykonywania operacji obliczeniowych (roboty Brooksa są przecież nafaszerowane sterującą elektroniką). To jednak za mało, aby powstała reprezentacja czegokolwiek: nawet jeśli na zmiany stanu tego nośnika coś reaguje, to ten nośnik musi cechować się intencjonalnością. Musi być o czymś.

Pisane przeze mnie teraz znaki alfabetu łacińskiego składają się w zdania, które są o czymś. Ale tylko dzięki mnie oraz czytającym je osobom. Same z siebie jeszcze nic nie znaczą. Pismo to jednak system znaków konwencjonalnych, które możemy dobierać dowolnie i zmieniać. A co z myśleniem?

Ponieważ to my tworzymy robota, moglibyśmy wyposażyć go w taki alfabet i go interpretować. Robot rysowałby literkę A, a nawet zdanie „Ala ma kota”, ale nie wie-

działby, że pisze o Ali i jej kocie. To się nadal niespecjalnie różni od napisania czegoś przez nas na kartce. Sama kartka nic nie wie. Nasze zadanie jest trudniejsze: co zrobić, żeby robot wiedział, co myśli?

Gwizdek w czajniku

Warto znowu wrócić do słoików w drewnie, bo one nie mają psychicznej natury, a jednak coś znaczą – bo coś wskazują. Teoretycy informacji semantycznej, tacy jak amerykański filozof Fred Dretske, uważają, że takie naturalne wskaźniki to znakomity punkt wyjścia dla teorii znaczenia reprezentacji poznawczych. Może impulsy w sieciach nerwowych właśnie przypominają wskaźniki?

Zadanie nam się upraszcza, ale musimy jeszcze powiedzieć, dzięki czemu coś jest wskaźnikiem. Dretske ma prostą odpowiedź: odpowiedni sygnał odbieramy jako wskaźnik pewnej własności, jeśli →

→ pojawienie się tego sygnału w momencie wystąpienia tej własności jest pewne. Mówiąc inaczej, istnieje jakiś bardzo silny związek między sygnałem a tą własnością. Może to być np. prawo przyrody; to dlatego przecież woda w kałuży zamarza.

Takie wskaźniki na pewno są już w robocie Brooksa. Przecież odbija się on od przeszkód, bo ma sensory, a te sensory wskazują obecność przeszkód. Żeby robot myślał o sprzątaniu, musiałby mieć wskaźnik sprzątania. To mógłby być po prostu wskaźnik uruchomienia robota: skoro jest włączony, to sprząta, a świecąca dioda podczas sprzątania wskazuje, że robot myśli o sprzątaniu. Zrobione!

Czyżby? A może robot myśli o tym, że jest włączony? I czy ta świecąca dioda wpływa na cokolwiek w samym robocie, czy jest też niczym gwizdek w czajniku, który nie powoduje gotowania wody, lecz go tylko sygnalizuje?

Informacja semantyczna

Problem wcale nie jest banalny. Nawet gdyby do sensorów robota dodać kamerę, to wcale nam to nie pomoże. Jasne, zdjęcie zapisze się w jego elektronice, a to zdjęcie będzie opisywać strukturę otoczenia (w zakresie fal widzialnych). Takie reprezentacje kognitywiści nazywają „analogicznymi” lub „strukturalnymi”, bo opisują one strukturę rzeczywistości – do ich zaistnienia wymagany jest nie tyle bardzo silny związek sygnału z tym, co ten sygnał wskazuje, ile podobieństwo struktury sygnału do tego, co on opisuje.

Czy wyjdziemy więc od wskazywania, czy od podobieństwa, problem jest ten sam: jak sprawić, żeby robot mógł sam z siebie korzystać z informacji dostarczanej mu przez sensory, a także wytwarzać nowe stany informacyjne na jakiś temat. Informację, którą możemy opisać nie tylko ilościowo (co czyni się w matematycznej teorii komunikacji Claude’a Shannona), ale także pod względem jej znaczenia, nazywamy „semantyczną”. Taka informacja może być prawdziwa. Wskaźniki czy podobizny są nośnikami informacji semantycznej. Słowo w drzewie informują prawdziwie, ile lat ma drzewo, a dobre zdjęcie przestępcy informuje nas poprawnie, jak on wygląda.

Żeby jednak informacja semantyczna stała się reprezentacją poznawczą, musi być spełnionych więcej warunków. Przecież wbiec w robota palika z drewna (ze słojami!) nie spowoduje, że robot pozna

Spór o reprezentację

POJĘCIE REPREZENTACJI wywołuje w kognitywistyce ożywione dyskusje: jedna grupa badaczy twierdzi, że nasze teorie nie mogą się bez niego obejść, druga przekonuje, że w mózgach nic takiego nie występuje. Nawet jednak zwolennicy reprezentacji mogą znacznie różnić się poglądami. Jedni mówią, że reprezentacje to elementy abstrakcyjnego „języka myśli”. Inni, że to pojęcia języka naturalnego. Jeszcze inni mówią, że przypominają raczej obrazy. Są i tacy, którzy twierdzą, że istnieją w umyśle odrębne systemy przetwarzania reprezentacji językowych i wzrokowych, albo że umysł dysponuje wielomodalnymi reprezentacjami, budowanymi z danych napływających ze wszystkich zmysłów. Te dyskusje przekładają się na robotykę – konstruktorzy muszą zdecydować, czy i jakie reprezentacje najlepiej próbować zaszcześcić w sztucznych umysłach. Antyreprezentacjoniści na różne sposoby odrzucają te stanowiska, argumentując, że procesy poznawcze można lepiej wyjaśnić, gdy nie będziemy posługiwać się tak niejasnym terminem. Jednak idea reprezentacji jest naukowo płodna: wygenerowała mnóstwo badań i eksperymentów, które poszerzyły naszą wiedzę. Ich przeciwnicy nie mogą się jeszcze pochwalić takim osiągnięciem. © ŁK

wiek drzewa, choćby ten palik dokładnie to wskazywał. Robot nie może bowiem odpowiednio skorzystać z takiej informacji semantycznej. Współczesne teorie znaczenia mają za zadanie dokładnie opisać warunki, które muszą spełniać nośniki informacji semantycznej, byśmy uznali je za reprezentacje poznawcze.

Tam nie ma nektaru

Dominująca współcześnie w kognitywistyce teoria znaczenia wywodzi się z prac amerykańskiej filozofki Ruth Millikan. Filozofka określa ją mianem „teleosemantyki”, gdyż wymaga w niej, by nośniki informacji semantycznej miały odpowiednie funkcje, które technicznie określa się mianem „funkcji teleologicznych” (czyli celowych, gr. *telos* oznacza właśnie cel).

Warto wyjść od jednego z prostych przykładów systemów komunikacyjnych, jakim posługuje się Millikan. Karl

von Frisch (1886–1982), austriacki biolog, dostał w 1973 r. Nagrodę Nobla za opisanie systemu komunikacji pszczół: pszczoły powracające do ula wykonują w nim swoisty taniec, który jest komunikatem dla innych robotnic. Dzięki niemu mogą zlokalizować znaleziony przez inne pszczoły nektar i go zebrać. Badacze latami pogłębiali odkrycia von Frischa, które o tyle nie pozostawiają wątpliwości, że wystarczy podsunąć pszczolom posłodzoną wodę w odpowiednim miejscu, aby zauważyć, że powracające do ula pszczoły zmieniają swój taniec, a pozostałe szybko znajdują położenie słodkiej wody. Czyli można doskonale kontrolować ten system eksperymentalnie, nawet poza laboratorium.

Millikan zauważa, że te komunikaty mają nadawcę czy też wytwórcę – jest nim tańcząca pszczoła, a także odbiorców – pozostałe pszczoły. Co więcej, struktura tańca jest przez pszczoły modyfikowana w zależności od położenia nektaru (pszczoła wykona inne ruchy, gdy wróci w samo południe z łąki położonej na północ od ula, a inne, gdy wróci wieczorem z łąki położonej na południe), a więc istnieje pewna reguła pozwalająca określić znaczenie tego tańca.

System komunikacji pszczół, które w porównaniu do człowieka (choć może nie robota) są stosunkowo prostymi organizmami, ma kilka cech swoistych. Każdy komunikat należy do specyficznego repertuaru możliwych tańców; być może niektóre nigdy nie zostaną wykonane, bo nektaru w jakimś wybetonowanym miejscu nie ma. Komunikat jest wytwarzany przez pszczołę go nadającą i odbierany przez robotnice chcące polecieć do znalezionej nektaru. W tym sensie te robotnice używają sygnału nadanego przez tańczącą pszczołę, a więc interpretują go. Chociaż potencjalnie ten sygnał mógłby odpowiadać innym cechom rzeczywistości, to tu zostaje on jednoznacznie odebrany: może się zdarzyć, że najwięcej nektaru znajduje się tam, gdzie jest najlepsza gleba, a więc byłaby wątpliwość, czy pszczoły tańczą „na temat” gleby czy nektaru. Użycie sygnału rozwiewa jednak wątpliwości. A przy tym wszystkim system ten odgrywa ogromną rolę w przetrwaniu ula, a więc ma funkcję biologiczną, dzięki której pszczoły istnieją od milionów lat.

Na tym przykładzie widać, jakie elementy musimy dodać, aby robot naprawdę korzystał z informacji seman-

tycznej. Jego sensory (czy inne elementy) mogą generować sygnały, które powinny być wykorzystywane do modyfikacji działań robota; na tym polega użycie sygnału.

Co więcej, te sygnały powinny odgrywać istotną rolę w istnieniu robotów: muszą być wbudowane po to, aby roboty dalej mogły funkcjonować. Sama dioda informująca o włączeniu takiej funkcji nie ma. Co innego, gdyby monitorowanie procesu sprzątania służyło do przewidywania czasu wyczerpania akumulatora i planowania przyjazdu do stacji ładującej. Tego typu rozwiązanie mogłoby być funkcjonalne, gdyż takie roboty byłyby trwalsze (ze względu na żywotność systemu zasilania).

Ale nadal można mieć wątpliwość. Kiedy robot naprawdę wykorzystuje sygnał dotyczący sprzątania? Albo inaczej – czy gdyby do ula wleciał miniaturowy robot o kształcie pszczoły, wykonujący specjalnie mylący taniec, to czy inne pszczoły zorientowałyby się, że ten taniec jest błędny? Może więc jednak czegoś jeszcze brakuje w tym systemie: wrażliwości na trafność czy też prawdziwość reprezentacji.

Sukces i prawda

Z jednej strony, nie sposób inaczej wyjaśnić, jak pszczoły dostają się do nektaru, niż tylko przez wskazanie, że ich tańce poprawnie wskazują lokalizację nektaru. Sukces działania pszczół zależy od tego, czy te tańce naprawdę wskazują nektar. Z drugiej strony, można mieć wątpliwości, czy zachowanie pszczół różni się od typowych taksji – czyli dążenia do pewnych typowych bodźców. Wiele gatunków roślin cechuje się fototaksją, czyli zwraca się w stronę większego nasłonecznienia. Mało kto uzna, że takie rośliny w ogóle reprezentują słońce czy światło. Po prostu na nie reagują. A pszczoły?

Gdyby pszczoły były w stanie w jakiś sposób zorientować się, że taniec niesie fałszywy komunikat, czyli jakoś go weryfikować, to trudno byłoby zaprzeczyć, iż jest on dla nich reprezentacją. Wtedy bowiem dopiero powiemy, że reprezentacja jest dostępna dla danego jej użytkownika, gdy ten ma dostęp do jej znaczenia – a więc przynajmniej czasem zna jej adekwatność czy trafność.

Sprawdzenie poprawności reprezentacji nie musi być bardzo trudne. Istnienie wielu zmysłów nie tylko zapewnia więcej źródeł informacji, ale także moż-

Przez dziesiątki lat
psychologowie i etologowie
musieli wywnioskowywać
istnienie reprezentacji
poznawczych na podstawie
zachowania.

**Teraz zaczynamy
je obserwować.**

liwość ich wzajemnego uspojniania. Podobnie pszczoły mogłyby weryfikować informację o nektarze: pszczoła-pijaczka, która opila się miodowego piwa i błędnie tańczy, mogłaby być ignorowana, gdyby inne pszczoły przylatywały do ula z sygnałem: tam brak nektaru! Wówczas taniec nie wyzwałaby po prostu reakcji, tylko traktowany byłby jako nośnik informacji do sprawdzenia.

Wiele wskazuje na to, że organizmy biologiczne korzystają z takich mechanizmów, opierających się na uspojnianiu informacji semantycznych. Wiemy, że można na przykład skłonić zeberki, ptaki śpiewające, które uczą się jednej melodii na całe życie, do fałszowania, jeśli będą słyszeć swój zniekształcony śpiew. Wtedy zeberka stara się „poprawić” i w konsekwencji śpiewa niepoprawnie. Świadczy to o tym, że sprawdza, czy rezultaty jej działań są spójne z oczekiwaniami i na podstawie tych porównań uczy się lepiej śpiewać. Robi to nawet we śnie (co zaobserwowano eksperymentalnie).

A więc gdybyśmy mieli zainstalować reprezentację w robocie, to musiałby mieć podobny mechanizm: pewne jego działania powinny zależeć od poprawności tej reprezentacji, ale oprócz tego powinien on ją weryfikować, np. korzystając z innego, niezależnego sensora czy struktur danych przechowywanych już wcześniej w pamięci.

Mamy już wstępny przepis na intencjonalność w robocie: nie wystarczy, żeby miał czujniki czy żeby zmieniały one jego działanie. Musi istnieć też bardziej wyrafinowany sposób korzystania z tych czujników – taki sposób, który w dodatku został w jakimś celu wbudowany w robota. Musi on mieć bowiem istotną funkcję, żebyśmy mogli wyjaśnić skuteczne działanie naszego robota.

Z powrotem do biologii

Nasz eksperyment myślowy z robotem ma tę przewagę nad badaniem żywych organizmów, że od razu wiemy, co zmieniamy w jego strukturze. Nie zawsze możemy zrozumieć konsekwencje naszych decyzji, ale nie ma wątpliwości, że zmiany wprowadzamy – i zwykle możemy dokonać odpowiednich pomiarów.

Takiej pewności w przypadku organizmów (w tym ludzi) nie ma, bo obserwowanie ich, czy to w laboratorium, czy na wolności, zwykle nie pozwala na łatwe stwierdzenie, co jest w nich nośnikiem informacji. Przez dziesiątki lat psychologowie i etologowie musieli wywnioskowywać istnienie reprezentacji poznawczych na podstawie zachowania. To jednak zaczyna się powoli zmieniać, gdyż u wielu gatunków zwierząt możemy bezpośrednio podłączać elektrody do odpowiednich obszarów ich układów nerwowych (takie badania z powodów etycznych zwykle nie wchodzi w grę u ludzi).

Jak zauważają Eric Thomson i Gualtiero Piccinini, reprezentacje poznawcze w neurokognitywistyce przestały być przedmiotami teoretycznymi, czyli obiektami, które opisuje teoria, ale których się nie obserwuje. Są już przedmiotami obserwacyjnymi, gdyż nasza aparatura pomiarowa coraz lepiej je wykrywa. Jednak postęp w dyskusji nad reprezentacjami poznawczymi polega nie tyle na samej obserwacji, ile na zrozumieniu, na czym polega intencjonalność. Nie jest to duchowy klej łączący myśl z bytem, tylko skomplikowana cecha mechanizmów o strukturze przypominającej układ nadawca-odbiorca, jak w pszczeleli ulu. Chociaż nadal są sceptycy, którzy podważają założenie, że mogą istnieć niejęzykowe reprezentacje poznawcze, to ich wpływ na praktykę kognitywistyki czy psychologii jest coraz bardziej znikomy. Jest tak dlatego, że współczesna teleosemantyyczna teoria reprezentacji poznawczych jest już po prostu całkiem niezła.

© KRYSZYNA BIELECKA, MARCIN MIŁKOWSKI

KRYSZYNA BIELECKA pracuje w Instytucie Filozofii UW, jest autorką „Błądę więc jestem. Co to jest błędna reprezentacja” (WUW 2018).

MARCIN MIŁKOWSKI pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, opublikował m.in. „Explaining the computational mind” (MIT Press 2013).



Michał Milczarek w drodze do Koriacji, Kamczatka, grudzień 2015 r.

BYT SIĘ MROZI

MICHAŁ MILCZAREK:

Na Czukotce po rozpadzie ZSRR padł cały system zaopatrzenia.

Ludzie zostali dosłownie na lodzie.

Za bilet lotniczy do Moskwy oddawano mieszkania, byle stamtąd uciec.

ADAM ROBIŃSKI: Dopiero co wrócił Pan z Alaski, gdzie spiał Pan mapę. Jak się spina mapę?

MICHAŁ MILCZAREK: Jesteś w Ameryce i patrzysz na Rosję. W Cieśninie Beringa leżą dwie wyspy, Bolszoi i Little Diomede. Z perspektywy amerykańskiego brzegu, z Przylądka Księcia Walii, jedna nachodzi na drugą. Ale przy dobrej pogodzie w tle widzisz również Przylądek Dieżniowa na Czukotce, czyli kontynentalną Rosję. Na własne oczy z Ameryki widzisz Azję.

Wzrok przelatuje też przez linię zmiany daty.

Widzisz jutro z wczoraj. Możesz przeżyć dwa zachody słońca naraz. Albo powiedzieć: jutro był ładny zachód słońca. W tym miejscu nawet gramatyka zaczyna się wykołajać.

Patrzył Pan na tę Rosję i co sobie myślał?

Słowem, które chyba najlepiej oddaje to doświadczenie, jest „trans”. Wszystko mi tam zaczęło wirować. Wzrok ucieka ci z jednej strony mapy i wpada z drugiej. Tam jak gdyby jednocześnie zbiega i rozbiega się DNA mapy, podwójna helisa południków i równoleżników. Ona przechodzi przez te dwa Diomedy. I kiedy siatka współrzędnych geograficznych nałoży ci się na sieć neuronów, wpadasz w trans. Osiągasz geograficzny absolut.

Jaka to odległość?

82 kilometry, jeśli nie brać pod uwagę wspomnianych wysepek. Eskimosi mi opowiadali, że kiedy na Cieśninę Beringa opadła Żelazna Kurtyna, choć tam nazywa się ją Lodową Kurtyną, to wiele rodzin zostało podzielonych. Czasem się odwołują, choć rosyjska biurokracja rzuca kłody pod nogi. A list idzie dwa miesiące, bo musi najpierw okrążyć cały świat. Przez Stany Zjednoczone, Europę, Moskwę, całą Rosję trafia w końcu na Czukotkę. Jeszcze ciekawszym przypadkiem jest Wyspa Świętego Wawrzyńca, bo zamieszkuje ją eskimoski naród Jupik Syberyjski (mówię „eskimoski”, bo Jupicy to nie są Inuici), który przybył na Wawrzyńca właśnie z Syberii. Ich krewni żyją na Czukotce w okolicach miasta Prowidonia. Do Rosji jest stamtąd zresztą tylko 72 km, jeszcze bliżej niż do lądu stałego przez Cieśninę Beringa.

A do Alaski?

Prawie 190 kilometrów. Dlatego kulturowo wyspa była związana z Syberią, ale Rosja sprzedawała ją w pakiecie z Alaską i dziś należy do Stanów. Tak naprawdę ani to Azja, ani Ameryka. Pasuje do świata, w którym podział na te dwa kontynenty nie obowiązuje. To resztkami mitycznej Beringii, która zatonała 10 tys. lat temu. Pozostałość po lądzie, którym *Homo sapiens* przeszedł z Azji do Ameryki. Geograficzna skamielina.

Co tam jest?

Totalny koniec świata, w którym zalutuje rozkładającymi się resztkami wielorybów. Przy okazji raj dla birdwatcherów. Mieszkańcy żartują, że są międzynarodowym lotniskiem dla ptaków. We wrześniu trwa sezon migracji. Wszyscy mnie tam pytali: „Are you a birdwatcher?”. Ja na to: „No”. Więc oni: „Are you a teacher?”, bo rok szkolny za pasem, zatem czekali na nauczyciela. Mogłem odpowiedzieć jak Arya Stark z „Gry o tron”: „I am no one” (Jestem nikim). Bo że turysta, też do końca nie zrozumieli. Turysta, tam?

Napisał Pan kiedyś: „Wszędzie szukam kamczatek, żeby patrzeć na świat z miejsca, w którym był się anihiluje i zostaje sam widok”. Pan jest kosmonautą, a nie turystą!

Coś w tym jest. To dlatego, że ta perspektywa filozoficzna jest dla mnie w podróżowaniu kluczowa. Od dziecka ciągnęło mnie na pustą stronę mapy. Na te wszystkie grenlandie, kanady, syberie. Poza tym zawsze kochałem zimno. Schodziłem zimową nocą do kuchni i patrzyłem na termometr. Minus siedemnaście! Minus osiemnaście! Raz było minus dwadzieścia. Niedużo, bo to jednak był tylko Szczecin. Zazdrościłem tym w Suwałkach czy Białymstoku.

Wybiegał Pan na ten mróz?

Niekoniecznie, wystarczyło mi, że patrzyłem w tę mroźną ciemność. Samo zerknięcie się z czymś tak źródłowym jak zimno sprawiało mi przyjemność i napędzało wyobraźnię.

Zimno kosmosu.

Prawda? Ciepło jest naddatkiem. Jak jest ciepło, to na pierwszy plan wychodzą rzeczy materialne.

Na wschodzie mapy było zimno i pusto?

Bez nazw, bez miast, bez dróg. Więc rysowałem sobie drogi na mapach i wyobrażałem, że tam jadę. Potem skończyłem filozofię i zacząłem ją sobie łączyć z geografą. To nie jest nauka, to nieskończony projekt interpretacji świata. Czasami nazywam to metafizyczną geografą. Bo ja szukam miejsc, w których kończą się wszystkie rzeczy, byty. I zaczyna być widać coś innego.

Co widać?

To jest wiodący temat XX-wiecznej myśli filozoficznej. Widać coś innego niż byt. To może być nic, albo samo istnienie, bycie jako takie. Do tej pory europejska humanistyka skupiała się na rozważaniach o tym, czym jest byt. Z tego wyrosła nasza nauka, która bada poszczególne sfery i sektory tego bytu – wszechświata. Niemiecki filozof Martin Heidegger zauważył zaś, że zignorowaliśmy pytanie o bycie, o samo istnienie. I o nic. Nawarstwienie rzeczy niejako nam je zasłania. Świat jest zbiorem mnóstwa rzeczy, które gdzieś tam na jego końcach zaczynają znikać. W Polsce, w Małopolsce, w Krakowie, gdzie gęstość zaludnienia jest bardzo wysoka, te rzeczy przesłaniają wszystko inne. Trzeba wyjechać na koniec świata, żeby otworzył się widok na nic. Mnie ten widok wprawia w ekstazę.

Na Kamczatce je widać?

To równie dobrze mogłoby być szukanie czukotek. I tu, i tu kończy się rosyjski świat. Zostaje Pacyfik. Ale Kamczatka jest specyficzna, bo na mapie tak charakterystycznie odstaje od kontynentu. Ciągłe mi się wydaje, że jak się Ziemia kręci, to siła odśrodkowa w końcu wywali tę Kamczatkę w pustkę kosmosu.

Kamczatka była Pana pierwszym kontaktem z Rosją.

Miałem dwadzieścia dwa lata, rok wcześniej byłem na Krymie. Nie znałem jeszcze wtedy rosyjskiego, ale stwierdziłem, że jak mam się nauczyć pływać, to muszę skoczyć na główkę. W szczecińskim biurze LOT-u kupiłem bilet do Pietropawłowska Kamczackiego. No i zostałem tam serce. Ludzie byli bardzo serdeczni, zapraszali mnie do domów. Zdarzyła się na przykład sytuacja, że szedłem sobie ulicą, a ktoś mnie nagle zawołał i dał w prezencie siatkę z pomidorami i ogórkami z własnego ogródka. I jeszcze →

→ te surrealistyczne stożki wulkanów dookoła! Rok później pojechałem z dziewczyną koleją transsyberyjską i uznałem, że pora nauczyć się języka.

Czyli oprócz tego, że kosmonauta, to jeszcze filozof i filolog. Bardziej to pierwsze czy drugie?

Pracuję na rusycystyce, ale magistra i doktorat pisałem z filozofii rosyjskiej. Połączyłem jedno z drugim. Rosyjska filozofia jest inna niż zachodnia. Ona raczej nie chciała poznać rzeczywistości dla samego poznania, nie poprzestawała na pytaniu, czym jest świat, byt, ale chciała ów byt zmienić, poprawić lub zbawić. Fundamentalnym rozpoznaniem myśli rosyjskiej było to, że byt jest chory. Najbardziej radykalna propozycja mówiła, że jest chory na śmierć. A zatem należy ową śmierć ze świata wyrugować. Uczynić człowieka nieśmiertelnym. Podporządkować sobie przyrodę. Kontrolować cały wszechświat. Pod koniec XIX wieku w myśli rosyjskiej był taki projekt, serio! Ta idea zresztą wędruje i pojawia się pod różnymi postaciami. Według tego klucza można interpretować gigantyczne projekty ZSRR. Morze Aralskie, podbój kosmosu, zawracanie rzek...

Ale dzisiejsza Rosja to obraz spektakularnej klęski tej idei. Szuka Pan tam pustki, a znajdujesz głównie rozpad.

Rozpadająca się materia też jest piękna! Obcowanie z nią jest dotykaniem czegoś źródłowego.

Pisze Pan: „Na Syberię jedzie się oglądać wieczność”. Jeszcze jedno wzniosłe pojęcie.

Ta wieczność ściiera się tam z tymczasowością tego, co stworzył człowiek. Rzezy znikają, mineralizują się, otwiera się wielkie nic.

Czyli książka „Donikąd” wyszła ze skrzyżowania zimna, a więc Północy, z nicością, czyli Wschodem.

Te dwa kierunki nałożyły się właściwie automatycznie. Zacząłem jeździć na krańce Rosji jeszcze bez tej refleksji. Raczej instynktownie.

To jak ptasi instynkt, który mówi im, dokąd mają lecieć.

Ładnie powiedziane. Odnajduję się w tej definicji. Ale ptaki lecą, a potem

W Jakucji przeliczają swoją ojczyznę na inne kraje.

Jakucja to jest pięć czy sześć Francji. Lubią to podkreślać, lubią się w tych Francjach liczyć. Francja to jednostka powierzchni.

wracają. Trzeba wracać, trzeba krążyć między rzeczami a nicością. Czysta nicość nas zabija. Niedźwiedź nas zje i mamy swoją nicość. Dlatego wracamy do rzeczy, do ciepła, do kaloryfera, do spożywczego i jego asortymentu.

Od tej pierwszej podróży na Kamczatkę minęło już piętnaście lat. To skąd nagle akurat teraz książka?

To jest nawet zabawne. W 2010 roku byłem na Czukotce, a to jest takie miejsce, gdzie prawie nikt nie jeździ. Oni żartują, że u nich *inostraniec* to jak *inopłanietanin*. Kosmita. Żeby zobaczyć na własne oczy Czukotkę albo Ocean Lodowaty, czyli północną granicę Rosji, potrzeba przepustki od Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Nie załatwia jej się mailowo, ktoś musi ją na miejscu wychodzić, wziąć za turystę odpowiedzialność. Z Czukotką mi się udało, bo właścicielką biura podróży, w którym załatwiałem ten papier, była bliska kuzynka byłego gubernatora Czukotki, a także znanego oligarchy i właściciela klubu Chelsea Londyn, Romana Abramowicza. I ta kobieta nie bała się powalczyć o turystę. Więc pojechałem, zobaczyłem, wróciłem. Nie używałem wtedy mediów społecznościowych, żadnego Facebooka, spoglądałem na to wszystko ze swojej czukockiej obojętności czy nawet wyższości. Miałem za to dysk pełen zdjęć. Kilkadziesiąt tysięcy zdjęć stamtąd i z wielu innych miejsc, których raczej nie pokazywałem publicznie.

W końcu, chyba w 2015 roku, kolega zapytał: weźmiesz je ze sobą do trumny? Założył mi konto na Facebooku, a ja wrzuciłem tam ową Czukotkę. Następnego dnia patrzę, a ten Facebook mi eksploduje. Kilkaset osób udostępnia moje zdjęcia, obcy do mnie piszą wiadomości, a wydawnictwo pyta o książkę.

Ale o Czukotce w książce nic nie ma.

Ona czeka na swoją kolej. Pisząc „Donikąd”, w końcu powiedziałem sobie „stop”. Wystarczy, niech to już trafi do ludzi. O Czukotce jeszcze kiedyś napiszę. I o Koriacji, czyli północnej Kamczatce, gdzie byłem zimą. Autostopem.

Przecież tam nie ma dróg!

Jest zimnik, tymczasowa droga prowadząca przez zamrożoną lasotundrę. Jechałem do Koriacji na stopa z Czecenem, który przez całą drogę słuchał w kamazie dźwiękowych pieśni. Allah, swoboda i dżihad, a obok zamieć, zaspy i koniec świata. Więc w kolejnej książce Aleuty spotkają się z Kamczatką, a zachodnie krańce Alaski z Czukotką. Będę pisał wokół Morza Beringa.

Chce Pan zjechać całą północną Rosję?

O tak, pod tym względem jestem małym. Chcę odwiedzić wszystkie podmioty Federacji Rosyjskiej. Ale podobnie jak każdy szanujący się rosyjski podróżnik starej daty liczę te podmioty na moment rozpadu ZSRR. Było ich wtedy osiemdziesiąt dziewięć. Po reformie administracyjnej z lat 2005-07 część usunięto. Choćby Koriację, Ewenkię, Tajmyr. Teraz, żeby odwiedzić Kraj Krasnojarski, wystarczy wysiąść w Krasnojarsku z pociągu. Tymczasem licząc po staremu, trzeba jeszcze odwiedzić Ewenkię i Tajmyr na dalekiej północy! Z szacunku dla ruskiej geografii odwiedzam więc również te nieistniejące podmioty. I dawno bym już ten cel osiągnął, gdybym jeździł wyłącznie do Rosji.

W ilu Pan był?

Siedemdziesięciu sześciu. Zostało trzynaście. Głównie te w Europie, do których łatwo dojechać samochodem czy pociągiem.

Plus stacja Wostok na Antarktydzie.

Tam raczej się nie uda. Ale odwiedziłem za to niedoszły Alaskijski Okręg Autonomiczny!

Dużo śladów Rosji zostało na Alasce?

Pięć budynków, te najstarsze w całym stanie. Jak na przykład cerkiew w Dutch Harbor na Aleutach. Chciałem do niej wejść, ale batiuszka akurat wyjechał na



MICHAŁ MILCZAREK

Czukotka, Egwekinot, wrzesień 2015 r.

inną wyspę, a parafianom nie chciało się przyjechać i otworzyć drzwi. Na wyspie Kodiak jest z kolei Muzeum Baranowa, dawnego zarządcy Kompanii Rosyjsko-Amerykańskiej. W Nowoarchangielsku, byłej stolicy rosyjskiej Alaski – dzisiejsza Sitka – wciąż stoi dom biskupa diecezji kamczacko-kurylsko-aleuckiej.

A w kulturze?

Zostało prawosławie. Wyznają je m.in. Aleuci i Tlingici z Sitki. W Sitce widziałem księdza Eskimosa Jupik śpiewającego po angielsku na nutę prawosławną. Ale skończył mszę już po staro-cerkiewno-słowiańsku: „*Gospodi pomiluj*”. To było mocne: Tlingici pod przewodnictwem Eskimosa śpiewający na końcu świata „*Gospodi pomiluj*”. Oprócz religii zostały jeszcze nazwiska. Aleuci mają rosyjskie: Krukoff, Lestenkof, Dushkin. Pewnemu Suworowowi uświadomiłem, że jego nazwisko nosił słynny generał – bardzo się ucieszył. A jak pani

Krukoff, starszej Aleutce, napisałem jej nazwisko w cyrylicy, to powiedziała, że będzie z tego świetny tatuaż.

Wróćmy jeszcze do Azji. Pisz Pan, że w Ewenkii jest tylko dwie setne człowieka na kilometr kwadratowy. Co to za człowiek, ten współczesny mieszkaniec Syberii?

Spotyka się dość często interesujące typy, które mają wiele do opowiedzenia. Historie o spotkaniach z niedźwiedziami i tonięciu w rzekach po tym, jak załamał się lód. Ale wbrew stereotypowi żyje tam też wielu normalsów, którzy na grzyby i jagody do tajgi chodzą nie dalej niż pięć kilometrów w głąb – i to właściwie cały ich kontakt z tą przestrzenią.

A Homo sovieticus jako jeszcze jeden stereotyp?

Na pewno tej nostalgii za minionym jest na Syberii więcej niż w Moskwie czy Petersburgu. Najwięcej w tych regio-

nach, gdzie za ZSRR dużo się działo, a potem wszystko padło. Kołyma na przykład wygląda rozpaczliwie. A Czukotka po rozpadzie ZSRR opustoszała. Padł cały system zaopatrzenia, brakowało podstawowych rzeczy. Ludzie zostali dosłownie na lodzie. W Anadyrze za bilet lotniczy do Moskwy oddawano mieszkania, byle stamtąd uciec. Nic dziwnego więc, że dziś ci ludzie tęsknią za porządkiem, który pamiętają. Dewiant i esteta metafizyczny jara się, że wszystko dookoła kruszeje, a oni muszą w tym dramacie żyć. Nietrudno ich zrozumieć.

Colin Thubron pisząc o Syberii wspominał między innymi wieś Potapowo nad Jenisejem, gdzie kiedyś hodowano renifery, a dziś hoduje się już tylko nałogi. I on w tym Potapowie bał się o swoje zdrowie i życie. A u Pana ci wszyscy ludzie, mimo swoich dramatów, są pomocni i serdeczni.

→ Ja się w Rosji nigdy nie bałem. Jez-
dząc na stopa jestem przecież kom-
pletnie bezbronny, ale nigdy nie czu-
łem się jak potencjalna ofiara. W latach
2014-16, po aneksji Krymu, panowała
co prawda patriotyczna histeria, wielu
rzeczy jako Polak i człowiek z NATO
się nasłuchiwałem. Teraz silniejsze są na-
stroje opozycyjne, za to ludzie z nostal-
gią wspominają Stalina. Putin nie, Sta-
lin tak. Niektórzy patrzą jednak na po-
litykę z większym dystansem. Dwa lata
temu byłem zimą na Uralu Polarnym.
Gościłem u Nieńców w pokrytym skór-
kami czumie, bez wody i prądu. Zawie-
nięty w futro renifera z mięsem reni-
fera w żołądku zacząłem się reniferzyć.
Czułem się, jakbym wracał do zwie-
rza, jakby znikła różnica między mną
a zwierzęciem.

A potem jeden z leciwych Nieńców,
koczownik i analfabeta z dowodem
osobistym, w którym w rubryce adres
widnieje „tundra”, zaserwował mi poli-
tyczną wyliczankę obejmującą ostatnie
sto lat. Mówił, że za Putina jest dobrze,
za Jelcyna było źle, za Breżniewa naj-
lepiej, za Chruszczowa nieźle. Przed nim
był – to cytata – chujowy Stalin, wcze-
śniej Lenin, a przed Leninem panował
car. I tłumaczył: „Ja już cara nie pamię-
tam, ale moja babcia go pamiętała, bo
żyła 106 lat”. Siedzisz w czumie, prądu
nie ma, a on o babci, która pamiętała
cara.

**Ten człowiek syberyjski odnosi
się jakoś do ogromu przestrzeni,
w której żyje? Tej której my, Eu-
ropejczycy, nie jesteśmy w stanie
ogarnąć rozumem?**

Jest z niej dumny. Śmieje się, że my
w tej Europie to się podusimy, wy-
mrzemy, jak się skończą ropa i gaz.
Albo jak nam zakręcą. Często przecho-
dzi wtedy na tubalny bas i mówi, że oni
mają ziemię, drewno, zwierzyńce i za-
wsze sobie poradzą. W Jakucji przeli-
czają swoją ojczyznę na inne kraje. Ja-
kucja to jest pięć czy sześć Francji, sto
Belgii, siedemdziesiąt Holandii i chyba
dziesięć albo jedenaście Polsk. Lubią
to podkreślać, lubią się w tych Fran-
cjach liczyć. Francja jako jednostka po-
wierzchni. Ale ta relacja z ogromem
ma przede wszystkim wymiar prak-
tyczny i przekłada się na czerpanie
z przyrody. Zbierają grzyby i jagody, ło-
wią ryby, polują. Tak samo jest zresztą

na Alasce. Alaskańczycy mnie pytali:
„Jacy oni są na tej Syberii?”. Mówiłem:
„Trochę tacy jak wy, tylko bez hipster-
skich bród i wielkich aut. Lubią ryby,
grzyby i strzelać”. Kiwali głowami ze
zrozumieniem.

**A Pan, jako postaniec między
dwoma kontynentami, sam pocho-
dzący z trzeciego, najmniejszego,
nie czuje się bezbronny wobec tej
przestrzeni?**

Ona wzbudza we mnie tylko eufo-
rię. Uwalnianie endorfin. Oczywiście
kontrolowane, bo potem stamtąd wrac-
cam. Ale zaraz znowu ciągnie mnie
tam, gdzie widoku jest najwięcej, a czło-
wieka najmniej. Bo doświadczanie Sy-
berii jest czymś odwrotnym niż do-
świadczanie Polski głównie ze względu
na gęstość zaludnienia. Dla mnie ta
liczba jest egzystencjalnie ważna. Może
na mapach Pomorza Zachodniego czy
Mazur jest jeszcze trochę zielonych
i niebieskich plam, ale w Małopolsce
czuję się jak w klatce. Potrzebuję sfery
ucieczki w pustą przestrzeń, a w któ-
rąkolwiek stronę wyjedziesz z Kra-
kowa, wszędzie widzisz domy, wioski,
karczmy i billboardy.

**Znalazł Pan kiedyś Kamczatkę
w Polsce?**

Kiedyś była w Nowym Warpnie za
Szczecinem. Tam droga się kończyła,
dalej były tylko Zalew Szczeciński
i Niemcy. W nocy robiło się ciemno jak
na Kamczatce. Ale potem rewitalizo-
wali, odmalowali i polukrowali to Nowe
Warpno do tego stopnia, że wszystko
zniknęło. Ale może nie szukajmy tych
kamczatek wszędzie i na siłę. Gdyby-
śmy wszyscy chcieli pojechać na Kam-
czatkę, to ona szybko przestałaby być
Kamczatką.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

MICHAŁ MILCZAREK (ur. 1981) jest
adiunktem w Instytucie Filologii
Wschodniostowiańskiej Uniwersytetu
Jagiellońskiego. Autor książek z zakresu
filozofii rosyjskiej „Z martwych
was wskreszę. Filozofia Nikołaja
Fiodorowa” i „Drzewo życia. Fenomen
Wasilija Rozanowa”. Nakładem
wydawnictwa Czarne ukazał się właśnie
jego reportaż „Donikąd. Podróż na
skraj Rosji”.

Gra w rasy

WOJCIECH ENGELKING

**Colson Whitehead jest
przekonany, że wszystko,
co złe w dzisiejszych Stanach
Zjednoczonych i świecie,
niedługo będzie jeszcze
gorsze. A rasa przestanie się
liczyć dopiero wtedy, gdy
prawie wszyscy wymrą.**

SPOTKAŁEM COLSONA WHITEHEADA
W grudniu 2017 r. w warszaw-
skiej Hali Koszyki; wystąpił wówczas
w programie o literaturze, który pro-
wadziłem dla jednej ze stacji telewizyj-
nych. Zaśmiewaliśmy się z dźwiękow-
cami z jego imienia, które kojarzyło
nam się ze świeżą wówczas w Polsce
aferą. Gdy jednak Whitehead przy-
szedł – śmiechy ucichły.

Wysoki mężczyzna z dreadami,
ubrany w żółte spodnie i granatowy
płaszcz. Było w nim coś onieśmiałą-
cego – aura światowego sukcesu.

Żeby zrozumieć jego skalę, naj-
lepiej przywołać zdarzenia z USA w le-
cie 2019 r., te sprzed premiery jego naj-
nowszej powieści, wydanych właśnie
po polsku „Miedziaków”. Whitehead
znalazł się, jako pierwszy prozaik od
czasu Jonathana Franzena, na okładce
magazynu „Time”.

– Tak, to prawda, zdarzyło się – mówi
roześmiany pisarz, gdy pytam teraz,
czy naprawdę przez trzy dni w magazy-
nie wydawnictwa Random House pod-
pisywał 15 tys. egzemplarzy „Miedzia-
ków”. Zaraz jednak dodaje: – Wszyst-
kie te egzemplarze nie są przeznaczone
dla wielkich sieci handlowych, ale nie-
zależnych księgarń, bo to one mnie
wspierały, kiedy jeszcze nie sprzeda-
wałem się tak dobrze jak dzisiaj.

Jako 30-letni absolwent Harvardu
i dziennikarz „The Village Voice” de-
biutował w 1999 r. powieścią „The In-
tuitionist”. Została zauważona przez
krytyków i nominowana do kilku na-
gród, ale bestsellerem nie była. Podob-
nie sprawy się miały z „John Henry



QUIQUE GARCIA / EPA / PAP

Colson Whitehead

Days” z 2001 r., które co prawda znalazły się w finale Pulitzera, jednak o czytelnym powodzeniu trudno mówić. Zdało się, że Whitehead zostanie jednym z typowych amerykańskich pisarzy środka – publikujących w nakładach kilkudziesięciotysięcznych, prócz tego zaś piszących do gazet i nauczających *creative writing*. A potem przyszedł rok 2016 i wszystko się zmieniło.

„Kolej podziemna” opowiadała o szlaku bezpiecznych kryjówek dla niewolników uciekających w XIX w. z południowych stanów. I sprzedała się w nakładzie nawet jak na USA niewyobrażalnym: 3 miliony egzemplarzy. Zyskała uznanie krytyków (jako pierwsza książka od 1993 r. zdobyła i Pulitzera, i National Book Award).

Czy po sukcesie „Kolei” coś w pisaniu Whiteheada się zmieniło? – I tak, i nie – mówi. – Cały czas sprawia mi trudność, bo powinno sprawiać. Zaczęłam też mnóstwo podróżować, więc połowa „Miedziaków” została napisana w samolotach, pociągach i hotelach. Najważniejsze jest jednak, że nowy kształt przybrał mój, jako pisarza, stosunek do polityki. Można po-

wiedzieć, że „Kolej podziemna” jest powieścią o szczęśliwych dniach Baracka Obamy. „Miedziaki” to z kolei książka ery Donalda Trumpa. Za rządów Obamy nie myślałem, bo nie musiałem, o sprawach publicznych; za rządów Trumpa zostałem do tego zmuszony. Uznałem, że napisanie powieści o czasach uznawanych za epokę wielkiej przemiany pomoże mi uporządkować własne spojrzenie na politykę.

Akcja książki rozgrywa się w pierwszej połowie lat 60., kiedy Martin Luther King obwieszczał czarnoskórym obywatelom USA, że są „tak dobrzy jak wszyscy inni” i w kraju rósł w siłę Ruch Praw Obywatelskich. Wbrew utartemu twierdzeniu, Ruch wcale nie odniósł wtedy sukcesu, a efekty tej klęski widzimy dziś – twierdzi pisarz.

Po rasie

Takie twierdzenie jest w ustach Whiteheada o tyle zaskakujące, że krytycy długo uważali go za jednego z głównych przedstawicieli pisarstwa postrasowego. Pisząc w „The London Review of Books” o jego prozie, Thomas Williams twierdził, że

usuwa on doświadczenie sytuacji ekstremalnych z opowieści o czarnoskórych Amerykanach. Losów bohaterów Whiteheada, twierdził, nie determinuje kolor skóry; to „czarni, ale z wielkimi domami na plażach”.

Problem w tym, że Whitehead, jak się zarzeka, nigdy w postrasowość nie wierzył. Jest dla niego mitem, który składa się z dwóch prawd: po pierwsze – pokoleniowej, po drugie – klasowej.

– Jeśli chodzi o prawdę pokoleniową, to faktycznie w USA wyrosła generacja czarnych, która nie musiała walczyć o swoje tak jak Martin Luther King. Zaliczam się do tego pokolenia zarówno ja, jak i Spike Lee – mówi.

W temacie klas Whitehead zgadza się, że byli Amerykanie, którzy osiągnęli sukces będąc czarnoskórymi. Nie sądzi jednak, by można za tryumf postrasowości uznać takie wydarzenia jak wybór Baracka Obamy na prezydenta USA. To według niego incydent, jeden z tych, które mają mīt postrasowości podsycać.

Główne założenie tego mitu brzmi: kolor skóry stał się w Ameryce przezroczysty i w kilka dekad po zniesieniu tzw. →

→ *Jim Crow laws* (szereg ustaw na poziomie stanowym, które zamykały czarnoskórym drogę do awansu społecznego) przed czarnymi mieszkańcami USA otworzyły się drzwi do karier w biznesie, polityce, prawie. Mogli wykonywać swoje zawody tak samo jak ich biali koledzy, a więc czarny adwokat nie musiał być Johnniem Cochranem, tylko adwokatem po prostu. Postrasowość, wedle tego mitu, to era „ślepoty na kolor” – jak twierdzi dziennikarka Michelle Alexander – w której nie ma już społecznego przyzwolenia, by używać rasy jako powodu do dyskryminacji”.

Whitehead wyrastał w środowisku, które zdawało się spełnionym snem zwolenników takiego punktu widzenia: jego rodzice mieli wziętą firmę HR-ową. Wraz z trójką rodzeństwa wychował się na Manhattanie, letnie wakacje spędzał na Long Island.

Pisarz uważa, że gdyby ktokolwiek spróbował w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych powiedzieć o czymś takim jak postrasowość, zostałby obśmiany.

– Od kiedy Trump został wybrany, nikt już tego określenia nie używa; nie tylko czarni, biali także – mówi. – Mit postrasowości opierał się na marzeniu, że skoro dekadę temu część kraju zagłosowała na czarnoskórego, 150 milionów rasistów, którzy w USA mieszkają, nagle przestało być rasistami. Zniknęli? Rasizm z nich po prostu wyparował? I nie, nie przesadzam, jeżeli chodzi o ich liczbę. Spójrz na to, jak wygląda gabinet Trumpa. Ilu widzisz w nim ludzi o innym kolorze skóry?

– Czym tłumaczysz zwycięstwo Trumpa? – pytam.

– Historią – kwituje Whitehead. – To, co powiem, nie będzie zbyt odkrywcze, ale tak właśnie to działa: sięganie po irracjonalizm i dawanie wyborcom fałszywych odpowiedzi na prawdziwe pytania. Spójrz nie tylko na Trumpa, ale też na Jaira Bolsonaro. Sądzę, że to kwestia czasów, bo rzeczywistość zmienia się w sposób cykliczny: jest cykl progresywny, po nim następuje regresywny. Przyszło nam żyć w czasach, w których ten drugi wziął górę. Oczywiście kiedyś z niego wyjdziemy, ale nie stanie się to prędko.

Jim Crow redivivus

„Miedziaki”, chociaż są komentarzem do cyklu regresywnego, odnoszą się do tych



Uliczne protesty po zamordowaniu Michaela Browna, Ferguson, USA, kwiecień 2015 r.

lat w dziejach USA, gdy zdawało się, że postrasza to ziszczone marzenie.

Głównym bohaterem powieści jest Elwood Curtis, wychowywany przez babcię nastolatek, który pragnie dostać się do college’u dla czarnoskórych, by zdobyć tytuł inżyniera. Jako autostopowicz trafia na kierowcę, który ukradł samochód. Gdy zostają zatrzymani przez policję, kierowca łąduje w więzieniu, bez prawa do adwokata, niepełnoletni Elwood z kolei – do ośrodka poprawczego dla chłopców, zwanego „Miedziakiem”.

W poprawczaku chłopcy – nie tylko czarnoskórzy, acz na nich koncentrują się prześladowania – nocami są zabierani z łóżek do miejsca zwanego „Białym Domem”, gdzie są boleśnie bici. Niektórzy tego nie wytrzymują; ziemię w ogrodzie Miedziaka użyźnia coraz większa liczba trupów, które zostaną odkryte dopiero po kilku dekadach. Czy byli wychowankowie wiedzieli, co się dzieje, i mogli po wyjściu na wolność opowiedzieć o wszystkim prasie? Pobożne życzenia. Kto zostawia Miedziak za sobą, ten stara

się do niego nie wracać nawet we wspomnieniach. Te już dorosłego Elwooda budzą w środku nocy.

Powieść Whiteheada inspirowana jest faktami. Miedziak to tak naprawdę Arthur G. Dozier School for Boys – szkoła działająca na Florydzie od połowy zeszłego stulecia do 2011 r. W rok po jej zamknięciu informację o znalezieniu w ogrodzie wielu zwłok podała lokalna gazeta z Florydy. Whitehead, który już wtedy pracował nad książką, dowiedział się o całej sprawie z Twittera: – Przeczytałem, że starano się sprzedać należącą do szkoły ziemię i znaleziono w niej ponad pięćdziesiąt trupów. Zdziwiło mnie, że informacja, choć wielokrotnie pisali o niej reporterzy z Florydy, nie przedostała się do ogólnokrajowych mediów. Oni wykopywali z ziemi kolejne zwłoki, a dla wszystkich to był *news* na jeden dzień!

– I co, pojechałeś na Florydę? – pytam. To jedyny moment w całej naszej rozmowie, kiedy Whitehead długo milczy.

– Nie pojechałem – odpowiada w końcu. – Gdybym pojechał, to nie sa-



RISTINA M. FLETES / ST. LOUIS POST-DISPATCH / EAST NEWS

mochodem, lecz buldożerem, i tylko po to, by to miejsce zburzyć.

Moment, w którym dowiedział się o mordach w Dozier School, był w historii USA szczególny.

– To był czas Erica Garnera [czarnoskórego nowojorczyka podejrzanego o sprzedawanie papierosów, który zmarł po tym, jak zatrzymujący go policjant zaczął chłopaka dusić – WE] i Michaela Browna [18-latek z Ferguson w stanie Missouri, zastrzelonego przez policjanta, co do którego sąd stwierdził, że działał w samoobronie – WE]. Uderzyło mnie, jak wiele strasznych rzeczy przydarza się czarnym wokół mnie, i jak niewiele je dostrzegam.

Sugeruję pisarzowi, że to banał, bo ludzką krzywdę dostrzega się rzadko. Jaka jest więc specyfika tego niedostrzegania w USA?

– W USA rasizmu się nie widzi, bo na długo przed Trumpem został zinstytucjonalizowany.

– Jak?

– Masowym więzieniem czarnych.

Teza Whiteheada nie jest nowa. Michelle Alexander w swojej pracy z 2010 r., „The New Jim Crow: Mass Incarceration in the Age of Colorblindness”, twierdziła, że po zniesieniu *Jim Crow laws* segregacja przybrała po prostu inny wymiar: „Zamiast polegać na kryterium czysto rasowym, my, Amerykanie, zaczęliśmy używać naszego systemu wymiaru sprawiedliwości, by nadawać czarnym łatkę kryminalistów”. W ten sposób narodziły się nowe prawa Jima Crowe’a: wypowiedziana za prezydentury Ronalda Reagana wojna z narkomanią za swój główny cel obrała czarnoskórych, profilowanych jako dealery. Kiedy trafiali do więzienia w innych miejscach niż Puerto Rico, i stany Maine i Vermont, pozbawiani byli praw wyborczych. Według Alexander to powrót niewolnictwa: pod płaszczykiem wojny z przestępczością odmawia się czarnym udziału w demokracji.

– Dlaczego w Stanach pozwolono, aby się to wydarzyło? – pytam.

– To u nas dziedziczne – odpowiada Whitehead. – Biali Amerykanie nauczyli się tak postrzegać czarnych od rodziców. Jeżeli od nich dowiedzieli się, że czarnoskórzy, muzułmanie, kobiety są od nich w jakiś sposób gorsi, utkwilo im to przekonanie w sercu.

W „Miedziakach” pisze o tym wprost: „To tatusiowie uczyli ich, jak trzymać niewolników pod butem, z pokolenia na pokolenie przekazywali to okrutne dziedzictwo. Uprowadź go z rodziny, wychłuszcz tak, że będzie pamiętał tylko bat, zakuj go w kajdany, tak że będzie znał tylko kajdany”.

Niektórym może się zdawać, że fizyczny aspekt przemocy służy w „Miedziakach” za symbol instytucjonalnego.

– Nie. Tego się nie da rozdzielić – twierdzi pisarz. – Fizyczne bicie, bicie czarnego ciała jest możliwe dzięki politycznym uwarunkowaniom, a polityczne uwarunkowania wynikają z tego, że ktoś uznał, iż może kogoś pobić.

Otoczeni przez zombie

– Nie możesz nie zauważyć – mówię Whiteheadowi – że w ostatnich latach problematyka rasy stała się centralnym punktem amerykańskiego przemysłu kulturalnego.

– Nie, nie stała się! Ona zawsze nim była. Jeśli jednak chodzi o kwestię popularności, jest to sprawa pokoleniowa:

dojrzała generacja, która wychowała się na filmach Spike’a Lee czy Johna Singletona, czytała Toni Morrison. Ci ludzie poznali historię czarnej Ameryki w latach 70., 80., 90. Została im opowiedziana w sposób, który byłby niemożliwy zaraz po wojnie. To oni teraz robią filmy. A dalej? To biznes. Jordan Peele kręci za wielkie pieniądze „Get out”, po czym film się wielokrotnie zwraca. W Hollywood to zauważają i w jego następny obraz inwestują więcej. I tworzy się biała widownia, która dowiaduje się, że chce słuchać czarnej historii.

Mimo tego Whitehead, nie jest optymistą: – Peele czy „Czarna pantera” to pojedyncze przypadki. Nie widzę żadnego poważnego polityka, który byłby progresywny. Wyobraźmy sobie, że w wyborach za kilka lat progresywni liderzy zajmują miejsce administracji Trumpa. I co? I cały czas mamy zagrożenia, wtedy już o wiele większe, jak katastrofa klimatyczna... Chociaż – dodaje niespodziewanie rozbawionym tonem – katastrofa klimatyczna może się akurat okazać zbalansowana.

I wraca do swojej powieści z 2011 r., „Zone One”, w której opisał trzy dni z życia brygady sweepersów – zabójców wyszkolonych do walki z zombie, które opłatały Manhattan. Nie ma tam ani jednego zdania, z którego czytelnik mógłby się dowiedzieć, jaki jest kolor skóry walczących z trupami.

– Jeżeli jednak szukasz schronienia przed gromadą zombie, to nie ma większego znaczenia, czy szukasz go w towarzystwie osoby czarnej, czy białej. Wszystkie uprzedzenia znikają, najważniejsze jest przetrwanie. Całkiem podobnie może być z katastrofą klimatyczną. W obliczu tego, co się będzie działo na planecie, rasa zupełnie przestanie się liczyć. Ameryka w istocie stanie się postrasowa, ale dopiero wtedy, kiedy 99,99 procent jej populacji wymrze. To żart, ale w sumie dlaczego nie?... – kończy Whitehead przewrotnie. – Rasa przestanie się liczyć, kiedy prawie wszyscy umrą.

© WOJCIECH ENGELKING



Colson Whitehead
MIEDZIAKI
przeł. Robert Sudół,
Albatros, Warszawa 2019

Usiądź blisko

KAJETAN PROCHYRA

Nie uśmiecha się, nie przymila do publiczności. Jazz jest dla Jasona Morana językiem, który pozostaje żywy, póki tworzy wspólnotę. Pianista wystąpi na Jazzowej Jesieni w Bielsku-Białej.

NOWY JORK. DOLNY MANHATTAN. Tuż nad brzegiem rzeki Hudson, w dzielnicy zwanej Meatpacking District, mieści się wieżowiec Muzeum Whitney. Instytucja założona w 1930 r. przez rzeźbiarkę i mecenaszkę kultury Gertrude Vanderbilt Whitney przeniosła się tu cztery lata temu, by jeszcze lepiej wyeksponować liczącą ponad 23 tys. dzieł kolekcję najnowszej sztuki amerykańskiej.

Organizowane od początku istnienia placówki Whitney Biennial bada puls amerykańskich sztuk wizualnych. To tu odkryta została dla świata twórczość Georgii O'Keeffe, Jacksona Pollocka czy Jeffa Koonsa. Teraz, do 5 stycznia 2020 r., w Muzeum Whitney można oglądać pierwszą monograficzną wystawę prac Jasona Morana. Choć określenie „monograficzna” nie jest tu do końca adekwatne. Dla pianisty i kompozytora, absolwenta wydziału jazzu w Manhattan School of Music, każdy projekt jest pracą zespołową.

Scena

Główna sala wystawy Morana to duża otwarta przestrzeń z czarnymi ścianami, sufitem i podłogą. Jasne punkty stanowią trzy instalacje składające się na cykl „Staged”. Prace są replikami scen koncertowych trzech kultowych jazzowych klubów.

Pierwsza stworzona została na wzór klubu Savoy Ballroom, który od lat 20. XX w. wyznaczał jazzowy puls Harlemu. Co czuli Count Basie, Ella Fitzgerald czy Chick Webb, grając w Sali Balowej dla tysięcy wirujących w swingu par? Jak roznosił się dźwięk big-bandu, odbijany od charakterystycznego zaokrąglonego, bogato zdobionego sklepienia nad sceną, zagłuszany gwarem i rytmicznym stukotem butów do tańca? Savoy został zrównany z ziemią na przełomie kwietnia

i maja 1959 r., by w jego miejscu powstać mogły nowe budynki mieszkalne.

Część druga „Staged” to replika sceny klubu Three Deuces, gdzie ręce i płuca Charliego Parkera i Milesa Davisa kształtowały muzykę znaną dziś jako bebop. Inspiracją do powstania instalacji było archiwalne zdjęcie z koncertu, który zagrał tam Max Roach – znakomity perkusista, autor płyty „We Insist!”, będącej dziś jednym z symboli walki o emancypację czarnych Amerykanów. Three Deuces przedstawia pewien paradoks: z jednej strony klub mieścił się w samym centrum Manhattanu, był w pewien sposób demokratyczny: słuchacze i muzycy siedzieli na tym samym poziomie, artyści nie grali już w służbie tańca – ich sztuka stanowiła wartość samą w sobie. Z drugiej strony, wszyscy zamknięci byli w podziemiu, w ciasnej klitce, w której wykonawcy niemal podpierali głowami strop. Jak sugeruje Moran: byli w tej przestrzeni uwięzieni.

Część trzecia cyklu to scenografia klubu Slugs Saloon. To właśnie tam na przełomie lat 60. i 70. rodził się freejazz. Regularnie grali tu pionierzy awangardy: Ornette Coleman, Albert Ayler, Keith Jarrett czy kosmiczny Sun Ra. Muzyka zyskiwała wolność ekspresji, odrywała się od melodii, schematów i utartych form. Jednocześnie położony na obrzeżach East Village sfatygowany klub, ze sceną pokrytą dywanem z trocin, pozostawał salonem odrzuconych. Klub spotkał krwawy koniec. W lutym 1972 r. od kuli swojej partnerki Helen zginął tu młody, niezwykle utalentowany trębacz Lee Morgan.

Instalacja „Staged” obrazuje ewolucję jazzu, a szerzej kultury muzycznej czarnych Amerykanów, oraz sposób, w jaki na przestrzeni lat zmieniał się status jej twórców. Autor zabiera nas w podróż do nieistniejących dziś klubów, ożywiając je muzyką – w każdy weekend w prze-

strzeni wystawy organizowane są koncerty, a na co dzień przyciąga zwiedzających czarny samogrający fortepian. Przede wszystkim jednak Moran zwraca uwagę na to, jak wielki, wzajemny wpływ mają na siebie muzyka i cztery ściany, w których rezonuje.

– Scena – mówi Moran – jest swoistą ramą, która także niesie ze sobą historię i znaczenie. Przestrzeń narzuca relacje między wykonawcą i słuchaczem. Czy publiczność cię otacza, czy tylko zamyka z jednej strony? Czy jesteście na tym samym poziomie, czy spoglądasz na widzów z góry, a może oni na ciebie? W teatrze Apollo musisz wznieść czy wysoko do góry, bo wiesz, że właśnie tam najtańsze miejsca zajmuje najmłodsza, najbardziej żywiołowa część twoich słuchaczy.

Muzyka jest falą, która w każdej przestrzeni zachowuje się inaczej. To, czy podpieramy ścianę na końcu pustego klubu, czy też siedzimy na podłodze, mając muzyków na wyciągnięcie ręki, a na plecach oddech 100, 1000 czy 10 tys. słuchaczy – wpływa na docierającą do naszych uszu falę. Ta zaś jest tylko nasza: jedyna i niepowtarzalna. Dlatego właśnie słuchanie, choć jest doświadczeniem wspólnotowym, jest jednocześnie tak osobiste i intymne.

„Gdzie usiądziesz, by dać się poruszyć?” – pyta w tekście otwierającym katalog wystawy Jason Moran. I szybko odpowiada: „Ja siadam blisko”.

Kobiety

Na wystawie w Muzeum Whitney, między pracami z cyklu „Staged”, na trzech dużych ekranach prezentowane są zapisy wideo projektów Morana, które pianista stworzył we współpracy z artystkami wizualnymi i performerkami. System edukacji artystycznej przez lata (wieki!) skutecznie zagłuszał głos kobiet. Moran zrozumiał to dopiero, gdy spotkał na swej drodze młodą śpiewaczkę operową, kuratorkę i feministkę (a obecnie także jego żonę) Alice Hall Moran. Para wspólnie stworzyła m.in. muzykę do przejmującej pracy Kary Walker, zatytułowanej „National Archives Microfilm M999 Roll 34: Bureau of Refugees, Freedmen and Abandoned Lands: Six Miles from Springfield on the Franklin Road”. Walker, przy pomocy z pozoru naiwnych, dziecinnych środków wyrazu, takich jak wycinanka i teatr cieni, w bardzo sugestywny sposób opowiada w niej o odczłowieczaniu,



ALAN JOHN AINSWORTH / BEW

Jason Moran na Festiwalu Jazzowym w Cheltenham, 2018 r.

morderstwach i gwałtach, jakich na czarnych niewolnikach dopuszczali się ich właściciele w południowych stanach USA.

Na wystawie obejrzeć można także m.in. trójkanałową instalację „Chess” Lorny Simpson, która wykorzystując metaforę gry w szachy podjęła temat mierzenia się z samą sobą, upływem czasu i rywalizacją płci. Kolejne wideo dokumentuje spotkanie Morana z malarką Julią Mehretu. Artystka na wielkich płótnach rozwieszonych w dawnym neogotyckim kościele w Harlemie przekłada na swój własny język symboli krajobraz

polityczny współczesnej Ameryki, obrazując przy tym napięcia, jakie wywołują częste przypadki nadużywania siły wobec czarnych Amerykanów przez służby mundurowe. Moran towarzyszył jej przy pracy, a gotowe dzieło potraktował jako graficzną partyturę. Zapis ich współpracy ukazał się także na płycie pt. „MASS {Howl, eon}”, na której Moranowi towarzyszą grający na kornecie Graham Haynes oraz perkusista Jamire Williams.

Monografia Jasona Morana prezentuje także prace wizualne samego pianisty: jego fotografie (na których utrwala, a następnie przetwarza migawki z pamięt-

nika koncertującego muzyka), kolaże (takie jak „Atomic Count Basie”: wtopiony w kamień zegarek z wygrawerowanym na tarczy nazwiskiem wielkiego bandleadera Counta Basiego) czy wreszcie obrazy z cyklu „Run”. Prace są zapisem gry Morana na fortepianie. Na klawiaturze pianista rozłożył papier, a dłonie zasmoilił węglem. W Whitney „Run” sąsiaduje z rękopisami jego utworów, notatkami i przygotowywanymi przed każdym koncertem listami utworów.

Spotkanie dwóch światów – jazzu i sztuk wizualnych – nie jest w artystycznym życiorysie Morana czymś nowym. Muzyk przyznaje, że prace konceptualistek – Adrian Piper czy Joan Jonas – były dla niego równie ważnym artystycznym drogowskazem, co twórczość jazzowych ikon takich jak Wayne Shorter czy Sam Rivers.

– Tylko wychodząc ze swojej bańki można dowiedzieć się o sobie czegoś na prawdę nowego – tłumaczy Moran.

Deska

Pianista znajduje dla swojej muzyki miejsce nie tylko w galeryjnym świecie sztuki. Ważnym źródłem inspiracji okazała się dla Morana jazda na deskorolce. „Mamy deskę z kółkami i zaczynamy szukać: kawałka płaskiego chodnika, krawężnika, rampy; wchodzimy w interakcje z przestrzenią – opowiada pianista. – Widzimy uskok, musimy natychmiast podjąć decyzję. Tak samo jest z improwizacją: gdy basista zagra inny dźwięk, niż się spodziewałem, albo gdy perkusiście wypadnie z ręki pałeczka, a wciąż musi zachować rytm, co robi? Improwizuje! Razem szukamy nowych dróg, ewolucji”.

Wśród jego pierwszych decyzji po objęciu stanowiska dyrektora ds. jazzu w Kennedy Center – jednym z najważniejszych centrów sztuk performatywnych w USA – było ustawienie na placu przy siedzibie Centrum rampy dla deskorolkowców. Jazda na desce: swoisty rodzaj tańca, jednoczesne poszukiwanie efektownych tricków, własnego stylu oraz ciągłe gubienie i odnajdywanie na nowo równowagi, stały się inspiracją dla muzyki. W ten sposób narodził się projekt „Finding the line”. Kiedy zespół Morana gra pośrodku skateparku, wśród dziesiątków rolkarzy i deskorolkowców, trudno nie dostrzec podobieństw do scen, które 100 lat temu miały miejsce w Sali Balowej klubu Savoy.

Trio

→ Prawie nic nie napisałem o tym, jak Jason Moran gra na fortepianie. To, jak gra, jest zupełnie drugorzędne wobec tego, co i o czym chce opowiedzieć swoją muzyką. Moran, jak słusznie zauważył Sonny Rollins, nie uśmiecha się, nie przymila do publiczności. Jazz jest dla niego językiem – z własną gramatyką, leksyką, historią, kanonem i awangardą; językiem, który pozostaje żywy, póki opisuje świat, w którym żyją ci, którzy chcą się nim posługiwać: grać i słuchać. Póki tworzy wspólnotę. Moran jest kuratorem jazzowej sztuki – nie kustoszem. Nie zamyka jazzu w bezpiecznej gablocie, ale zachęca innych do tego, by go poznali, nauczyli się nim posługiwać, a następnie za jego pomocą tworzyli własne kolaże.

Podczas finału Jazzowej Jesieni w Bielsku-Białej pomogą mu w tym muzycy, z którymi od 20 lat tworzy trio Bandwagon: basista Tarus Mateen i perkusista Nasheet Waits. Choć każdy z nich prowadzi bogate, samodzielne życie artystyczne, pozostają wierni swojej tradycji: co roku w okolicach Święta Dziękczynienia przez tydzień wieczorami grają razem w klubie Village Vanguard. W Bielsku-Białej usłyszymy ich jeszcze, zanim najedzą się nowojorskim indykiem.

© KAJETAN PROCHYRA

■ Obok Jasona Morana z triem Bandwagon (17 listopada) podczas tegorocznej Jazzowej Jesieni w Bielsku-Białej będzie można posłuchać także Brada Mehldaua (14 listopada), Tigrana Hamasyana wspólnie z Zespołem Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia (15 listopada) oraz koncertu muzyki filmowej Tomasza Stańki – patrona festiwalu – w wykonaniu Marcin Wasilewski Trio, Avishaia Cohena oraz Orkiestry AUKSO (16 listopada).



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój
– 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane
– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Paczka w drodze

ANITA PIOTROWSKA

Gdy kurier spóźnia się z długo wyczekiwaną przesyłką, i wpada wreszcie zziąjany i ledwie mruknie „przepraszam”, warto zobaczyć wcześniej najnowszy film Kena Loacha – zanim wystawimy dostawcy mizerną jedną gwiazdkę w ankiecie.

TWÓRCA „KES” I „POLAK POTRZEBNY od zaraz” już ponad pół wieku dba o to, aby widz potrafił dostrzec w takim kurierze coś więcej aniżeli tylko uniform, funkcję i usługową skuteczność. By w teatrze życia codziennego, gdzie większość ról została społecznie zdeterminowana, zobaczyć również mało fotogeniczne kulisy i didaskalia. A także stojącą za tym głębszą opowieść.

Rzec można, iż 83-letni dziś brytyjski reżyser kręci od zawsze jeden i ten sam film, zmieniają się tylko dekoracje: jakaś budowa, skromne mieszkanie komunalne, urząd pracy, bank żywności, rzadziej scenografia historyczna. Dla takich filmów przejęto z teatru pojęcie *kitchen-sink drama* („dramat kuchennego zlewu”), choć to nie przyziemny sztafaż jest tutaj najważniejszy, ale oddanie pełnego głosu jednostkom przesłanym przez system masowej uwagi.

Na filmach Loacha można się uczyć, gdzie przebiega granica między litością a współczuciem, między współczuciem a współodczuwaniem, między artystyczną eksploatacją i autentyczną solidarnością z bohaterem. W filmie „Nie ma nas w domu” jest nim Ricky – współczesny ojciec rodziny, który podejmuje pracę dla firmy kurierskiej, żeby spłacić bankom niezawinione przez siebie długi i odzyskać zdolność hipoteczną na zakup mieszkania. Szybko się przekona, co może się kryć pod pojęciem samozatrudnienia i franczyzy.

Debiutujący na dużym ekranie Kris Hitchen również był kiedyś „elastycznym i niezależnym” hydraulikiem, więc pewnie dobrze zna położenie kogoś, kto pada ofiarą krótkoterminowej umowy, pozbawiony większości praw pracowniczych, obciążony finansowymi sankcjami. Filmowy Ricky

z Newcastle zostaje zmuszony do podjęcia wielkiego ryzyka. By zakupić dostawczą furgonetkę, najpierw musi sprzedać samochód swojej żony, którym Abbie (gra ją Debbie Honeywood, też debiutantka) dojeżdżała codziennie do rozsianych po mieście podopiecznych – osób schorowanych i starszych. Tymczasem w firmie dostawczej panuje terror wyników: sześciodniowy tydzień pracy, czternaście godzin na dobę, każdy nadprogramowy dzień wolny suto opłacany z własnej kieszeni, bez względu na przyczyny, przede wszystkim zaś niewolnicza zależność od skanera i aplikacji śledzącej losy przesyłki.

Najbardziej jednak interesuje Loacha, co dzieje się z rodziną wpłatą w mordercze tryby niskopłatnej pracy zarobkowej. Jak funkcjonuje dom, którego mieszkańcy mijają się w biegu, wysyłają zdalne instrukcje, a wieczorami zasypiają ze zmęczenia przed włączonym telewizorem. Wreszcie: jak zachowują się zostawione samopas dzieci, które bardzo nie chciałyby skończyć tak jak ich rodzice, choć nie mają żadnych perspektyw.

Jak przystało na twórcę nazywanego od lat trybunem ludowym, Loach cierpliwie wyjaśnia, przede wszystkim w dialogach mówionych z charakterystycznym północnym akcentem, na czym polega cały wadliwy mechanizm społeczno-ekonomiczny, który doprowadza ciężko pracujących i kochających się nawzajem ludzi na skraj przepaści. Społeczny manifest to jedno, jednakże wiekowy mistrz i jego wierny scenarzysta Paul Laverty potrafią zagrać też na czystych emocjach – ileż to razy Ricky w akcie desperacji, by ratować to, co dla niego najcenniejsze, balansuje na granicy szaleństwa, ileż razy

WARTO ZOBACZYĆ W TV [16 – 22 XI]



Kris Hitchen i Katie Proctor w filmie „Nie ma nas w domu”

upada i się podnosi. Oryginalny tytuł filmu jest wieloznaczny. „Sorry We Missed You”, które znaczy raczej „niestety, nie zastaliśmy Państwa w domu”, to informacja pozostawiana przez kurierów pod nieobecność klienta, lecz także aluzja do sytuacji bohaterów, którzy w marzeniach o własnych czterech ścianach stopniowo zapominają o tym, co tak naprawdę je tworzy.

Wizja przedbrexitowego społeczeństwa w oczach twórców otwarcie sympatyzujących z Partią Pracy, a zarazem sceptycznych wobec neoliberalnej ekonomii unijnej, musi być daleka od optymizmu.

Gdy system zawodzi, cała nadzieja w ludziach, ci jednak zdają się trwale zarażeni – przede wszystkim agresją i obojętnością, które wspólnie tworzą to, co nazywa się potocznie społeczną znieczulicą. Doświadcza jej niemal każdego dnia Abbie, próbująca nadać ludzką twarz sprywatyzowanej i coraz bardziej zanonimizowanej pracy opiekuńczej. Na własnej skórze odczuwa to Ricky, kiedy próbuje wyżebrać kilkudniowy urlop, od którego zależy być albo nie być całej rodziny.

Ta walka o przetrwanie, szeroko i wąsko pojęta, wypełnia kolejny film reżysera, który w filmie „Ja, Daniel Blake” wypowiedział wojnę ubóstwu, ale i odbierającej godność biurokracji i dysfunkcyjnej opiece społecznej.

Tym razem, prócz siły rodzinnych więzów, szanse na zmianę upatruje Loach w kobietach i w najmłodszym pokoleniu późnego kapitalizmu. Czy Abbie, wykrzyczawszy wreszcie swój gniew, uchroni Ricky’ego przed niewolniczym samozniszczeniem? Czy dzieciakom, które dziś buntują się przeciw prekaryjnej kondycji swych rodziców, starczy paliwa, by ruszyć z posad zastany świat?

„Nie ma nas w domu” to film doskonałe przeżycie, pozbawiony wymyślnych figur retorycznych, które zwykle pokutują w polskich filmach o podobnym zacięciu. Sędziwy brytyjski mistrz nie próbuje tu prześcignąć samego siebie. Zrezygnował z pójścia na filmową emeryturę (nagrodzony Złotą Palmą „Daniel...” miał być jego filmem ostatnim), by jeszcze raz zabrać głos nie tylko w kwestii pułapek tak zwanej *gig economy*, opartej na pracy „od zlecenia do zlecenia”, ale sprawdzić, czy ta skromna, acz ciasno upakowana filmowa przesyłka – z empatią, oburzeniem i niezgodą – dotarła pod wskazany adres.

Czyli do tych wszystkich potencjalnych klientów Ricky’ego i Abbie, którym praca ciągle jeszcze zapewnia utrzymanie. ©

NIE MA NAS W DOMU (*Sorry We Missed You*) – reż. Ken Loach. Prod. Wielka Brytania 2019. Dystryb. M2 Films. W kinach od 15 listopada.

1. Ostatni swing



Dokumentalny, reż. Tomasz Garncarek, Polska 2019, TVP Kultura, 17 XI, 23.40
Bez niego nie byłoby „Sanatorium pod klepsydrą” Hasa, „Ziemie obiecanej” Wajdy czy „Frantica” Polańskiego. Witold Sobociński, mistrz filmowego obrazu, zmarł dokładnie przed rokiem. Dokument rejestruje ostatnie chwile jego aktywności, przywołuje fragmenty filmów i pracę na planie, a wspominają go m.in. Jan Nowicki, Krystyna Janda i Marek Kondrat.

2. Kto napisze naszą historię



Dokument fabularyzowany, reż. Roberta Grossman, Polska/USA 2018, vod.pl
Tym razem pisze ją amerykańska reżyserka

wraz z producentką Nancy Spielberg, siostrą Stevena. Wykorzystując archiwalia i wywiady, ale także udział aktorów polskich (Piotr Głowacki) i zagranicznych (Adrien Brody), rekonstruuje losy Emanuela Ringelbluma i podziemnej organizacji Oneg Szabat, która dokumentowała codzienność warszawskiego getta.

3. Król



Dramat, reż. David Michôd, USA/Australia 2019, Netflix
Zamiast filmu biograficznego czy historycznego eposu australijskiego

reżyser, twórca świetnego „Królestwa zwierząt”, proponuje skąpaną w mrokach przypowieść. Nie tyle o samym Henryku V czy jego szekspirowskim wcieleniu, co o symbolicznych narodzinach władcy i jego samotności, o ciężarze decyzji i hartowaniu się na polu bitwy. W roli tytułowej Timothée Chalamet.

4. Filmy



Serial dokumentalny, USA 2019, HBO GO
Tom Hanks wyprodukował sześcioczęściową historię kina amerykańskiego, od wprowadzenia dźwięku i złotej ery kina hollywoodzkiego aż do współczesności. W zamierzeniu miało to być spojrzenie przez pryzmat zmian kulturowych zachodzących w USA. Efektem jest zgrabna pigułka, serwowana przez współczesnych twórców i znawców filmu.

JAN

Klata: Dobranoc państwu



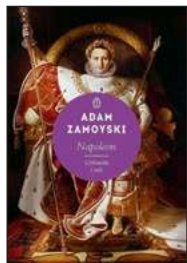
AŻ SIĘ WSTYDZĘ, ŻE PRZYTACZAM. NIE wiem, jak przytoczyć, żeby nie urazić, nie wyjść na przedstawiciela wyobcowanych elit, co to pogardzają, zamiast się pogodzić z własnym na puszczy wołaniem i po prostu zacząć zbrakulaku zachwycać puszczy krajobrazem. Mimo to przytoczę, z bólem, ale jednak: wedle poważnych badań sondażowych niemal połowa Polaków jest zdania, że demokracja w Polsce nie jest zagrożona. 49 procent, konkretnie, zagrożeń dla polskiej demokracji nie dostrzega.

Wiem, wiem, nic nie komentuję, żeby z 49 procent nie zrobiło się 99 procent – taką bowiem przekorę budzą sygnaliści, że aż strach. Nie ganić, nie wytykać, chwalić, afirmować trzeba rodaków, dogadzać. A zatem coś miłego o swoich bliźnich: 70 procent widzi zagrożenia wolności słowa, a 76 procent dostrzega zagrożenia praworządności w Polsce. A jednocześnie... tylko 51 procent widzi zagrożenie demokracji. Hmm... Polak jest autorem logiki trójwartościowej, ale nie sądzę, żeby rodacy aż tak gremialnie zainteresowali się szkołą lwowsko-warszawską, mam wrażenie, że przyczyna ślepoty na ewidentną sprzeczność wyrażanych przez siebie opinii jest mniej naukowa, bliżej Lecha Wałęsy niż Jana Łukasiewicza. „Stłucz pan termometr, nie będziesz mieć gorączki”. Przepraszam, jeśli ktoś uraziłem. Przecież jest super, i nic się nie dzieje.

Norwid swego czasu zadawał rodakom pytanie, czy da się kogoś obudzić de-li-kat-nie.

Nie, raczej nie można. A w listopadzie 2019 roku można odpowiedzieć z całą pewnością, że nie da się obudzić kogoś, kto udaje, że śpi. Dobranoc. ©

Lektor: Od Korsyki do Świętej Heleny



■ Adam Zamojski
NAPOLEON. CZŁOWIEK I MIT
Przełożył Michał Ronikier.
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2019, ss. 884.

250. ROCZNICA URODZIN PRZYSZŁEGO cesarza Francuzów, przypadająca 15 sierpnia tego roku, minęła u nas niemal bez echa. Trochę to dziwne, zważywszy ogromną rolę, jaką mit napoleoński odegrał w polskiej historii i kulturze, od Mickiewicza i romantyków, poprzez Prusa, Żeromskiego i Askenazego, po Mariana Brandysa i Andrzeja Wajdę. Spór o Napoleona rozpałał namiętności; profesor Andrzej Zahorski

przewidywał, że nadal „jedni uważać będą jego losy za przestrożę, uzasadniając, że obrał drogę zbrodni i klęski, a inni wywodzą z niego, iż był prekursorem postępu, dobroczyńcą ludzkości, męczennikiem i wskrzesicielem Polski”. Zaprzysięgłym zwolennikiem frakcji napoleońskiej był jeden z twórców „Tygodnika”, Stanisław Stomma – w 1967 r. swój artykuł zakończył dobitnie: „Opowiadam się za wzniesie-

niem pomnika Napoleona w Warszawie”.

„Polski dom, angielskie szkoły, wakacje z francuskimi kuzynami – wszystko to sprawiło, że już od najmłodszych lat stykałem się z jaskrawo sprzecznymi wizjami Napoleona: nadludzkiego geniusza, ucieleśnienia romantycznej wizji boskości, nikczemnego potwora czy paskudnego małego despoty” – pisze w przedmowie Adam Zamojski, historyk urodzony w 1949 r. w Nowym Jorku, wychowany w Anglii, piszący po angielsku. I dodaje, że nauczył się podchodzić ze zrozumieniem do każdego z tych poglądów, choć żadnego nie przyjmuje za własny. W Napoleonie widzi przede wszystkim człowieka (nie boga!), którego nie chce usprawiedliwiać ani potępiać, tylko zrozumieć jego życiową drogę, poznać źródła jego niebywałej kariery i spektakularnej

klęski. Polityka, który nie był i nie czuł się bożym pomazańcem, ale wiedział, że jego jedyną przepustką do wielkości jest własna chwała i chwała jego towarzyszy broni.

Kto czytał poprzednie książki Zamojskiego, zwłaszcza fascynującą monografię wojny Napoleona z Rosją, ten wie, jak znakomicie autor umie prowadzić narrację i przykuć uwagę czytelnika. I tym razem olbrzymi tom, opowiadający na nowo historię, którą niby znaliśmy, wciąga nas bez reszty – w czym swój udział ma także Michał Ronikier, tłumacz niezawodny. Warto oderwać się na kilka dni od problemów naszego grajdołka i wrócić do czasów, kiedy nieodwracalnie zmieniła się Europa i rodził się mit, za sprawą którego przegrani i zmarli na odległej atlantyckiej wyspie władca pokonał pośmiertnie swoich wrogów. ©©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

PAWEŁ

Bravo:

Fizjologia smaku



TRZYDZIEŚCI TON. TAKI JEST LIMIT WAGOWY dla samolotów pasażerskich wyprodukowanych w Europie, powyżej którego zostają obłożone cłem zaporowym, wprowadzonym przez Donalda Trumpa w ramach wojny handlowej. Zawsze miałem słabość do list, klasyfikacji i katalogów. Podziwiam ich

twórców, anonimowych urzędników, którzy nieświadomi poetyckiego rozmachu swej pracy tworzą światy równoległe, uszeregowane wedle jasnej zasady. Czyż to nie jest pomnik oporu wobec rozłazącego się na boki życia, niestabilności współrzędnych, w jakich się kreśli wykres naszego codziennego równania z niewiadomym zakończeniem?

Po listę celną Trumpa sięgnąłem skuszony przekazami, że choć zaczyna się od samolotów, to jej bolesna treść dotyczy rzeczy bliższych mi zawodowo. Tuż za pierwszą pozycją idzie jeszcze parę rubryk dotyczących – niemieckich, rzecz jasna – siekier, pił, narzędzi do skrawania metalu. Ale zaraz potem lecą skarby europejskiej kultury rolnej: wina, oliwki, kiełbaski, mięsa, a przede wszystkim sery. Mnóstwo serów. Jak żyć bez gorgonzoli, pecorino i ementalera? Dopiero co wróciłem z mglistych równin Emilii, dokąd jak co roku pojechałem, by ściągnąć zapas dobrego parmezanu, i w trakcie podróży powrotnej kalkulowałem, ile musiałbym zabrać tego towaru, żeby opłaciło się wynająć jacht i przepłynąć Atlantyk z serową kontrabandą.

Owszem, nagły brak parmezanu to problem tylko oderwanej od narodu elity Wschodniego Wybrzeża, ale naprawdę nowojorczykom współczuję. Każdy przecież potrafi się przywiązać do pewnych produktów i traktować ich smak jako podwalinę swojej tożsamości. To dlatego w sklepach dla naszych emigrantów na Zachodzie stoi na półce landrynkowa oranżada – obiektywnie to świństwo tak niepojęte dla obcych, że jego picie można dołączyć do egzaminu z polskości obok testu ze znajomości „Lokomotywy” Tuwima. Powiedz mi, bez czego nie możesz się obejść, po co jesteś gotów gnać na drugi koniec miasta albo wręcz złamać prawo i przepisy sanitarne, a powiem ci, kiedy i gdzie się urodziłeś.

A że fizjologia smaku zahacza o konteksty niezwiązane z fizycznym obiektem na talerzu, to np. firma McDonald's wprowadza z powrotem kolekcję „historycznych” figurek z pudełek Happy Meal w nadziei na sprzedaż wśród dawnych amatorów tego zestawu dziecięcego. Smak składników raczej się przez kilkadziesiąt lat nie zmienił, żeby jednak dorosły klient był naprawdę happy, dostanie szpetny

kawałek plastiku dobrze podmalowany nostalgią. Ciekawe, czy ta kampania przykryje w Ameryce świeży skandal – oto pozbyto się prezesa, mającego na koncie wyciągnięcie firmy z dołka za to, że złamał wewnętrzny kodeks etyczny, utrzymując „dobrowolną relację uczuciową” z podwładną.

Gdyby tak etycznie zachowywali się producenci suplementów leczących rzekomo objawy zatrucia alkoholem... Niedawno niemiecki sąd wydał wyrok w sprawie z powództwa osób, które poczuły się źle po popijawie mimo zażycia rzekomych środków na kaca. Orzekł, iż producent takich preparatów nie ma prawa obiecywać, że jego specyfik leczy chorobę, skoro jej nie leczy. Jeśli wydaje się wam to tautologią, to nie dostrzegacie rewolucyjnej przesłanki ukrytej w tym wyroku. Otóż niemieccy sędziowie w majestacie konstytucji stwierdzili, iż kac jest stanem chorobowym, czyli „tymczasowym zaburzeniem normalnego stanu i aktywności ciała”.

Nie tymczasowo, a na wiele dni musieli się zaburzyć uczestnicy testu klinicznego, ogłoszonego w poważnym czasopiśmie medycznym, w którym badano, czy kolejność picia wina i piwa wpływa na późniejszy stan zatrucia. Że jest taka zasada (najpierw piwo, potem wino), głoszą przysłowia znane mi po angielsku i niemiecku – tymczasem okazało się, że nauka nie widzi żadnej zależności. Może w następnym etapie badań zdoła się ustalić zależność między olejem w głowie a zdolnością do picia z umiarem, co jest jedynym godnym człowieka sposobem korzystania z owoców ciężkiej pracy winiarza i piwowara.

I tak dalej, i tym podobne. Nastawiłem rosół, to jest dla mnie najlepszy sposób, żeby oczekiwanie uczynić radosnym rytuałem, i czekam, aż premier ogłosi skład nowego rządu. Przedłuża się to w nieskończoność, więc wybaczenie, iż z nudów wertuję serwisy pełne nikomu niepotrzebnych wiadomości spożywczych. Może coś jeszcze wygrzebię, zanim wreszcie się zacznie, coś o wartości odżywczej odgrzewanych kotletów... ©P

Nowy rząd, czas resetu, białych niezapisanych kart i eksperymentów. Właśnie w tym nastroju dziś z Markiem Rabijem, który nie tylko jest autorem wstrząsającej książki o losie Rohingów, ale podróżował też ostatnio po Podlasiu, wymyślił apetyczny pomysł, jak wykorzystać przywiezioną przezeń trawę żubrową. Zamiast moczyć ją w wódce, co się może skończyć tymczasowym zaburzeniem stanu ciała, potraktujmy ją jako silny akcent aromatyczny – do mięsa albo do risotta. Także więc z Markiem sobie przepowiadaliśmy, jako dwaj zaprawieni ryżomaniacy: siekamy drobno szalotkę, szklimy ją na maśle, wysypujemy ryż (po 80 g na osobę), prażymy jak zwykle, kilka minut lekko mieszając. Wlewamy sok pomarańczowy (świeżo wyciskany oczywiście, ale przefiltrowany przez gazę) zamiast wina – żeby „zgasić” pożar. Po czym zalewamy bulionem warzywnym – ale specjalnym, tzn. takim, do którego dodaliśmy w trakcie gotowania pęczek trawy żubrowej. Jeśli nam zostało, możemy dodać żdziebelko też do ryżu, ale potem pamiętajmy, aby ją przed podaniem wyjąć. Marek sugeruje, że byłoby to świetny dodatek do dobrze wysmażonych filetów z kaczycy piersi. Jesteśmy otwarci na sugestie!

ŻEŃSKA KOŃCÓWKA

Na niewidzialność kobiet składa się sposób zaprojektowania przestrzeni, bodźce ekonomiczne, biologia, uprzedzenia, tradycja, religia...
I język, jakim się posługujemy, pełni tu naprawdę istotną rolę.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

DZISIAJ O 20 BĘDĘ GOŚCINIĄ W PROGRAMIE »MINĘŁA 20« na antenie tvp.info. Zapraszam przed odbiorniki” – napisała na swoim profilu na Facebooku nowo wybrana posłanka Lewicy Magdalena Biejat. Tylko tyle. Piętnaście słów, jeżeli włączyć dwie liczby i nazwę stacji. Wśród nich jedno – „gościni” – które zelektryzowało opinię publiczną, rozpoczynając ciąg wydarzeń, które kronikarze z przyszłych stuleci będą może nazywać „wielką wojną o feminyty”.

„Kończówkę wsadź sobie w mózg albo w brudne buty, może pomoże – doradzał uprzejmie Dominik Tarczyński z PiS, któremu słowo „gościni” wyraźnie odebrało poczucie bezpieczeństwa. – Nie pokonacie normalności, dewianci. To szaleństwo powstrzymamy i wasze chore ideologie z radością poniżę. Dla dobra naszych dzieci! Zrobię to w sejmie. Czekam na pierwsze posiedzenie z tym nowotworem demokracji...”

„Kolanem chcą przepychać to lewackie szaleństwo. Musimy się temu ostro przeciwstawić!” – dodał jeszcze, gdy inna posłanka Lewicy, Anna Maria Żukowska, napisała na Twitterze, że wspólnie z córką zapalała znicze w hołdzie „powstańcom i powstankom”.

Po stronie przeciwników i przeciwniczek żeńskich form zadudniły ciężkie działa. Że to kaleczenie języka, że słownik takich form nie odnotowuje, że pan wiewiórka jest rodzaju żeńskiego, a się nie gniewa, i wreszcie, że pilot-kobieta to nie może być pilotka, bo pilotka to już jest taka czapka.

W ogrodzie języka

Muszę uczciwie przyznać, że przez długi czas byłem raczej sceptyczny wobec żeńskich nazw zawodów. Jakoś mi nie brzmiały, po co udiwniać, nawet argument z wiewiórką czasem przywoływałem. Teraz zmieniłem zdanie i staram się żeńskie formy stosować. Nawet te „dziwacznie” brzmiące. Bo po pierwsze, dziwaczność to kwestia przyzwyczajenia. Po drugie, to jedna z rzadkich okazji, by z językiem trochę poeksperymentować, przypomnieć sobie o jego plastyczności.

Bez pięknej, uporządkowanej, ale też bogatej mowy ojczystej nie będzie wartościowej literatury, dogłębnego dzienni-

karstwa ani mądrej polityki. Język, którym mówimy, wyznacza horyzont naszych myśli. Inspiruje nas, podsuwa skojarzenia, a czasem może nas ograniczać – wtedy warto go świadomie rozszerzać.

Jeżeli o języku pomyślimy jak o ekosystemie, to feminyty nie są chwastami – jak bezmyślnie używane wulgaryzmy czy niechlujne kalki z języka angielskiego. Są raczej nowymi, dziwnymi gatunkami. Nie powinny przerażać ani botaników języka, ani jego ogrodników, ani nawet zwykłych spacerowiczów, którym nieobojętna jest lingwistyczna przyroda. Mogą raczej fascynować na równi z na wpół zapomnianymi archaizmami i smakowitymi regionalizmami. Żeńskie formy nie zubażają naszego języka. Przeciwnie – wzbogacają go, rozszerzając spektrum dostępnych nam możliwości. A że takie dziwaczne? Najwyżej się nie przyjmą, wymrą naturalną śmiercią albo wyewoluują w coś jeszcze innego, lepiej dostosowanego do wspaniałej sieci powiązań, jaką jest ojczysta mowa.

Mimo to uważam, że nie ma się co o feminyty spierać. To jeden z tych problemów, które rozwiążą się same. Sekretne życie języka toczy się od tysięcy lat swoim rytmem. Zarówno kształty widoczne na powierzchni, jak i najgłębiej ukryte korzenie nieustannie dostosowują się do panujących w środowisku warunków. Język jest żywym organizmem.

Istotny jest jednak jeszcze jeden, pozajęzykowy aspekt całego sporu. Niedawno przeczytałem książkę, która sprawiła, że na kwestię feminytyw patrzę w szerszym kontekście. Otóż żeńskie formy nazw zawodów – a raczej ich brak w wielu przypadkach – są ściśle związane z szeroko rozpowszechnionym zjawiskiem, które ma dokładnie mierzalne, bardzo negatywne konsekwencje. Chodzi o domyślne obsadzanie w różnych rolach mężczyźni. Gdy wyobrażamy sobie chirurga, prezesa, ministra czy kierowcę – jest to domyślnie mężczyzna. Powoduje to wiele następstw, z których najważniejszym jest to, że w projektowaniu rozwiązań prawnych i urbanistycznych, narzędzi albo samochodów zaskakująco często przegapiamy połowę populacji.



Inauguracja roku akademickiego 2019/2020 na Uniwersytecie Jagiellońskim

Domyślny mężczyzna

Testy bezpieczeństwa samochodów to wspaniała sprawa. Przykład zastosowania myślenia naukowego do udoskonalenia otaczającej nas rzeczywistości. Najpierw prowadzimy komputerowe symulacje, potem zderzamy z murem auto, w którym jedzie sobie manekin. Robimy to tak długo, póki nie uzyskamy satysfakcjonującego poziomu bezpieczeństwa.

A ten manekin to facet. Nie manekina (manekinka? womanekin?), tylko manekin. To nie kolejna fanaberia językowa. Nie chodzi tu o samo słowo. „Płeć” manekina naprawdę ma znaczenie. Pokazuje to przekonująco Caroline Criado-Perez, autorka wydanej w zeszłym roku książki „Invisible Women. Data Bias in the World Designed for Men”. Fascynująca lektura.

Otóż manekin, którego niewdzięczną pracą jest rozwalanie się o mur zadaną prędkością, ma 177 centymetrów wzrostu i waży 76 kilogramów. Reprezentuje więc „typowego mężczyznę” (medianę wagową i wzrostową). Kobiety są zazwyczaj niższe, lżejsze, ale przede wszystkim mają odmienny kształt miednicy i inaczej zbudowane mięśnie karku. Sprawia to, że często niewygodnie jeździ im się samochodami zaprojektowanymi dla kierowców, nie kierowczyń. Ale drobne niewygody to dopiero początek historii.

Przez całe dekady samochody testował wyłącznie manekin-mężczyzna – substytut kierowcy, nie kierowczyny. Kiedy w roku 2011 wprowadzono w USA jego kobiecą wersję (wciąż miała wiele wad, była raczej pomniejszoną wersją mężczyzny niż faktyczną reprezentacją kobiecej anatomii) – oceny wielu samochodów w testach zderzeniowych uwzględniających nową „pasażerkę” spadły dramatycznie. Oznacza to, że samochody dotychczas wcale nie były tak bezpieczne, jak twierdzili producenci. A raczej: były bezpieczne tylko dla mężczyzn.

Obszerne badania statystyk kolizji drogowych w USA w latach 1998–2008 pokazały, że przy porównywalnym wypadku ryzyko poważnych obrażeń u kobiety jest aż o 47 proc. wyższe. To ogromna dysproporcja. Oczywiście pewna jej część wynika z samych różnic biologicznych, które sprawiają, że przy tej samej prędkości kobieta może odnieść poważniejsze obrażenia. Ale do tej dysproporcji szans w istotnym stopniu przyczynia się fakt, że samochody zostały zaprojektowane i przetestowane tak, by chronić mężczyzn. Przez lata nikt nawet nie sprawdzał, jak w przypadku zderzenia zachowa się ciało kobiety, nie poszukiwał rozwiązań mających poprawić jej bezpieczeństwo.

To nie żaden spisek. To niedopatrzenie, które było możliwe dlatego – zwraca uwagę Caroline Criado-Perez – że w roli



⇒ domyślnego użytkownika pojazdu (kierowcy i pasażera) obsadzony został mężczyzna. Na podobnej zasadzie autorka analizuje standardowe procedury odśnieżania, projektowania fortepianów, a także testowania leków (tu sprawa, zaznaczmy od razu, jest znacznie bardziej skomplikowana).

Niemal wszędzie okazuje się, że badania naukowe i praktyczne testy prowadzono na „domyślnym podmiocie”, którym był mężczyzna. To pacjent, nie pacjentka, kierowca, nie kierowczyni (kierownica? ta kierowca?), pianista, a nie pianistka. Tymczasem kobiety inaczej korzystają z miasta (częściej poruszają się mniejszymi arteriami, rzadziej korzystają z samochodów, częściej poruszają się z wózkami dziecięcymi), mają inną anatomię, ich organizmy inaczej reagują na niektóre substancje chemiczne.

„Mężczyzna, jeżeli nie zaznaczono inaczej” czy „domyślny mężczyzna” – oto tak naprawdę główny bohater książki Criado-Perez. Wyjaśniając, na czym polega ten fenomen, autorka przywołuje między innymi toczący się wśród antropolożek i antropologów spór o agresywny charakter naszego gatunku: „Ludzie są znacznie bardziej agresywni w stosunku do własnego gatunku niż jakiegokolwiek inne ssaki”. To zdanie jest zasadniczo prawdziwe. Dane faktycznie mówią, że przed nowoczesną rewolucją bezpieczeństwa ludzie częściej padali ofiarami ludzi niż, dajmy na to, tygrysów czy wilków – innych wilków. Ale jeżeli przyjrzymy się tym danym uważniej, okaże się, że sprawcami większości morderstw byli mężczyźni. A więc zdanie jest zasadniczo prawdziwe, ale dotyczy nie „ludzi w ogóle”, a tylko jednej z płci. Wietrzących feministyczny spisek od razu uspokoję, że Criado-Perez nie wyciąga z tego żadnych wniosków na temat „przemocowego charakteru patriarchy” czy czegokolwiek w tym rodzaju. Jej książka nie opowiada o brutalnych mężczyznach, tylko o szokującym niedopatrzaniu, które rodzi niezliczone błędy we wzornictwie, prawodawstwie i nauce. Chodzi tylko o to, by pokazać, że pewne cechy uznajemy za typowe dla gatunku, podczas gdy w rzeczywistości są one typowe wyłącznie dla mężczyzn.

Niewidzialność kobiet jako domyślnych podmiotów różnych czynności sprawia, że w nauce i wzornictwie rozciąga się przepastna dziura. Dla wielu aspektów życia po prostu brak nam danych reprezentujących połowę populacji! „Nie będziemy tego testować od razu na kobietach, bo z tym są

Najczęstsze argumenty przeciwników żeńskich form wraz z propozycjami refutacji:

P: Pan wiewiórka też jest rodzaju żeńskiego.

O: Owszem. Ale wiewiórka to nie nazwa zawodu ani funkcji. A z ciekawostek: rzesze polskich dzieci (dorosłych pewnie też) są błędnie przekonane, że sarna to samica jelenia. Język naprawdę ma wpływ na to, jak postrzegamy rzeczywistość.

P: Nie da się wymówić słowa „chirurgka”.

O: Polecam poćwiczyć dykcję.

P: Pilotka to taka czapka.

O: Wie ktoś, gdzie się podział mój pilot od telewizora?

P: Żeńska forma od słowa „tokarz” jest już zajęta.

O: Jeżeli rozróżniasz finkę od Finki, to dasz sobie radę i z dwoma znaczeniami słowa tokarka.

P: Jestem kobietą i chcę być nazywana „informatyką”.

O: Szanuję to i tak właśnie będę się do ciebie zwracać.

P: Są ważniejsze sprawy! Nie ma co toczyć wojny o żeńskie formy.

O: Stuszenie. Nie toczę żadnej wojny. Po prostu tych form używam.

P: Słowa „kierowczyni” nie ma w słowniku.

O: Bo go nie używamy. Jak się spopularyzuje, to w następnym wydaniu będzie.

P: To lewacki spisek mający na celu obalenie naszych tradycyjnych wartości.

O: Przejrzałaś mnie! :)

same kłopoty – mówią rozmówcy Criado-Perez. – Na przykład mężczyźni nie miesiączkują”. No owszem. Ale to raczej dobry powód, żeby uwzględnić kobiety w badaniach i projektowaniu, niż żeby je pomijać.

W ten sposób powstaje opisywana przez Criado-Perez luka w danych. Nie chodzi o to, żeby projektować oddzielne samochody dla kobiet, ani tym bardziej o to, żeby pogorszyć bezpieczeństwo mężczyzn. Podstawowy problem polega na tym, że w zasadzie nie wiemy, jak różne rzeczy sprawdzają się dla kobiecych użytkowników, bo tego nie testowaliśmy. Nie znamy odpowiedzi, bo nie zadaliśmy pytania.

Luka w danych a żeńskie końcówki

W tym miejscu na scenę wracają feminatywy. Żeby było jasne, nie są one w ogóle przedmiotem refleksji w książce Criado-Perez. Z bardzo prostej przyczyny – w języku angielskim jest to problem marginalny, dotyczący stosunkowo nielicznych przypadków takich jak *fireman/fireperson* czy *chairman-chairperson*. Ale po lekturze „Invisible Women...” nie potrafię już patrzeć na problem feminatywów jako zjawisko wyłącznie językowe czy – tym bardziej – kwestię lewicowych fanaberii.

W przypadku zderzenia kierowczyń nie są bardziej narażone na poważne obrażenia. Murarki i budowlańki mają istotnie większą szansę na wypadek przy pracy, bo narzędzia, którymi się posługują, zostały zaprojektowane i przetestowane pod kątem bezpieczeństwa murarzy i budowlańców. Dlatego warto używać żeńskich form. Chociażby właśnie po to, by przyciągnąć uwagę do faktu, że w różnych rolach pojawiają się lub mogłyby pojawiać kobiety. Za każdym razem, gdy mówimy „gościńi”, „kierowczyni”, „chirurgka”, wyciągamy z niewidzialności brakującą połowę sprawczych podmiotów. Przypominamy projektantkom, prawodawczyniom, pracodawczyniom czy gospodyniom programów telewizyjnych, że ich możliwości nie są ograniczone do „domyślnego mężczyzny”. Język nie tylko odzwierciedla naszą rzeczywistość. On także ją kształtuje. Sprawia, że jedne rzeczy są dla nas oczywiste, a inne pozostają dziwaczne, a nawet niewidzialne. Być może za niepokojem, który odczuwamy na dźwięk słowa „chirurgka”, czai się skrywany lęk, że pewnego dnia mogłaby nas operować kobieta? Może gdyby słowo „prezeska” było bardziej

ności brakującą połowę sprawczych podmiotów. Przypominamy projektantkom, prawodawczyniom, pracodawczyniom czy gospodyniom programów telewizyjnych, że ich możliwości nie są ograniczone do „domyślnego mężczyzny”.

Język nie tylko odzwierciedla naszą rzeczywistość. On także ją kształtuje. Sprawia, że jedne rzeczy są dla nas oczywiste, a inne pozostają dziwaczne, a nawet niewidzialne. Być może za niepokojem, który odczuwamy na dźwięk słowa „chirurgka”, czai się skrywany lęk, że pewnego dnia mogłaby nas operować kobieta? Może gdyby słowo „prezeska” było bardziej



CAIAIMAGE / RANA DIAS / GETTY IMAGES

rozpowszechnione, więcej kobiet zasiadałoby na kierowniczych stanowiskach? Może gdyby energiczniej promować te „nienaturalne” formy, więcej dziewczynek wyobrażałoby sobie siebie w przyszłości na przykład jako pilotki, czego teraz nie robią, bo przecież wiadomo, że pilotka to taka – he, he – czapka? Niełatwo to zmierzyć, ale jako semiotyk jestem niemal pewny, że niechęć do słowa „gościni” ma jakiś związek z tym, że co zjrzę w telewizor, to w studiu siedzą sami mężczyźni. Mieli być goście programu – są goście.

Oczywiście to nie tylko kwestia nazw. Mam pełną świadomość, że same zmiany w języku nie wystarczą, by zmienić świat. Na niewidzialność kobiet w licznych obszarach życia składa się wiele czynników: sposób zaprojektowania przestrzeni, bodźce ekonomiczne, biologia, uprzedzenia, tradycja, religia... Ale język, jakim się posługujemy, pełni tu naprawdę istotną rolę. Także umożliwiając konsolidację pozostałych czynników. Dlatego warto trochę powalczyć. Nie z językiem, ale właśnie o język. Bo mowa, którą się posługujemy, kształtuje naszą rzeczywistość, ale zarazem sama pozostaje tworem bardzo plastycznym.

Wciąż uważam, że nie ma się co specjalnie spierać o żeńskie końcówki i emocjonować tym zagadnieniem. Nie ma co rozpętywać trzeciej wojny światowej. Same żeńskie końcówki nie usuną dyskryminacji, luki płacowej, stereotypów i dziur w danych, nie uczynią świata bezpieczniejszym. Są pilniejsze sprawy niż nazywanie kierowczyń kierowczyniami.

Podobnego zdania wydaje się posłanka Biejat: „Zaskoczyło mnie, ale też zasmuciło, że użycie przeze mnie słowa

»gościni« wzbudziło taką sensację. Nie prawa pieszych, reprivatyzacja, kryzys klimatyczny czy wsparcie dla Jana Śpiewaka, o których w ostatnich dniach pisałam”.

Dlatego zamiast toczyć wojnę, wystarczy po prostu od czasu do czasu użyć żeńskiej formy. Zwłaszcza gdy do czynienia mamy z domyślnym podmiotem. Zamiast o czytelnikach, napisać o czytelniczkach, a może nawet o widzkach. Zamiast studentów, opisać w sylabusie zajęć studentki. Mieć na uwadze ogół wyborczyń, a nie wyborców. To nie tylko wzbogacenie języka, lecz także użyteczne ćwiczenie poznawcze, które pozwoli nam przemyśleć treść tekstów, audycji telewizyjnych, treści wykładów czy programów politycznych.

Ale mam też wrażenie, że może z tego wyniknąć coś więcej. Każda wypowiedziana „chirurgka”, „muzykolożka” i „profesora” przybliży nas o krok do świata, w którym kobiety wykonujące te funkcje nie są już niewidzialne (ani przebrane za mężczyzn). Polszczyzna to nasz wspólny dom. Zaprosimy do niego więcej gości!

Bołå uszy? Niech bołå. Pobolå, pobolå i przestaną.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Gościem Grzegorza Chlasy o godz. 8 w środę będzie **PIOTR SIERGIEJ**, autor tekstów z wydania specjalnego „TP” „Halo, tu Ziemia”.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
| Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Znowu o umiarkowaniu



Z ZACIEKAWIENIEM WYŚLUCHUJEMY BARDZO LICZNE OPINIE NA TEMAT POPULARNOŚCI W POLSCE TZW. SKANDYNAWSKIEJ – ZA PRZEPROSIENIEM – FILOZOFII UMIARU ORAZ JAPOŃSKIEJ ESTETYKI, W KTÓREJ SIŁĄ WYRAZU JEST CZYSTOŚĆ I PROSTOTA. NIC BOWIEM TAK BAR-

dzo nas nie interesuje ani tak nie skłania do najwyższej uwagi, jak świat polskich deklaracji w dowolnym zakresie.

Opinie o skandynawskich i japońskich powściągliwościach są popkulturalne, powszechne i choćby w tym sensie ich odbiorca musi uzyskiwać pewność, że żyje w kraju będącym tratwą pływającą w jakiejś fantastycznej cieśninie, pomiędzy Bornholmem a dajmy na to Hokkaido. Wyobrażenia na cudzy temat nie są zaiste tak ciekawe jak mniemania na tematy własne. Już samo stwierdzenie, że w kraju naszym modny jest umiar, musi uruchamiać skłonności badawcze. Człowiek wyciąga natychmiast lupę i delikatnie, specjalnymi szczypczykami próbuje oderwać pancerzyk chitynowy zasłaniający miękki tułów zjawisk.

Umiar, bądź jego brak, znajdujemy w każdym naszym wyborze – to uwaga ogólna, mająca ułatwić wprowadzenie do tematu osobom mniej w wybieraniu zaawansowanym. A więc mamy wybranych takich oto: Gliński z Gowinem, Macierewicz z Kaczyńskim, plus Ziobro. Dużo by wymieniać, ale ci dla przykładu wystarczą aż nadto. Są to ludzie wybrani, dlatego ich tu przywołujemy. Ale wybory nie dotyczą wyłącznie polityków, można rzecz więcej, wybory polityczne zdarzają się rzadko w porównaniu z wyborami dnia codziennego.

Czy pomiędzy owymi wyborami sporadycznymi a częstymi, bo codziennymi, jest w istocie tak kosmiczny, by nie rzec: gruntowny rozziw? Cokolwiek bowiem nie powiedzieć o figurach tu wymienionych, sądenie o nich, że to ludzie

umiaru, wydaje się niepotrzebną nikomu – nawet pewnie im – przesadą. Są to ludzie, jak wiemy, skrajnie nieumiarkowani. Nieumiarkowanie jest ich głównym budulcem, nieumiarkowanie także jest ich atutem. Nie są to Japończycy ani Szwedzi po szkołach medytacji, czy specjaliści od origami. Z drugiej strony – jak słyszymy i czytamy – rodak nasz gustuje jednak w skrajnym umiarkowaniu na co dzień, nazywanym tu skandynawskim, w ascetycznej ponoć koncepcji relaksu, w japońskiej ciszy i bieli, w dzwoniącej ciszy, w której z rzadka słychać delikatne, ale znaczące brzdąknięcia trąconej struny. Mamy zatem wybór skrajnego nieumiarkowania, któremu ponoć jednak towarzyszy wybór skrajnego umiarkowania. Gdy popatrzymy na to wszystko okiem jak nos psa zimnym, zaczynamy podejrzewać, że ktoś nas buja. Że owe mniemania na temat skłonności do codziennej powściągliwości rodaka to jakieś magiczne memlania, że słodkie obwieszczenia o skromnej estetyce – zwłaszcza gdy jedziemy dajmy na to przez nasze uciążliwe Podhale – to produkcja świata ułudy, bądź to pięknoduchostwo, bądź to marzenia, albo zamówienie nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Nasz krajobraz jest szalenie jednak niejapoński, nie tylko z braku góry w typie Fudżijamy, nie jest też w ogóle skandynawski, nie tylko z braku domków uczynionych w guście osiadłego na prowincji Wikinga. Krajobraz polski jest nieokiełznany, nic w nim nie jest nieożywione, bowiem wszystko jest ożywione właśnie. Polska jest krajem pulsującym, jarzeniowym, w którym wszystko wibruje, zmienia bezustannie kolory, w którym mowa o przygaszeniu i umiarze nie dotyczy nawet cementarza. Wierzbą polską, szalenie odgłowioną, jest tu rozczochrana milionem grzebień. Gdzie zatem, do diaska, ludzie tutejsi widzą umiarkowanie, modę na ściszenie, tonowanie, dobieranie bieli do bieli bądź to rozważanie niuansów za pomocą jednego smakowego kubeczka? Nie wiemy. Owszem, znajdujemy czasem objawy umiarkowania osobliwego. Niech dla przykładu będą to szokujące statystyki zakupów małych butelek z alkoholem kolorowymi, to zjawisko pasjonuje nas od dawna. Owa buteleczka jest w Polsce bodaj jedynym symbolem umiaru właśnie, ale nie w Japonii jesteśmy przecież ni w Skandynawii, gdzie taka oferta musiałaby zostać huczaco wyśmiana przez każdego umiarkowanego Szweda bądź to samuraja.

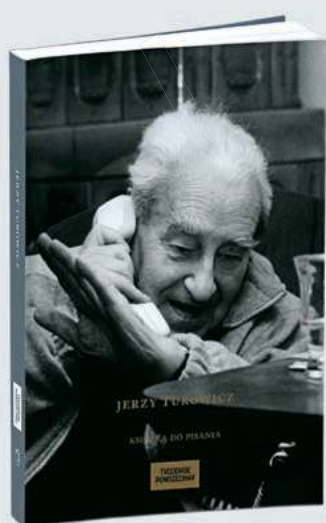
© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

Zamów prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” – tylko do 30 listopada 2019 w niższej cenie!



W związku z podwyżką cen wprowadzoną przez Poczta Polską jesteśmy zmuszeni do zmiany cennika prenumeraty „Tygodnika Powszechnego”. Do 30 listopada 2019 można skorzystać z cen wyszczególnionych poniżej i zamówić prenumeratę na następny wybrany okres (rok, półrocze lub kwartał). **Nowe ceny zaczną obowiązywać w dniu 1 grudnia 2019** – od tego dnia wpłaty ze starymi, błędnymi kwotami nie zostaną przyjęte.

Przypominamy, że każda osoba czy instytucja, która zamówi prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” na 2020 rok, otrzyma jubileuszowy prezent – „Jerzy Turowicz. Księga do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma (szczegóły na następnej stronie).

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia**	300 zł	
Karta Dużej Rodziny***	300 zł	



PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	



PREZENT!

* CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ – ważny do 30.11.2019

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

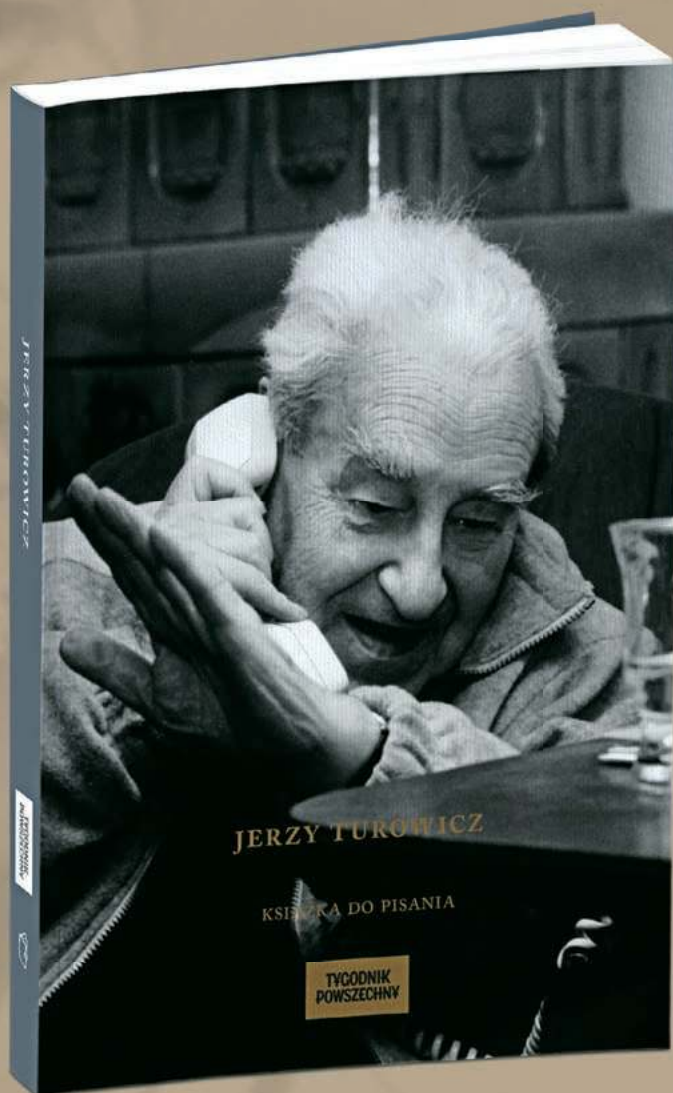
SALES MANAGO
marketing automation



W marcu 2020 r. świętujemy
75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj jubileuszowy prezent

„Jerzy Turowicz. Książka do pisania. 75 lat Tygodnika Powszechnego” – ilustrowany notes z archiwalnymi fotografiami i fragmentami tekstów wieloletniego redaktora naczelnego pisma.



1. **JUŻ TERAZ** zamów lub przedłuż dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego” – roczną, półroczną lub kwartalną.
2. Możesz to zrobić przez stronę powszech.net/prenumeruj lub poprzez wpłatę na konto czy opłacenie w Dziale Prenumeraty „TP” – cennik i zasady szczegółowe opisane są na poprzedniej stronie.
3. Na przełomie stycznia i lutego 2020 r. otrzymasz „Książkę do pisania” – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

Książka jest dostępna wyłącznie w dystrybucji „Tygodnika Powszechnego” – jest to limitowana oferta tylko dla obecnych i nowych Prenumeratorów i Prenumeratorek.

WYDAWCA:



PARTNERZY WYDANIA:

